

SEMKA ODSŁANIA KULISY

Kto chciałby posłać
Kaczyńskiego na emeryturę



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 23/275 4-10 CZERWCA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Masłoń broni pamięci
prymasa Hłonda

TYLKO W „DO RZECZY”
ŁYSIAK BAWI SIĘ
W SEKSUOLOGA



Dlaczego Jastrzębowski
przestał być szefem
„Super Expressu”?

POJEDYNEK „DO RZECZY”

Rachoń do Warzechy:

Jestem dumny z ataków polityków



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 90 tys. egzemplarzy

epressa.pl 714122nrs

CURIOSA FILM przedstawia

CATHERINE FROT CHRISTIAN CLAVIER



**Nigdy
nie jest
za późno
na dziecko!**

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”

UN FILM DE VINCENT LOBELLE ET SÉBASTIEN THIÉRY
AVEC SÉBASTIEN THIÉRY PASCALE ARBILLOT

HERVÉ PIERRE CLAUDE VINCENT Scénariste et réalisateur de SÉBASTIEN THIÉRY avec la collaboration de PASCALE ARBILLOT et de SÉBASTIEN THIÉRY écrits au théâtre de Paris avec JEAN-PAUL AGOSTINI assisté de PHILIPPE LÉVÊQUE coproducteur FABRICE LAGARDY
avec ALAIN SIBRAVAL CHARLES ANTOINE directeur de production THOMAS GARDER monteur MICHAEL TORRILMAN et MARINE DESPREZ ingénieur du son CYRIL NAKACHE compositeur sonore GABRIELLE DE ARAGÓN costumer MICHAËL LACHENIS 1^{er} assistant réalisateur MAURICE HERMET directeur de la photographie KIM NGUYEN
directrice de la production CÉSARIE ANTOINE directrice de production CHRISTOPHE DESCHAMPS producteurs exécutifs CHRISTOPHE DE JARVIS producteurs associés EMILIE BIGNARD JACQUES-ALBERT et OLIVIER BRUNCKART monteur HENRI BRUNCKART son compositeur TFI AUDIOVISUELS
TF1 FILMS PRODUCTION VERGÈS PRODUCTION coproducteur A C'EST UNE PRODUCTION GABRIEL INC avec la participation de CANAL+ TF1 GEM - TVC avec la participation de SUI SWITZER DU GOUVERNEMENT FÉDÉRAL BELGE CASAR PICTURES CASAR PICTURES
MOVIE VAN SWITZER EMPLOYEES BY BELFUS MOVIE VAN SWITZER

CURIOSA FILM S.A. Belfus Euronext Belfus Euronext Canal+ TF1 GEM TVC SUI SWITZER DU GOUVERNEMENT FÉDÉRAL BELGE CASAR PICTURES CASAR PICTURES

OMG

W kinach od 8 czerwca



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polowanie na Lecha Kaczyńskiego

Wydawało się, że w naszej kulturze zmarłym należy się cześć. Ta zasada obowiązuje szczególnie wobec ofiar tragedii i – w jeszcze większym stopniu – wobec osób wybitnych, wielkich pisarzy, twórców, polityków zasłużonych dla budowy siły polskiego państwa. Jednak najwyraźniej nie odnosi się ona do śp. Lecha Kaczyńskiego.

Kiedyś krytykowałem słowa Jarosława Kaczyńskiego, który w Sejmie mówił do opozycji, że „wyciera sobie zdradzieckie mordy jego śp. bratem”. Po ostatnich próbach przypisania tragicznie zmarłemu prezydentowi nowych win i zrobienia z niego niemal symbolu błędów i wad III Rzeczypospolitej zastanawiam się, czy gniewna reakcja prezesa PiS nie była uzasadniona. Czy istnieje granica pomówień i kalumnii, poza którą nie wolno wyjść? Czy wolno obsmarowywać zmarłego, obciążając go wysłanymi z palca winami? A wszystko to po to, żeby dopiec jego żyjącemu bratu i udowodnić tezę – skądinąd absurdalną – że za wszystkie błędy i słabości państwa odpowiadali będący niemal bez przerwy w opozycji bracia Kaczyńscy.

Najpierw słyszałem, że Lech Kaczyński był głównym odpo-

wiedzialnym za tragiczny lot do Smoleńska. On, prezydent, którego prawa na każdym kroku były wyśmiewane i ograniczane, akurat w tym jednym przypadku miałyby odpowiadać za wszystko! Później dowiedziałem się, że to również nieżyjący od 2010 r. Lech Kaczyński jest odpowiedzialny za dziką reptrywatyzację w Warszawie, w której był prezydentem w latach 2002–2005! Teraz zaś nieoceniona „Gazeta Wyborcza” postanowiła udowodnić, że to właśnie Lech Kaczyński odpowiada za niesłuszne skazanie Tomasza Komendy.

Sprawa rzekomej odpowiedzialności za skazanie niewinnego człowieka to klasyczny przykład manipulacji. Najpierw fakty: do morderstwa ofiary, o co został oskarżony Komenda, doszło w noc sylwestrową 1996/1997. Kiedy Lech Kaczyński został ministrem sprawiedliwości, 12 czerwca 2000 r., sprawę morderstwa prowadził już czwarty kolejny prokurator. Komendę aresztowano, jeszcze zanim Kaczyński został ministrem. Wszystkie błędy i niedopatrzenia prokuratorzy popełnili w pierwszym etapie śledztwa. Kaczyński przestał być ministrem w lipcu 2001 r. Komendę skazały dwa sądy – najpierw w 2003 r., później

apelacyjny w 2004 r. Zatem Lech Kaczyński nie miał żadnego wpływu ani na nieudolne i niechlujne zbieranie dowodów, ani na ich przedstawienie przed sądem, ani na błędne wyroki dwóch kolejnych instancji – w tym czasie był posłem opozycji. Co zatem go rzekomo obciąża?

Chodzi o wywiad z 2000 r., w którym powiedział, że gwałcielem i zwyrodniałcem powinien ponieść karę! I to, że był zwolennikiem surowszego karania! „I prokurator powiada pełnomocnikowi rodziny, że co najwyżej może jednemu ze sprawców postawić zarzut gwałtu. Są ślady zębów tego zbira, ślady DNA, wszelkie możliwe znaki – i nie można postawić zarzutu”. Mówiąc te słowa, Lech Kaczyński miał całkowitą rację. Tak, mając „wszelkie możliwe znaki, ślady zębów i ślady DNA”, mógł się domagać od prokuratora postawienia poważniejszych zarzutów niż o gwałt. Nie mógł wiedzieć, że od samego początku śledczy spaprali sprawę i że popełnili kardynalne błędy przy pobieraniu materiału biologicznego oraz przy weryfikacji zeznań świadków. Podobnie Lech Kaczyński miał rację, domagając się zmian personalnych w dolnośląskiej prokuraturze – najlepiej świadczy o tym to, że jeszcze do dzisiaj nie ustalono sprawcy zbrodni sprzed 21 lat! Co ciekawe, głównym autorytetem „GW” jest Kazimierz Olejnik, zastępca prokuratora generalnego w latach 2003–2006, kiedy to właśnie dwukrotnie skazano Komendę! To nie naciski Lecha Kaczyńskiego doprowadziły do obciążenia winą Komendy, ale błędy śledczych i sędziów, którzy przynajmniej w latach 2003 i 2004 mieli już wystarczającą wiedzę o uzasadnionych wątpliwościach co do osoby sprawcy.

Doprawdy obrzydliwe są te próby niszczenia śp. Lecha Kaczyńskiego. ©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z MICHAŁEM RACHONIEM
MAM SVOJE POGLĄDY
Przemysł pogardy był ofensywą Rosji przeciw Polsce

22 MARCIN MAKOWSKI
POLSAT POD OSTRZAŁEM

KRAJ

28 PIOTR SEMKA
KTO CZEKA NA KONIEC KACZYŃSKIEGO?
Polityczna przyszłość Polski

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
HISTORYCZNY POŚLIZG

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SOJUSZ ZA JEDEN UŚMIECH

38 ROZMOWA ZE SŁAWOMIREM
JASTRZĘBOWSKIM
DIENNIKARSTWO JEST W HOSPICIUM

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMIŃIAK
KAWA DLA NIHILISTÓW
Narodziny modernizmu

46 ROZMOWA Z KAROLINĄ BITTNER
DŹWIĘKI KONTROLOWANE

48 PIOTR GOCIEK
PAMIĘTAJ MNIE

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

CYWILIZACJA

56 WALDEMAR ŁYSIAK
SEKS
Łysiak bawi się w seksuologa

OPINIE

64 EWA POLAK-PAŁKIEWICZ
PUŁAPKI „RELIGII PRAW CZŁOWIEKA”
Polityka a współczesny Kościół

HISTORIA

66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
UCZYŃ Z NAMI CUD...
Żydowskie weto przeciw beatyfikacji prymasa Hłonda

70 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
**ŚWIATOWY ZWIĄZEK
ŻOŁNIERZY... PRL?**

ŚWIAT

74 OLIVIER BAULT
WŁOSKI KOSZMAR SALONU
Włosi nie chcą poddać się dyktatowi UE

76 PIOTR CZYŻEWSKI
IRLANDIA TO TYLKO POCZĄTEK

79 SZEWACH WEISS
**BIERNA EUROPA
W DYNAMICZNYM ŚWIECIE**

EKONOMIA

80 MACIEJ PIECZYŃSKI
PAN OD RACHUNKÓW
Jacek „Nie Ma Pieniędzy” Rostowski

84 ŁUKASZ BORALSKI
E-TYGRYSY EUROPY

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
DLACZEGO SIĘ NIE BADAMY?
Warto zrobić przegląd



FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (63), ZYCHOWICZ, KOPER (73), KOWALCZUK (78), GABRYEL, RYBIŃSKI (89), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Święto sytych i wpływowych

Któż nie zna obrazu Eugène'a Delacroix „Wolność wiodąca lud na barykady”? Zanim wprowadzono we Francji euro, wizerunek bogini rewolucji w czapce frygijskiej, wymachującej trójkolorowym sztandarem i wskazującej na barykady w czasie rewolucji lipcowej w Paryżu w 1830 r., widniał na stufrankowych banknotach. W Luwrze to płótno otwiera wielką wystawę z okazji 220-lecia urodzin wielkiego malarza. Komisarz wystawy Sébastien Allard tak opisuje słynny obraz: „Cóż tu widzimy: Wolność naciera na państwa z wielką gwałtownością. Mamy do wyboru dwie reakcje – albo ruszamy do przodu w ślad za boginią Wolności, jak ludzie, których widzimy za jej plecami, albo można być zmiażdżonym i ponieść klęskę, tak jak ci, którzy próbowali stanąć jej na drodze i którzy leżą na pierwszym planie. Wolność wyznacza kierunek, to ona kształtuje rzeczywisty bieg historii”.

Dla każdego, kto przeszedł szkołę PRL, brzmi to znajomo. Albo jest się po stronie przemian, albo próbuje się je zatrzymać i wtedy będzie się zmiażdżonym.

Ten postępowy styl myślenia rządzi dziś Francję. Paryż celebrował 50. rocznicę rewolty maja 1968 r. W Centre Pompidou – tym samym, które wygwizdywali pół wieku temu ówczesni kontestatorzy – oglądać można stare plakaty z paru tygodni strajków na Sorbonie i na uniwersytecie w Nanterre. W księgarniach półki uginają się od książek i albumów o tamtej rewolucji. Swoją specjalną, wspomnieniową zeszyt wydał dziennik „Le Monde”.

Weterani 1968 r. mają dziś ponad 70 lat i są sobą zachwyceń. Chętnie udzielają wywiadów. Oglądam, jak młodszy od nich o 40 lat dziennikarz z zachwytem prosi o garść wspomnień z majowych wieczorów zmagania z policją gen. de Gaulle'a. Młodzi żurnaliści taktownie nie pytają, dlaczego rewolucjoniści mieli wówczas na sztandarach masowych morderców – Stalina, Mao czy Ho Chi Minha. Nie drażą, czy kontestatorzy zastanawiali się wtedy, co się stanie z mieszkańcami Indochin po wyjeździe Amerykanów.

Rozmowy pokazują dziś samozadowolenie elity wyrosłej z 1968 r. Wielu z dawnych rewolucjonistów zaszło wysoko. Były maoista

José Manuel Barroso był całkiem niedawno szefem Komisji Europejskiej. Joschka Fischer, zadymiarz z Frankfurtu, w tym samym czasie kierował niemiecką dyplomacją. Daniel Cohn-Bendit jest szacownym eurodeputowanym. Jest też w Unii nowa generacja. Szefowa europejskiej dyplomacji Federica Mogherini była do 1988 r. działaczką młodzieżówki komunistycznej.

Dzisiaj wspominając noc na barykadach w Dzielnicy Łacińskiej pół wieku temu, mogą mieć poczucie sukcesu i cieszyć się z dwóch już pokoleń wychowanków. To nowa burżuazja, mieszkańcy dobrych dzielnic. A jeśli ktoś w Paryżu głosuje na Front Narodowy czy konserwatystów spod znaku Philippe'a de Villiersa, to jest zazwyczaj mniej zamożnym paryżaninem, któremu przyszło zmagać się z „ubogaceniem” swoich dzielnic przez imigrantów z Afryki i Syrii.

Generacja '68 może teraz pozwoli usuwać się w cień. Realizacją hasła powszechnej emancypacji pilnować będzie nowe pokolenie. Jej symbolem jest prezydent Emmanuel Macron. Wszystko pozostaje w dobrych rękach. ©

KIJÓW WSKRZESIŁ DZIENNIKARZA

We wtorek światowe media obiegrała wiadomość o zamordowaniu krytycznego wobec Kremla rosyjskiego dziennikarza. Arkadij Babченко miał zostać postrzelony w swoim mieszkaniu w Kijowie i umrzeć w drodze do szpitala. Dzień później dziennikarz – cały i zdrowy – pojawił się jednak na konferencji prasowej. Według ukraińskich służb „mord” został upozorowany w celu złapania osób planujących zabójstwo Babченко. O akcji nie wiedziała nawet żona dziennikarza. Manipulacja ukraińskich służb oburzeni byli Reporterzy bez Granic. (jap) ©



FOT. VALENTYN OGRENKO/REUTERS/FORUM

Dzięki rządowemu programowi „Rodzina 500 plus” w tym roku na wakacje wyjedzie ponad 70 proc. Polaków. To aż 15 punktów procentowych więcej niż rok wcześniej.

Z badania zrealizowanego na zlecenie Diners Club Polska wynika, że najbardziej popularne pozostają wyjazdy krajowe (wypoczynek w ojczyźnie planuje 41 proc. badanych). Znacznie wzrósł jednak odsetek osób, które na wakacje planują wyjechać poza granice kraju (w tym roku jest ich ponad 27 proc., a rok wcześniej plany takie miało zaledwie 13,9 proc. Polaków).

Na wyjazd zagraniczny częściej pozwolą sobie beneficjenci programu „500+” niż osoby niekorzystające z tego programu. W zeszłym roku na taki wyjazd zdecydowało się 25 proc. beneficjentów rządowego programu, a w 2018 r. na wakacje za granicę pojedzie



FOT. FOTOLIA

Dużo więcej Polaków wyjedzie na wakacje

już prawie 40 proc. „Spośród osób, które nie korzystają z tej formy pomocy od państwa, w tym roku na zagraniczny urlop wybierze się blisko 25 proc. badanych, co oznacza

wzrost o 12 punktów procentowych względem roku poprzedniego” – podają zlecniodawcy badania.

Wyjazdy zagraniczne najczęściej wybierają Polacy

między 30. a 39. rokiem życia. Wakacje w Polsce najchętniej spędzają najmłodsi ankietowani – taką formę wypoczynku wybrało 74 proc. osób w wieku 18–29 lat. © (jap)

REKLAMA

POLSKA RODZINĄ SILNA!



10 CZERWCA 2018 MASZERUJEMY W CAŁEJ POLSCE

ZNAJDŹ SWÓJ MARSZ
NA WWW.MARSZ.ORG





OSTATNI SPRAWDZIAN PRZED MUNDIALEM

Polscy piłkarze na zgrupowaniu w Arłamowie walczą o bilet na mundial – czyli o to, kto załapie się do ostatecznego składu na mistrzostwa świata w piłce nożnej w Rosji. A te zaczynają się już 14 czerwca meczem otwarcia, w którym Rosjanie staną naprzeciw Arabii Saudyjskiej.

Pięć dni później swój pierwszy mecz w grupie H zagrają biało-czerwoni. O godz. 17 zmierzą się z Senegalem. Czarnoskórzy piłkarze podczas ostatniego sparingu bezbramkowo zremisowali z Luksemburgiem. – Każdy z trzech meczów będzie ważny – mówił na konferencji Robert Lewandowski. – Nie będziemy się skupiać wy-

łącznie na pierwszym spotkaniu, ale na trzech, bo w każdym musimy zdobywać punkty.

Po meczu z Senegalem 24 czerwca o godz. 20 Polacy zagrają z Kolumbijczykami, a 28 czerwca o godz. 16 zmierzą się z drużyną Japonii.

Tuż przed samym wyjazdem na mundial polskie orły sprawdzą się dwa razy na boisku – już w ten piątek (8 czerwca, godz. 20.45) rozegrają w Poznaniu mecz towarzyski z Chile. Potem zmierzą się jeszcze na Stadionie Narodowym w Warszawie z reprezentacją Litwy (12 czerwca, godz. 18). **(luz)** ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Krwawe ofiary

Coraz trudniej spać o ofiary PiS-owskiego reżimu – więc spisuję; wszystkich nie dam rady, ale przynajmniej te najgłośniejsze. Jakubowi „Kubie” Wojewódzkiemu mężczyzna w patriotycznej odzieży, wznosząc narodowe okrzyki, spalił twarz żrącą, brunatną substancją (która w czarodziejski sposób zniknęła wraz z obrażeniami, gdy po na-

przez Rafałkę tej informacji zrobiło się o napaści głośno w Internecie, dwie godziny po zdarzeniu policja zgłosiła się do niego sama – wyjaśnił, że okno zdążył już wstawić, a kotka pochować, i odmówił złożenia formalnego doniesienia.

Pamiętajmy też o dramaturgu Demirskim, który pochwalił się zdjęciem poobijanej twarzy wraz z historią o pobiciu przez – znowu – osiłków w bluzach z Polską Walczącą w sklepie monopolowym. W sklepie musieli mieć niezły towar, bo – jak się okazało nazajutrz – Demirski musiał po prostu nie zauważyć, że obudził się w teatralnej charakterystyce, po której – gdy już dotarli doń dziennikarze – nie zostało ani śladu.

Pamiętajmy też o Wojciechu Dydusze, który padł trupem podczas grudniowego „ciamajdanu”, i co prawda zaraz wstał, ale jako ofiara PiS-owskiego reżimu pokazywany był przez kilka dni w światowych

serwisach. Nie zapomnijmy o męczennicach z ruchu „obywateli”, które uwały się na trasie Marszu Niepodległości, a wyniesione przez policję, paradowały potem w ortopedycznych kołnierzach – niestety, bez żadnej obdukcji lekarskiej. O innej męczennicy, nazwanej przez policjanta „kulsonem”, i o napastowanym na czarno dziennikarzu Agory, który stał i czuł się nienawidzony. I o innym „obywatelu”, który mówił, że został nocą pod Sejmem pobity i obrabowany z organizacyjnych pieniędzy przy bezczynności licznych tam sił porządkowych – ale też nie zgłosił tego policji ani nie poszedł do lekarza po obdukcję.

A teraz ten szaletowy zamach na życie rodziny pośła Breyzy... Pytam: Ile jeszcze krwi musi popłynąć, ile ofiar paść, aby Europa wreszcie zareagowała na błagania „totalnej opozycji” i obaliła ten PiS? We Włoszech potrafią – a tu im za daleko? ©©

Wyjaśnił, że okno zdążył już wstawić, a kotka pochować, i odmówił złożenia formalnego doniesienia

robieniu wokół sprawy szumu Wojewódzki musiał zgłosić się na policję. Podobny mężczyzna w patriotycznej odzieży, krzycząc: „Polska dla Polaków”, wybił kamieniem szybę i zmiażdżył kotka niejakiemu Rafałowi. Gdy po podaniu



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Ofiara systemów

Zimą 1942 r. w Ludmiłowce grupa GL-AL Grzegorza Korczyńskiego obrabowała i zamordowała ok. 100 polskich obywateli pochodzenia żydowskiego, w kwietniu 1944 r. oddział AL „Przepiórki” zamordował 16 mieszkańców wsi Dąbrówka i Potok-Stany, później oddział AL „Cienia” w Owczarni rozstrzelał 18 żołnierzy AK. Zbrodnie, których dopuścili się komunistyczne bojówki spod znaku Armii Ludowej wobec Polaków, zarówno żołnierzy podziemia, jak i cywili, można wymieniać bardzo długo.

Mimo to w niepodległej, demokratycznej Polsce, w centrum jej

stolicy prosowieccy zbrodniarze będą nadal honorowani jako patroni ważnej miejskiej arterii: al. Armii Ludowej. Wszystko dlatego, że – jak triumfująco ogłosił portal Gazeta.pl – „Sędzia uchylił dekomunizację”. WSA tłumaczy swoją decyzję kuriozalnie. Argumentuje bowiem, że wojewoda mazowiecki nie wykazał, iż al. Armii Ludowej jest gloryfikowaniem komunizmu, a opinii IPN sąd uznał za niewiążącą.

Problemu zapewne by nie było, gdyby PiS jeszcze w 2007 r. przyjął i przeprowadził ustawę dekomunizacyjną Ujazdowskiego. Wtedy jednak zabrakło partyjnej woli, dekomunizacja poległa w star-

ciu frakcji PiS, czego konsekwencje widać do dzisiaj.

Można zżymać się na decyzję sądu, którą w świetle faktów historycznych trudno uznać za zgodną z „wiedzą i doświadczeniem życiowym” – formułką tak chętnie stosowaną przez sądy przy orzekaniu w problematycznych sprawach. Trudno jednak mieć szczególnie silne pretensje do sędziego, w świetle orzeczenia jawi się on bowiem jako ofiara systemu. W zasadzie dwóch systemów: PRL-owskiego, który tłamsił prawdę historyczną, i tego obowiązującego w III RP, który w tak wielu urzędnikach zabił odwagę samodzielnego myślenia. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Minister Naimski i sygnaliści

Kim są sygnaliści (z angielskiego „whistleblowers”)? To ludzie, którzy wychwytyują nieprawidłowości, nieszczelności, przekręty – na ogół we własnej organizacji – i dają o tym znać opinii publicznej. Można też to pojęcie potraktować rozszerzająco i uznać, że sygnalistą jest na przykład specjalista od

przeszły oczekiwania. Na jednym z portali ukazał się pełen absurdów tekst „eksperta”, chętnie wchodziło z nim w interakcję – zrobił to za pośrednictwem swojego asystenta także jeden z liderów opozycji. Niestety, na haczyk złapał się również jeden z członków zespołu ministra Naimskiego, odpowiadającego za strategiczną infrastrukturę krytyczną. Maciążek i Wiech stwierdzili, że współpracownik ministra wielokrotnie dzielił się z fikcyjną osobą „wrażliwymi informacjami o najważniejszym projekcie energetycznym rządu ostatniej dekady – gazociągu Baltic Pipe”. Jak to oznacza zagrożenia dla państwa i jak łatwo byłoby działać w takich okolicznościach obcemu wywiadowi – nie trzeba mówić.

Co zrobił pytany o sprawę Naimski? Zaprzeczył, że w grze były jakiegokolwiek ważne informacje, oraz oznajmił: „Pan redaktor Maciążek, który chciał być do tej pory dziennikarzem zajmującym się sektorem energetycznym i być traktowany jak ekspert w tej dziedzinie, przesunął się do dziennikarstwa, które śledzi sensację, prowokuje i jest niepoważne. [...] Sądję, że zarówno jego portal, jak i on sam przestaną istnieć w sektorze”.

Stare powiedzenie mówi, że nie strzela się do posłańca. Piotr Naimski zamiast wygłaszać stwierdzenia, brzmiące jak groźby wobec dziennikarzy, powinien podziękować, przeprosić i zająć się uszczelnianiem grupy swoich współpracowników. ©

Niestety, na haczyk złapał się również jeden z członków zespołu ministra Naimskiego

cyberbezpieczeństwa, który znajduje lukę w zabezpieczeniach firmy i daje o tym znać jej oraz jej klientom. Firmy od dawna wiedzą, że w takiej sytuacji należy szybko przyznać się do błędu, pokajać, podziękować sygnaliście i szybko załatać lukę.

Funkcję sygnalistów mogą też pełnić dziennikarze, zwłaszcza gdy dzięki prowokacji – bardzo ważnemu dziennikarskiemu narzędziu – ujawniają poważne problemy państwa.

Tak zrobili dwaj dziennikarze branżowego portalu Energetyka24, Piotr Maciążek i Jakub Wiech. Wymyślili sobie eksperta od energetyki, Piotra Niewiechowicza, założyli mu konta na różnych portalach społecznościowych, sprecyzowali słabo udokumentowane i pełne błędów teksty rzekomo jego autorstwa, zaczęli za niego pisać posty i komentarze. Efekty



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Zamach na toi toia

Ataki na polityków to kiepski temat do żartów.

Zdarzają się jednak takie przypadki, w których partię bardzo by chciały, aby losowy wypadek można było uznać jako „cenę za uczciwość”. Tak też stało się w Inowrocławiu, w kamienicy posła Krzysztofa Brejzy, który zgłosił „próbę morderstwa”. A jak było naprawdę? „Szczerze współczuję Krzysztofowi Brejzie i jego rodzinie. Uwierzyłem Wojciechowi Czuchnowskiemu, mój błąd. Okazało się, że chodzi o pożar plastikowej sławki przy remontowanej kamienicy. »GW« już w niczym nie można wierzyć!:(” – stwierdził Samuel Pereira.

Tym samym wywołał kolegę po fachu do tablicy.

„Zakłamy propagandzisto, ta sławka to była plastikowa toaleta tuż przy ścianie. Doskonale wiesz, że świetna na podpałkę, zapewne dla wiernego widza twojej plugawej kurwizji. Szczujcie dalej” – ripostował z klasą Wojciech Czuchnowski. „Chciałabym się mylić, ale zdaje się, że szczucie TVPIS przynosi efekty” – dołączyła do chóru wątpliwych Renata Grochal z „Newsweeka”.

I kiedy wszyscy mieli już gotowe tezy, przyszło

oficjalne wyjaśnienie. „Zatrzymano mężczyznę, który doprowadził do pożaru przy kamienicy posła Brejzy. W trakcie czynności mężczyzna przyznał się, że nieumyślnie, niedopałkiem papierosa, spowodował pożar toi toia” – napisał Michał Wróblewski z Wirtualnej Polski. Dodajmy, że nie chodziło o jakiegoś tam mężczyznę z ulicy, tylko sąsiada posła, który pierwszy ruszył do gaszenia pożaru.

Nie zniechęciło to jednak pierwszego dziennikarza śledczego „Wyborczej”, który ruszył do kontrataku.

„Leszek Walkiewicz, właściciel firmy Lemur, która ociepla kamienicę posła Brejzy, nie wierzy, by porzucony niedopałek przy przenosnej toalecie mógł doprowadzić do pożaru. Na podwórku były też materiały ociepleniowe, ale i one się nie palą, a topią” – postulował Czuchnowski.

„Policja powinna zrobić wszystko, co możliwe,

aby złapać podpalaczy domu posła Brejzy. Jeśli to się im nie uda, to minister Brudziński winien się podać do dymisji” – naciskał z kolei Roman Giertych. „Sąsiad, który rzucił kiepa do toi toia, schwytywany. Joachim Brudziński uratowany” – napisał Konrad Kołodziejewski z „Sieci”. I to by było na tyle, jeśli chodzi o największą afere zamachową III RP. ©



FOT. PAVEL GRONADAR

KWADRANS SŁAWY

Dopiero co gruchnęła wieść, że Renata Kaczoruk i Kuba Wojewódzki rozstali się po ponad pięciu latach związku, a kolorowe media już rozpoczęły poszukiwania nowego partnera dla Renaty. Podobno ta jest już gotowa na nowy związek, ale ze starego wyciągnęła odpowiednie wnioski. Dlatego dziś wie, jaki powinien być jej nowy mężczyzna. Albo raczej jaki być nie powinien. – Przed wszystkim ma się różnić od Kuby. Nie może być skupiony niemal wyłącznie na sobie. Musi to być ktoś, kto w przeciwieństwie do Kuby będzie gotowy do założenia rodziny i wychowania dziecka, o czym Renata marzy już od dawna. Najlepiej, by był spoza show-biznesu – opowiada „Faktowi” znajomy celebrytki. W magazynie „Flesz” czytamy z kolei, że Kaczoruk chce swoją popularność wykorzystać w celach związanych z „działalnością prospołeczną”. – Przeżyła już swój kwadrans sławy i nie chce go za wszelką cenę przedłużać. Będzie się starała wykorzystać swoją popularność do celów związanych z jej działalnością prospołeczną. Będzie jej trudno, bo przez minione lata funkcjonowała jako dziewczyna Wojewódzkiego. Nawet reklamodawcy byli nią zainteresowani tylko w kontekście jej życia prywatnego – mówi. To się raczej nie zmieni. Bo w jakim innym kontekście mają się nią interesować, skoro jest znana tylko z tego?



FOT. VIKTORIA EAST NEWS

SKROMNY JESTEM NIESŁYCHANIE!

Piłkarz Grzegorz Krychowiak jest znany ze swojego zamiłowania do mody. Przywiązuje dużą wagę do swoich stylizacji. Złośliwi twierdzą, że większą niż do swojej gry, ale my się tam na piłkę nie znamy, więc nie będziemy tego wątku ciągnąć. W każdym razie Krychowiak postanowił zainwestować w swoją pasję, jaką jest miłość do ładnych i nietanich ubrań, i otworzyć własny butik w Warszawie. O swoim pomysle opowiedział w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. – W Paryżu jest mnóstwo miejsc, w których szyte są garnitury na miarę. Jedno mi się spodobało, pomyślałem, że fajnie byłoby stworzyć takie w Warszawie. Kiedy wchodzimy do normalnego sklepu, widzimy kilkanaście modeli dzinsów, koszulek wymyślonych przez jakiegoś projektanta. W miejscu, gdzie szyte są garnitury na miarę, ty stajesz się kreatorem – opowiada. A co, jeśli ten biznes nie

wypali? Krychowiak ma w zanadrzu jeszcze kilka innych pomysłów. – Jest wiele rzeczy, które sprawiają mi przyjemność. Widziałbym siebie w roli trenera, a może prezentera telewizyjnego. Ale głęboko o tym nie myślałem – opowiada.

Strach pomyśleć, w jakiej roli zobaczy siebie Krycha, gdy weźmie się za głębsze przemyślenia! Dlatego trzymamy jednak kciuki za ten butik.

40 LAT CZY WIĘCEJ?

Wiek Małgorzaty Rozenek to jedna z tych rzeczy, które budzą największe emocje w polskim show-biznesie. Niemniej ona sama wydaje się tym specjalnie nie przejmować i cały czas utrzymuje, że jest młodsza niż głośzą złośliwe plotki. Tak więc w najnowszym wywiadzie dla magazynu „Party” opowiada o swoich zbliżających się 40. urodzinach. – W czterdziestkę wchodzę z radością, bo nie podejrzewałam, że mogę być tak spełniona. Myślę czasem: „Czy mogę mieć więcej szczęścia?”. Za chwilę jednak pojawia się druga myśl: „Żeby się tylko nic nie zepsuło!” – mówi celebrytka. Oczywiście przy tej okazji zdradziła też tajemnicę swojej urody i młodego wyglądu. – Podstawa to sen. I woda! Ćwiczenia też nie szkodzą. No i oczywiście ważne są dobrze dobrane kosmetyki. Brzmi to wszystko jak truizm, ale tak jest. Im więcej śpię, tym lepiej wyglądam. Woda utrzymuje dobrą wagę i wygląd skóry. Kolejna rzecz to mezoterapia, którą polecam robić dwa razy w roku – wylicza Małgorzata. Jak zwykle zapomniała wspomnieć o niezliczonej liczbie zabiegów medycyny estetycznej i chirurgii plastycznej. Cóż, w jej wieku pamiętać już nie ta.

STRESUJĄCA SPRAWA

Musimy rozczarować wszystkich tych, którzy myśleli, że koniec związku Beaty Tadli i Jarosława Kreta oznacza także koniec zainteresowania medialnego tą już nieparą. Jest dokładnie odwrotnie. Zainteresowanie jest dużo większe, co samym zainteresowanym zdaje się nie przeszkadzać. W końcu w show-biznesie liczy się rozgłos. Tadla odkąd wygrała „Taniec z gwiazdami”, nie schodzi z czołówek portali plotkarskich i chętnie udziela wywiadów. Kret ma nieco gorzej, więc próbuje się podczepić pod jej sukces i sugeruje, że chce do Beaty wrócić. Ponoć pisze do niej nawet listy miłosne! – Czytam, co pisze, i milczę. Brak mi sił, by wracać do przeszłości, ale jestem otwarta na to, co nowe. Przez cztery miesiące żyłam w innej, tanecznej rzeczywistości. To mnie odmieniło – wyznaje Tadla na łamach tygodnika „Na Żywo”. Na pytanie o możliwość odbudowania swojego związku z Kretem reaguje dość nerwowo. – Stresuje mnie już samo myślenie o tym – uci- na. Wszystkich chyba stresuje. Bo przecież znów zaczęliby udzielać wspólnych wywiadów! ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, ale Londyn ma OSOM urzędników. Po pierwsze, w ogóle istnieje tam stanowisko pełnomocnika burmistrza ds. turystyki pieszej i rowerowej. Po drugie, osoba na tym stanowisku zwróciła uwagę na palący problem rasowej dominacji wśród londyńskich cyklistów.

Urzędnik uznał, iż na londyńskich rowerach można zaobserwować zbyt małą różnorodność etniczno-kulturową, a w tej sytuacji rower staje się narzędziem opresji starszego, białego, heteronormatywnego mężczyzny względem wykluczonych środowisk z pigmentalnie uposażonego ładu oraz z bliskiego nam wschodu.

W tej sytuacji należy oczywiście rozdawać darmowe rowery, iPhone'y (iż Endomondo) i wiklinowe kosze na wegańską żywność wszystkim osobom migracyjnie dodatnim oraz zachęcać je do wzmożonej aktywności rowerowej, najlepiej za pomocą odpowiedniego systemu zasiłków. Ostatecznie można rowery zabrać tym pigmentalnie nieuposażonym nienawistnikom, niech chodzą pieszo, a najlepiej nie wychodzą

Otwórz tam kłoty, to pewnie Irlandiz!



w ogóle na ulice, iż tam też ich jest za dużo.

Będziemy z zainteresowaniem śledzili starania pełnomocnika o rozwiązanie tej pożałowania godnej dyskryminacyjnej sytuacji, a następnie chętnie wcielimy je w życie w naszych realiach, ale wobec kierowców samochodów.

Wzruszył nas dziennikarz „Wyborczej”, który podczas rozmowy z sekretarzem generalnym NATO zapytał, czy ten spotkał się z osobami niepełnosprawnymi protestującymi w Sejmie.

Mamy krótki poradnik dla dziennikarzy postępowych mediów, jak rozmawiać ze znanymi osobistościami ze świata nauki, sztuki, sportu i kultury, tak aby zwrócić jednocześnie uwagę na problemy tego kraju:

Z papieżem Franciszkiem:
„Podczas ostatniej modlitwy Anioł Pański wyglądał ojciec świecki na głęboko zamyślonego. Czy ojca zdaniem rosnące ceny paliwa w Polsce są winą rządu?”

Z Lorisem Kariusiem z Liverpoolu:

„Loris, powiedz, na twój brak koncentracji w finale Ligi Mistrzów UEFA mogły wpłynąć

ostatnie sondaże, na mocy których PiS nadal może liczyć na najwyższe poparcie?”

Z Robertem Lewandowskim:

„Robert, przygotowujecie się w Arłamowie do mistrzostw świata. Był tu kiedyś internowany Lech Wałęsa. Na pewno wracasz do tego myśłami i nie dajcie ci spać to, co z legendą Wałęsą wyprawiają teraz różnej maści nienawistnicy i oszołomy?”

Z Bono:

„Bono, kiedy zachęcaliście z kolegami z U2 Irlandczyków do głosowania za prawem do wyboru, na pewno myślałeś o piekle kobiet, jakie w tym kraju szykują PiS z episkopatem i podkarpaciami?”

Z Przeciętym Zachodnioeuropejskim Turystą w tym kraju:

„Pewnie lubiliście spędzać wakacje w tym kraju, dopóki nad morze, w góry i do wielkich ośrodków nie rzuciło się »500 plus«? Na pewno było wam przyjemniej bez konieczności oglądania tyłu biednych Polaków?”. ©©

Spieśzcie się uciekać z Nowoczesnej dopóty, dopóki kogoś to jeszcze obchodzi...



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

**NIE POZWÓLMY, ABY
WYDARZENIA SPRZED LAT
ULEGŁY ZATARCIU.
DZIELMY SIĘ RELACJAMI
Z TEGO TRUDNEGO CZASU.
KAŻDY, KTO PAMIĘTA ROK 1981,
NOSI W SOBIE WYJĄTKOWE
WSPOMNIENIA.
UŁÓŻMY Z NICH JEDYNY
W SWOIM RODZAJU OBRAZ
TAMTYCH DNI.**

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU

**WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU
MUZEUM WSPOMNIENI!**

**PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI
ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE. SZCZEGÓŁY NA:
WWW.SUPERHISTORIA.PL**



Coś dla zdeorientowanych. Już wyjaśniamy, skąd pogłoski, że Zły Donald z Brukseli ma się zaangażować w spór z Unią o praworządność i pomóc rządowi (jakkolwiek dziwnie by to brzmiało). Otóż Zły Donald z Brukseli znany jest z tego, że angażuje się tylko w takie bitwy, w których jest pewien wygranej. Stąd wniosek, że przełom i wygrana Polski i tak są blisko, a Zły Donald sprytnie chce upiec przy okazji własny kebabik.

Już wyjaśniamy, co to za kebabik. Jak informują wiewiórki z PeŁo, Zły Donald z Brukseli naprawdę chce maszerować w 2019 r. do europarlamentu na czele drużyny Donalda, razem z Bronkiem I Bezwąsą, Ewką Doktor z Szydłowca i tak dalej. Wyobrażacie sobie, jaką jatkę urządzi taka ekipa w Strasburgu? Róża Thun się chowa tam, gdzie Wanda, co nie chciała Niemca. Donald Negocjator już dziś postanowił zadbać o to, co zawsze, czyli PR.

Władze niemieckiej stolicy zaniżały o połowę liczbę mieszkańców z polskim paszportem. Od tej pory zamiast „oszwabić” można zacząć mówić „oberlinić”

Apropos pieczenia własnych kebabów. Grzesiek „Żulik Lwowski” Schetyna jest przekonany, że nawet jeśli PiS wygra w 2019 r., to rządził będzie jedynie w koalicji z kukistami, czyli jakieś maks. 6–10 miesięcy. Wtedy przedterminowo odbędą się nowe wybory i grzeskowiacy sformują koalicyjny rząd odrodzenia narodowego wszystkich ze wszystkimi. Tworzony w europarlamencie rząd Donalda na uchodźstwie nie będzie miał wtedy już tak wielkiego znaczenia.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Apropos PR – chryja o to, czy odbędzie się referendum konstytucyjne prezydenta Andrzeja Sebastiana, weszła w nową fazę. Wedle oficjalnych przecieków z Nowogrodzkiej wszystko zależy od tego, jakie pytania postawić chce Andrzej Sebastian. Wedle nieoficjalnych przecieków to wszystko pic na

wodę i już zlecono badanie, czy elektorat przyjmie uwalenie referendum jako „żrą się, panie, żrą się”, czy jako wyraz odpowiedzialności i geniuszu Kaczora Dyktatora.

Ciekawscy dopytują, któryż to z wicepremierów miałby zostać podmieniony w ramach restrukturyzacji rekonstrukcji rządu. Podpowiadamy: ten, któremu brak poczucia humoru. My tam nie życzymy mu źle, bo w Łodzi bardzo go chwalą. Chcielibyśmy jedynie pokazać, do jakich podłości są zdolne niektóre wiewiórki z Nowogrodzkiej.

Wracając do europarlamentu – sporo zamieszania w pewnych kręgach wzbudziła nasza opowieść z ubiegłego tygodnia o ambicjach europejskich ministra rozwoju Kwiecińskiego Jerzego, który chce zostać unijnym komisarzem. „Przecież nie jest znany ani w Polsce, ani w Europie” – mówili ludzie małej wiary. Otóż jest, i to coraz bardziej. Znaczący w Europie. Premier Mateusz używa go bowiem w ciich negocjacjach z Brukselą na temat

praworządności. Co miało być sekretem, ale już nie jest.

Ludzie małej wiary mogą zapytać: Ale dlaczego premier Mateusz używa w tych europejskich sprawach Kwiecińskiego, skoro ma ministra spraw zagranicznych Jacka Czapę-Czaputowicza, i to w dodatku mało używanego? Otóż premier Mateusz ma na temat Czaputowicza podobne zdanie jak Kaczor Dyktator. Że to taki eksperyment, a w ważnych sprawach nie ma co eksperymentować.

Apropos tego, jak przebiegają eksperymenty nie tylko w MSZ. W Berlinie gościła ostatnio nowa koordynator stosunków polsko-niemieckich pani podsekretarz stanu z MSWiA Renata Szczęch (do niedawna – w MSZ). Wraz ze swoim niemieckim odpowiednikiem spotkała się z obywatelami obu krajów w gmachu niemieckiego MSZ. W miarę postępu spotkania robiliśmy coraz bardziej okrągłe oczy. Pani mogłaby świetnie pasować już nawet nie do PeŁo, ale do nieboszczki Mumii Wolności. Powiemy tylko, że z prawdziwym entuzjazmem przywitała propozycję nazwania jednego z mostów imieniem Bartoszewskiego, którego z uporem maniaka tytułowała profesorem.

Atak w ogóle w Berlinie doszło do cudownego rozmnożenia Polaków. Od lat niemieckie statystyki pokazywały, że w stolicy Niemiec żyje o połowę mniej Polaków niż Turków. Aż tu nagle okazało się, że władze niemieckiej stolicy zaniżały o połowę liczbę mieszkańców z polskim paszportem, przesyłając dane do urzędu ds. cudzoziemców. Dziwnym trafem 55 tys. Polaków zameldowanych legalnie w Berlinie nie figurowało w statystykach. A właśnie od tych statystyk zależy wysokość dotacji na poszczególne grupy narodowościowe. Od tej pory chyba trzeba przestać mówić „oszwabić”, a zacząć „oberlinić”.

Wracając do Warszawy. Patryk Jaki KNPKW (Który Nie Prowadzi Kampanii Wyborczej) kompletuje sztab. Są dwie wiadomości: dobra i zła. Dobra: w sztabie pojawili się pierwsi fachowcy. Zła: nie są najszcześliwsi z dotychczasowej nadaktywności Patryka.

Tymczasem po mieście chodzą ludzie, którzy opowiadają o cichym sojuszu Jakiego z Piotrem Guźcem-Guziałem. Plotki biorą się stąd, że Guział różnym ludziom, którzy przychodzą do niego z żalami, obiecuje, że on już załatwi, żeby Jaki załatwił. Ludziom małej wiary przypominamy, co łączy Patryka i Guźca. Nie lubią PeŁo, są za Lechem Kaczyńskim i nie przeszkadza im Parada Równości. Taka oświecona prawico-lewica.

Żeby było zabawniej, przeciwnicy ziobrystów chodzą po mieście i opowiadają, że z tym Jakim to tylko pic na wodę, fotomontaż. I że Jaki jest zającem wyborczym, a prawdziwy kandydat na prezydenta Warszawy zostanie przedstawiony we właściwym, przewidzianym ordynacją terminie. Jak widać, także wśród wrogów ziobrystów nie brak ludzi sfrustrowanych.

Tymczasem w Sejmie. Nie, nie, Patryk nigdzie się nie wybiera. Im bardziej PeŁo będzie chciało, żeby zrezygnował z funkcji szefa komisji weryfikacyjnej, tym bardziej Patryk nią będzie kierował.

Chcieliśmy też napisać coś ciekawego o Rafciu Trzaskowskim KNPKW (Który Nie Prowadzi Kampanii Wyborczej), ale niestety się nie udało w tym tygodniu. Jaki kandydat, takie plotki. No bo o tym, że Rafcio sądzi, iż

Jak się okazuje, to właśnie ten tytan nie chciał wystąpić o areszt dla członków mafii lekowej. Zdobył się ledwie na zakaz opuszczania kraju. Jeden tylko problem. Nie powiadomił o tym Straży Granicznej. Na szczęście zauważyły to sekretarki.

Przeciwnicy ziobrystów chodzą po mieście i opowiadają, że z tym Jakim to tylko pic na wodę, fotomontaż.

I że Jaki jest zającem wyborczym, a prawdziwy kandydat na prezydenta Warszawy zostanie przedstawiony we właściwym, przewidzianym ordynacją terminie

Polsce niepotrzebne lotnisko, gdyż jedno już jest w Berlinie, to wiecie. Pójdziemy dalej: Warszawie Rafcio też nie jest potrzebny, niech go sobie zostawia w Krakowie.

Rubryka kryminalna. Pamiętacie tego białostockiego prokuratora od swastyki jako hinduskiego symbolu szczęścia? Od tamtego czasu ma ksywę Piroman, ponieważ wysadził w powietrze swojego przełożonego.

Ciąg dalszy rubryki kryminalnej. Czarne chmury gromadzą się nad Janem Parysem. Pamiętacie sprawę wycieku notatki Z-99/2018 – tej, która mówiła o tym, że w związku z nowelizacją ustawy o IPN prezydent Andrzej Sebastian nie będzie przyjmowany w Białym Domu? Otóż postępowanie wszczęte w MSZ jako źródło wycieku wskazało gabinet polityczny. A na jego czele stał nie kto inny, tylko Parys. ©©

REKLAMA

Spowiedź Nikosia z za grobu.

Rozmowa w Tadeuszu Batyrem, autorem książki „Spowiedź Nikosia z za grobu”.

„Spowiedź Nikosia z za grobu” to pierwsza biografia Nikodem Skotarczaka, ojca chrzestnego trójmiejskiej mafii. Kim był Nikoś?

Na to pytanie dotychczas nikt nie odpowiedział, bo w przypadku życiorysu Nikosia publicyści i opinia publiczna zadowalali się kolejnymi legendami i domysłami. Dziś łatwiej odpowiedzieć kim nie był – nie był ani ojcem chrzestnym, ani monopolistą świata przestępczego lat 80. Nazwałbym Nikosia rzecznikiem prasowym gangsterów późnego PRL. Rzecznikiem o niezwykle ciekawym życiorysie...

Nikoś zorganizował jedną z najsukuteczniejszych grup przestępczych na Pomorzu.

Powiedziałbym, że jedną z najsukuteczniejszych w Polsce. Natomiast, i dlatego warto przeczytać tę książkę, nie powiedziałbym, że to Nikoś był jej twórcą. Nie byłoby to możliwe bez pomocy innych, mniej znanych, a bardziej doświadczonych gangsterów, czy bez wsparcia organów ścigania.

Do legendy przeszedł także nielegalny powrót „Nikosia” do Polski przez Austrię na początku lat 90.

Brawurowo wymknął się z policyjnego „kotła” w Krakowie w 1992 roku. Równie sensacyjna była jego ucieczka z policyjnego konwoju w Warszawie, jeszcze w tym samym roku. Rozwiązanie tych zagadek kryje się w niestety niedostępnych aktach UOP.

Przez jakiś czas kontrolował klub piłkarski - Lechię Gdańsk?

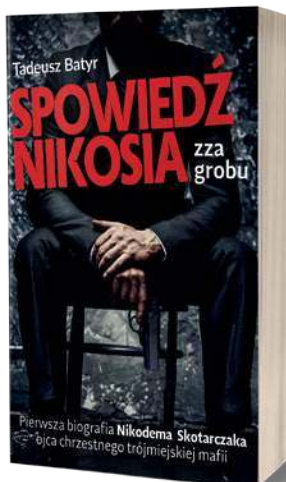
Sponsorował Lechię, to prawda. Był też przez pewien czas kierownikiem sekcji rugby. W Lechii współpracował bardzo blisko z multiagentem SB Edwinem Myszkim..

Czy współpracował ze służbami?

Nie ma na to żadnych dowodów w postaci dokumentów. Współpracował natomiast z byłymi esbekami, milicjantami i członkami PZPR.

Dlaczego określa się go mianem gangstera - celebryty?

Lubił ludzi, pieniądze, luksus, lubił sam siebie, miał pogodne usposobienie. Uwielbiał gdy pisano i mówiono o nim w mediach. Był przy tym dość zamożny i miał regularny dostęp do luksusowych produktów. Idealny materiał na celebrytę.





**Z Michałem Rachonem,
dziennikarzem TVP**
rozmawia *Łukasz Warzecha*

ŁUKASZ WARZECHA: Zacytuję ci fragment z niedawnego tekstu Piotra Zaremby, odnoszący się do jednego z prowadzonych przez ciebie programów: „Kiedy trójka polityków opozycji wyszła z programu Michała Rachonia będącego w teorii przeglądem poglądów partii politycznych, władze TVP Info zareagowały oświadczeniem: »Minęły czasy, kiedy koalicja PO-PSL wyznaczała tematy i gości«. I to prawda, tylko że nadeszły czasy, kiedy robi to PiS. Sposób, w jaki Rachon zadaje pytania (tym razem o domniemaną agencję towarzyską w mieszkaniu Stanisława Gawłowskiego), nie ma nic wspólnego z moderowaniem dyskusji. To przesłuchiwanie jednych, kadzenie innym, zgodnie z linią partii rządzącej”. Ostro ci ocenił...

MICHAŁ RACHON: Nikt nie wyznacza tematów ani gości w moim programie. Piotr Zaremba po prostu napisał nieprawdę. Robię to ja, osobiście. W swojej pracy kieruję się zasadą, że fakty są faktami i są święte, a na temat opinii możemy dyskutować, chciałbym, żeby moi oponenti trzymali się również faktów. Piotr Zaremba sugeruje, że gospodarz programu publicystycznego jest moderatorem. Ja nim nie jestem. Jestem autorem telewizyjnego programu publicystycznego. Wydawałoby się, że człowiek, który całe lata spędził w roli publicysty politycznego, powinien znać znaczenie terminu „publicystyka”. Pozwól, że zacytuję z Wikipedii: „subiektywne gatunki wypowiedzi w środkach komunikacji społecznej (prasa, radio, telewizja, Internet, książka, wydawnictwa jednorazowe) na publicznie interesujące w danym momencie tematy. Wypowiedź publicystyczna interpretuje i ocenia fakty z przyjętego przez autora punktu widzenia, celem jej jest zaś wpływ na opinię publiczną”. Powtarzam: nie jestem moderatorem dyskusji. Prowadzę programy publicystyczne, zgodnie z definicją tego pojęcia.

Czytam to jako pewne uogólnienie sytuacji w TVP, niekoniecznie dotyczące akurat twojego programu. A opinia na temat tego, jak zadajesz pytania?

Trzymajmy się konkretnie. W cytowanej przez

ciebie wypowiedzi Zaremba pisze o konkretnej sytuacji z konkretnego programu. Spytałem wówczas o zweryfikowaną informację o usługach świadczonych w mieszkaniu Gawłowskiego, którą tego dnia podało Radio Szczecin. W kolejnych dniach te ustalenia potwierdzone zostały przez samych zainteresowanych. Rozumiem, że zadanie pytania o tego typu kwestię, dotyczącą sekretarza generalnego dużej partii, jest dla niej poważnym wizerunkowym problemem. Jednak to nie uzasadnia reakcji przedstawicieli trzech ugrupowań opozycyjnych, obecnych w studiu, którzy zamiast odnieść się do tej sprawy, w odpowiedzi zaczęli obrzucać mnie inwektywami.

Od jednego usłyszałem, że stosuję „ubeckie metody”. Drugi zapytał mnie, czy sam korzystałem z usług tejże agencji towarzyskiej. Trzeci powiedział, że jestem „funkcjonariuszem”.

Powiedzmy sobie szczerze: jako prowadzący jesteś bardzo daleko od przezroczystości. I to najdelikatniej mówiąc.

Mam swoje poglądy, uważam, że nieuczciwe byłoby ukrywanie ich przed widzami. To w niczym nie zmienia faktu, że jestem ciekaw odmiennych punktów widzenia. Myślę również, że właśnie z różnicy poglądów rodzi się interesująca dyskusja, ale powtarzam – punktem odniesienia

Mam swoje poglądy



FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

są fakty. One są święte. Co do opinii na ich temat – spierajmy się. Na tym polega wolność słowa, tym jest debata publiczna. Takie zasady panują w najlepszej telewizji informacyjnej świata, Fox News. I widowie, i goście wiedzą, jakie poglądy ma np. Tucker Carlson, gospodarz tamtejszego odpowiednika „Minęła 20”. Goście przychodzą, nawet kłócą się z nim na wizji, czasem on kłóci się z nimi, a potem żegnają się, mówiąc: „Dzięki za zaproszenie i mocną debatę, widzimy się następnym razem”.

Ja jednak zakładałbym, że program, w którym wypowiadają się przedstawiciele partii, zapraszani zgodnie z obiektywnym kryterium sondażowym, będzie prowadzony na zasadzie bezstronnej moderacji, a nie jak program autorski, w którym Rachoń daje wyraz swoim prywatnym poglądom politycznym.

Mogę tylko powtórzyć, że to jest program publicystyczny i w taki sposób jest prowadzony. Jeśli uważasz, że prowadzący taki program ma być stojakiem na mikrofon, to kategorycznie się nie zgadzam.

Nie może być stojakiem, bo jego rolą jest choćby wybór tematów. Natomiast w prowadzeniu rozmowy powinien być możliwie przezroczysty.

Sam wybór tematów dyskusji już jest ingerencją w treść. Likwiduje więc mityczną „przezroczystość”, o której mówiś. Nie można udawać, że nie ma się na daną sprawę poglądu, gdy się go ma, bo to właśnie byłoby nieuczciwe. Odbiorca powinien mieć świadomość, że prowadzący ma swoje zdanie, natomiast może się z nim zgadzać lub nie. Tomasz Lis czy Monika Olejnik przez lata udawali, że jeśli już mają jakieś poglądy, to są one po prostu „normalne”. To w czasach mediów społecznościowych i Internetu nie przejdzie. Widz czy słuchacz ma przede wszystkim prawo do niebicia oszukiwanym. Problem z polskimi mediami, w tym zwłaszcza z publicystyką telewizyjną, przez cały okres III RP polegał w dużej mierze na tym, że cnotą uczyniono ukrywanie własnych poglądów przez prowadzących programy. W filmie „Nocna zmiana” widzimy, jak wtedy wyglądała rola późniejszych tuzów polskiej publicystyki. Właśnie Moniki Olejnik czy Tomasza Lisa. Czy oni wówczas nie mieli poglądów czy może udawali, że ich nie mają? Wtedy i przez kolejne 20 lat.

Może w takim razie problem leży w tym, że jest publicystyczny program Michała Rachońa, ale

obok nie ma publicystycznego programu np. Jacka Żakowskiego w podobnej formie?

Mogę odpowiadać tylko za swój program i za siebie.

W definicji publicystyki, którą cytowałeś, pojawia się stwierdzenie, że publicysta porusza tematy istotne dla opinii publicznej. Niedługo wychodzi książka dwójga dziennikarzy „Wprost” o Antonim Macierewiczu. Jest w niej omawiany już teraz w mediach wątek przesłuchań przez SB w 1968 r. Temat ciekawy, sam Macierewicz budzi duże emocje. Zrobisz program na ten temat?

Odpowiem, jak odpowiadam zawsze w przypadku książek: podejmę decyzję, kiedy przeczytam książkę. Tak zrobiłem w przypadku książki Tomasza Piątka, której merytoryczna jakość jest żenująco niska, mimo to nie była ona tematem tabu w moich programach. Kiedyś bywało inaczej. Na przykład nieżyjąca już Janina Paradowska komentowała raport o likwidacji WSI bezpośrednio po jego opublikowaniu. A był to tom o objętości, wraz z załącznikami, ok. 300 stron. Podobnie zachowywano się w przypadku książki Sławomira Cenciekiewicza i Piotra Gontarczyka „SB a Lech Wałęsa”. Autorzy byli piętnowani, choć nie odnoszono się do treści zawartych w książce. Ja najpierw czytam, później komentuję. Nigdy odwrotnie.

Przykład innego ważnego tematu: domniemane naciski Lecha Kaczyńskiego jako prokuratora generalnego, które – zdaniem „Gazety Wyborczej” – miały się przyczynić do oskarżenia i skazania Tomasza Komendy. Nie rozstrzygam, czy to prawda, ale sądzę, że pytanie warto zadać. Widzisz miejsce na ten temat w swoim programie?

W programie „Woronicha 17” była dyskusja na ten temat. Warto tu jednak kilka słów powiedzieć o samej sprawie. Kiedy uznaliśmy, że sprawa Tomasza Komendy jest tematem, o który chcemy spytać polityków, wyszukaliśmy z moimi współpracownikami relacje osób z rodziny ofiary zabójstwa. Nie jest tajemnicą, że spotkali się oni z Lechem Kaczyńskim i że on, jako prokurator generalny, osobiście się tą sprawą zajmował. Robił to jednak dlatego, że rodzina ofiary nie mogła sobie poradzić ze skandalicznym sposobem prowadzenia tej sprawy przez prokuraturę.

Czy dziennikarz powinien oceniać wszystkich według tych samych kryteriów, czy też w grze polityczno-medialnej są jacyś „dobrzy”, którym wolno więcej, i „zli”, którym wolno mniej, więc należy ich bardziej dociskać?

Na pewno istnieją dobro i zło, prawda i fałsz. Nie ma jednak żadnych grup zawodowych, polityków, partii, które byłyby wyjęte spod oceny według tych kryteriów – właśnie dobra i zła, prawdy i fałszu.

Czyli jeśli polityk łamie daną wyraźnie obietnicę, to zasługuje na potępienie? Tak jak np. Tusk złamał bardzo wyraźną obietnicę niepodnoszenia podatków.

Uważam, że politycy powinni realizować swoje wyborcze obietnice. Jednak oceny postępowania polityka powinni dokonywać przede wszystkim wyborcy.

Oraz publicyści, zresztą również będący wyborcami.

Oczywiście.

W takim razie przypomnę następujący fragment wystąpienia: „Ale już dzisiaj chcę powiedzieć, co przede wszystkim zrobimy w czasie pierwszych stu dni naszych rządów. [...] Po trzecie, podniesienie do 8 tys. zł kwoty wolnej od podatku”. To exposé Beaty Szydło z 18 listopada 2015 r. Ewidentnie złamana obietnica, części podatników kwotę wolną zmniejszono, części skasowano. Obiecywano niepodnoszenie podatków, a dopiero co ogłoszono wprowadzenie daniny solidarnościowej. Warto o tym przypominać?

Powtarzam: przede wszystkim wyborcy muszą dokonać oceny takiej polityki. Natomiast wielokrotnie w swoich programach pytałem polityków Prawa i Sprawiedliwości, kiedy obietnica podwyższenia kwoty wolnej zostanie zrealizowana, i zadawanie takich pytań uważam za obowiązek dziennikarza. Pytałem też polityków PiS o daninę solidarnościową, nazywając ją zresztą wprost nowym podatkiem, bo przecież nim jest. Takie pytanie powinno być zadane w związku z obietnicami, jakie dawali rządzący.

Deklarujesz się jako zwolennik daleko posuniętej wolności słowa...

Uważam, że jeśli zgadzają się fakty, to nikt nie ma prawa krytykować kogoś tylko dlatego, że rzetelnie te fakty przytaczając, ocenia je w sposób, który nam się nie podoba.

Co w takim razie z „przemysłem pogardy” wobec Lecha Kaczyńskiego? Gdzie tam leżała granica wolności słowa?

W „przemysle pogardy” chodziło o coś innego – o notoryczne fałszowanie faktów. O coś, co można by nazwać strategiczną dezinformacją, która jest

■ jednak działaniem z zupełnie innego zakresu pojęć niż wolna debata i wymiana poglądów. W tym wypadku nie mieliśmy do czynienia z kontrowersyjnymi opiniami, ale ze zorganizowaną akcją, będącą częścią ofensywy jednego państwa przeciwko drugiemu państwu. Rosji przeciwko Polsce. Ofiarami tych działań byli m.in. śp. Lech Kaczyński i jego najbliżsi.

Nie myślę o tego typu działaniach, ale np. o zdaniu: „Lech Kaczyński był beznadziejnym prezydentem, jego polityka wschodnia się nie sprawdziła, nie zwiększył bezpieczeństwa Polski, z Ukrainą się nie dogadał – człowiek porażka”.

Nie zgadzam się z takim poglądem fundamentalnie, uważam, że przeczą mu fakty, ale jednak to opinia. Że niemądra – to sprawa tego, kto ją wygłasza. Ma prawo.

A to, co Eliza Michalik napisała na Twitterze kilka dni temu: „Od lat tak twierdzę i powtarzam: Lech Kaczyński był mściwym, małostkowym, pamiętliwym, zakompleksionym, niezdolnym do skutecznych działań, bardzo złym politykiem”. Czy to jest przemysł pogardy, czy uprawniona opinia?

To nie jest żadna opinia. To po prostu bluździ pod adresem nieżyjącej osoby, która nie może się już bronić.

Drażę jeszcze kwestię wolności słowa i standardów dziennikarskich. Założmy, że w twoim programie ktoś mówi o polityku, że zachowuje się jak świnia. Reagujesz? Czy tylko wtedy, gdy będzie to dotyczyło polityka z bliskiej ci partii?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć na tak postawione teoretyczne pytanie. Bywają zachowania, które trudno inaczej opisać. Bywają zachowania polityków, dla których takie określenie jest zbyt słabe. Na przykład, jak określić postępowanie Janusza Palikota względem ofiar ze Smoleńska i ich najbliższych?

Spróbuję skonkretyzować: do twojego programu przychodzi ktoś i oznajmia, że wobec protestujących w Sejmie Jarosław Kaczyński zachował się jak świnia, każąc swoim ludziom wywierać na nich presję i wymusić odstąpienie od protestu. Przywołujesz swojego gościa do porządku, bo nie wolno tak powiedzieć o Jarosławie Kaczyńskim?

Dyskusja w studiu telewizyjnym to żywioł. Nie potrafię z góry powiedzieć, jak się potoczy, jakie słowa mogą tam paść i jak bym na nie reagował. Decyzję podejmuje się w ułamkach sekund.

Jednak twoje rozmowy z Wojciechem Cejrowskim są nagrywane, więc jest czas na reakcję

i interwencję. A to właśnie Cejrowski powiedział o Donaldzie Tusku w rozmowie z tobą, że zachowuje się jak świnia. Nie zareagowałeś. Zastanawiam się, czy tylko dlatego, że chodziło akurat o Tuska.

Pamiętasz, co komentował Cejrowski?

Oczywiście. Tweet Tuska, w którym ten napisał, że to projektodawcy ustawy o IPN są odpowiedzialni za popularyzowanie na świecie sformułowania „polskie obozy śmierci”. Teza mocna, nie zgadzam się z nią, ale też nie uważam, żeby nie można jej było postawić.

Czy były polski premier, przewodniczący Rady Europejskiej, który w wielu miejscach mówi, że to funkcja ważna dla polskiego interesu, pisząc takiego tweeta, nie działa przeciwko temu interesowi?

Taką tezę również można postawić. Ja jednak pytam o formę i standard. Czy naprawdę w programie publicystycznym publicznej telewizji gość ma stosować takie określenia?

Nie dziwię się, że taki pogląd w tej sytuacji wyraził Cejrowski. Sądzę, że podzielają go miliony ludzi w Polsce.

Miliony ludzi obrzucałyby zapewne chętnie Jarosława Kaczyńskiego słowami na „k” i „ch”. Czy to znaczy, że w twoim programie gość również mógłby to uczynić?

To nie są adekwatne sytuacje i nie są to określenia z tej samej kategorii. „Świnia” czy „świństwo” to określenia mocne, ale nie wulgarne. Mające nawet odniesienia historyczne. Sformułowanie „tylko świnie siedzą w kinie” stosowano wobec Polaków, którzy postępowali wbrew interesowi Polski. Używały go instytucje podziemnego państwa polskiego. Natomiast wulgaryzmy, o których mówisz, nie padają w moich programach i gdyby padły, spotkałyby się z moją ostrą reakcją, bez względu na to, kto by je wypowiedział. Jednak nawet gdyby ktoś tych sformułowań użył, to przecież nie ja odpowiadam za opinie gości, którzy przychodzą do programu. Wolność słowa to również odpowiedzialność za słowa, które się wypowiada. Nikt z tej odpowiedzialności nie jest zwolniony.

Jednak możesz na nie zareagować. Możesz poprosić o umiar. Wskazać, że publiczna telewizja nie jest miejscem na takie połażanki.

Owszem, wielokrotnie zdarzało mi się interweniować w podobnych sytuacjach w moim programie. Powtarzam jednak: jestem zwolennikiem daleko posuniętej wolności słowa. Polskie prawo daje zaś możliwość działania tym, którzy poczuja się urażeni publicznie wypowiedzianymi

słowami. Donald Tusk nie zdecydował się dochodzić swoich praw po wypowiedzi Cejrowskiego.

Czy w mediach publicznych powinno być miejsce dla publicystów, którzy mają poglądy kompletnie odmienne od twoich? Nie tylko jako dla gości, lecz także gospodarzy programów?

Tak. Gdy pełniłem funkcję kierowniczą w TVP, proponowałem program Dominice Wielowieyskiej. Nie skorzystała z tej propozycji.

Jak podoba ci się trend tworzenia tzw. mediów tożsamościowych? Bardzo wyraźnie zaznaczone poglądy redakcji, ostra retoryka, informacja podawana maksymalnie nacechowanym językiem.

Nie lubię określenia „media tożsamościowe”, bo uważam, że nie oddaje istoty rzeczy. To, co się dzieje w polskich mediach, wynika trochę z tego, co w ogóle dzieje się w mediach na świecie. Ponieważ duża część obiegu informacji przejmują Internet, tradycyjne media są skazane na pójście w podobną stronę. Skoro w sieci lepiej się klika to, co jest zabarwione emocją, tę samą zasadę stosują tradycyjne media. Jednak działa tu też wolny rynek, tak ci bliski. Ludzie wybierają po prostu to, co im odpowiada, i mają do tego prawo. A że pasuje im taka poetyka – wydawcy starają się tym oczekiwaniom sprostać. Odbiorcy z kolei, mając do wyboru mnóstwo źródeł, mają w rękach narzędzia, żeby ocenić, które informacje są najbardziej wiarygodne czy która opinia najbardziej do nich przemawia.

To idealizm. Odbiorcy nie mają czasu, żeby śledzić różne źródła. Dlatego powstaje pytanie: Czy media publiczne, które jednak wyznaczają standard, nie powinny odejść od agresywnej poetyki i wrócić do podawania informacji językiem możliwie neutralnym?

Ja jestem autorem programów publicystycznych. Mogę się odnosić tylko do tego, czym sam się zajmuję. Spierajmy się co do opinii, odnośmy się do faktów.

Co z programami informacyjnymi? Czy w nich język nie powinien być maksymalnie przezroczysty?

Język powinien oddawać istotę rzeczy. Piszac – bo tym się również zajmuję – staram się trzymać zasady, że im mniej przymiotników, tym lepiej.

Podam przykład: Czy program informacyjny w publicznym medium powinien komunikować, że „opozycja znów sabotuje znakomity projekt

ządu", czy też po prostu stwierdzić, że „opozycja zagłosowała przeciwko rządowemu projektowi”?

Można sobie wyobrazić sytuację, gdy opozycja będzie właśnie sabotować jakiś projekt. Możemy sobie też wyobrazić, że rząd sabotuje jakiś projekt opozycji. Rozmawiamy o sytuacji teoretycznej, ale jeśli coś takiego miałyby miejsce, to tak właśnie należałoby to nazwać.

Jednak to już sformułowanie mocno nacechowane. Przy zaledwie odrobinie złej woli można by go użyć w każdym przypadku, gdy opozycja zagłosuje przeciwko jakiejś ustawie przygotowanej przez władzę.

Nie zgadzam się. Jawne głosowanie przeciwko ustawie nie jest sabotażem. Pojęcie sabotażu ma bardzo określona definicję i o takiej sytuacji mówię. Podajesz teoretyczny przykład, a ja odpowiadam, że jeśli w jakiejś realnej sytuacji politycznej mielibyśmy do czynienia ze świadomym działaniem bądź zaniechaniem w celu wywołania dezorganizacji, szkód czy strat o poważnym znaczeniu dla państwa (a tak brzmi definicja sabotażu), to tak to należy nazwać, by odbiorcy – widzowie, czytelnicy czy słuchacze – dostali precyzyjną informację, którą sami będą mogli ocenić.

Czy jesteś zwolennikiem repolonizacji mediów?

Najpierw zaznaczę, że uczciwa dyskusja pomiędzy ludźmi o różnych poglądach jest solą wolności słowa, ale żyjemy w cyberprzestrzeni, gdzie jedne państwa przeciwko drugim prowadzą wojny informacyjne, realnie zagrażające bezpieczeństwu narodowemu. Mieliśmy do czynienia z takimi sytuacjami w Polsce, np. kiedy szło o sprawy związane z katastrofą smoleńską. Istnieją media, których głównym zadaniem jest wywieranie takiego wpływu – choćby telewizja Russia Today, udająca zwyczajne medium. Podobnie działają inne telewizje i media finansowane przez rządy państw mających swoje interesy często sprzeczne z polskim. Takimi mediami są publikujące w języku polskim niemiecka Deutsche Welle czy rosyjski Sputnik. Podobne zdanie mam o niektórych działaniach państwowej niemieckiej telewizji ARD, która raz po raz pokazuje materiały o sytuacji w Polsce, pomijając istotne fakty, elementy kontekstu i w ten sposób tworzy fałszywy obraz wydarzeń w Polsce.

To skrajne przykłady, a ja pytam o to, czy państwo ma zmusić zagranicznych właścicieli do sprzedaży jakiemuś polskiemu inwestorowi, może

państwowemu, udziałów w polskich mediach, obsadzonych polskimi dziennikarzami, jak Radio Zet, RMF FM, „Fakt” czy Onet.

Powiedziałem o skrajnych przypadkach po to, żeby postawić pytanie: Czy skoro np. media niemieckie u siebie w kraju trzymają się porozumienia, aby nie krytykować niemieckiego rządu na zewnątrz, to czy te same firmy – a to dokładnie te same koncerny są właścicielami mediów publikujących w Polsce – w naszym kraju również przestrzegają zasady, że niemieckie przedsiębiorstwa mają obowiązek wspierać interesy rządu w Berlinie?

Pytanie oczywiście można postawić i nie jesteś jedyną osobą, która to robi, ale ilekroć proszę o konkretne przykłady takiego wpływu, nikt nigdy nie potrafi ich podać.

Znów: przykładem jest wszystko, co się działo w związku z katastrofą smoleńską. Kolejnym przykładem jest takie przedstawianie historii, w której to

szukał w Niemczech. Chcę powiedzieć tylko tyle, że infosfera jest przestrzenią rywalizacji państw i musimy to brać pod uwagę, konstruując własną przestrzeń informacyjną.

Politycy części ugrupowań opozycji postanowili bojkotować twój program. To chyba jednak dla ciebie problem.

Myślę, że dla każdego dziennikarza ataki ze strony polityków są raczej powodem do dumy niż problemem. Panowie opuścili studio po tym, jak poprosiłem ich o komentarz do prawdziwej informacji na temat ważnego polityka. Ich partyjni koledzy publicznie twierdzili, że to fake news, choć jest już jasne, że Radio Szczecin podało informację prawdziwą, precyzyjną i niezaprzeczną. Myślę więc, że był to po prostu pewien szok poznawczy i jak każdy szok szybko minie. Można jednak przy tej okazji postawić pytanie: Czy

Skoro np. media niemieckie u siebie trzymają się porozumienia, aby nie krytykować niemieckiego rządu na zewnątrz, to czy te same koncerny – będące właścicielami mediów publikujących w Polsce – w naszym kraju również przestrzegają zasady, że niemieckie przedsiębiorstwa mają obowiązek wspierać interesy rządu w Berlinie?

Polacy stają się współodpowiedzialni za Holokaust.

Ależ skąd! „Gazeta Wyborcza” nie ma nic wspólnego z Niemcami, podobnie jak TVN24. A „Newsweek”?

To tylko dowód, że decydowała orientacja polityczna danej gazety, a nie kapitał. W tym samym czasie wydawany przez to samo wydawnictwo „Fakt”, w którym zresztą pracowałem, zajmował radykalnie odmienne stanowisko.

Pamiętam rozmowę Jana Kulczyka z Pawłem Grasiem, w której Kulczyk prosił, żeby doprowadzić do odwołania naczelnego „Faktu” i interweniować w tej sprawie u niemieckiego właściciela gazety.

To było dużo później. Fakt, że Kulczyk wybrał sobie, że Graś coś tu może zdziałać, nie znaczy, że naprawdę mógł i że zdziałał.

Zgoda. Jednak na pewno pokazuje, że Paweł Graś, jedna z najważniejszych osób polskiego rządu, możliwości wpływu na największą wychodzącą w Polskę gazetę

polityk, opłacany przecież z publicznych pieniędzy, ma prawo wybierać sobie, że pójdzie do tego programu, a do innego już nie? Obywatele po to finansują partie polityczne, żeby znać ich poglądy, również na trudne dla nich sprawy. Odmawiając rozmowy, okazują lekceważenie nie konkretnemu dziennikarzowi, lecz setkom tysięcy widzów programu. Życie jednak nie znosi próżni i w świecie polityki – tak jak w sporcie – na miejsce opuszczone przez jednego zawodnika wchodzi inni, bo tak działa konkurencja i tak skonstruowany jest wolny świat.

Przypominam, że w 2008 r. PiS postanowił bojkotować wszystkie programy publicystyczne TVN.

I bardzo źle zrobił. Byłem wobec tej decyzji mocno krytyczny. Polityk to trudny zawód. Jego obowiązkiem jest odpowiadanie na pytania, które zadają dziennikarze, bo są rzecznikami opinii publicznej, do której w demokracji należy ostateczna władza nad politykami. To po prostu obowiązek. Łaski nikt nikomu nie robi.



Marcin Makowski

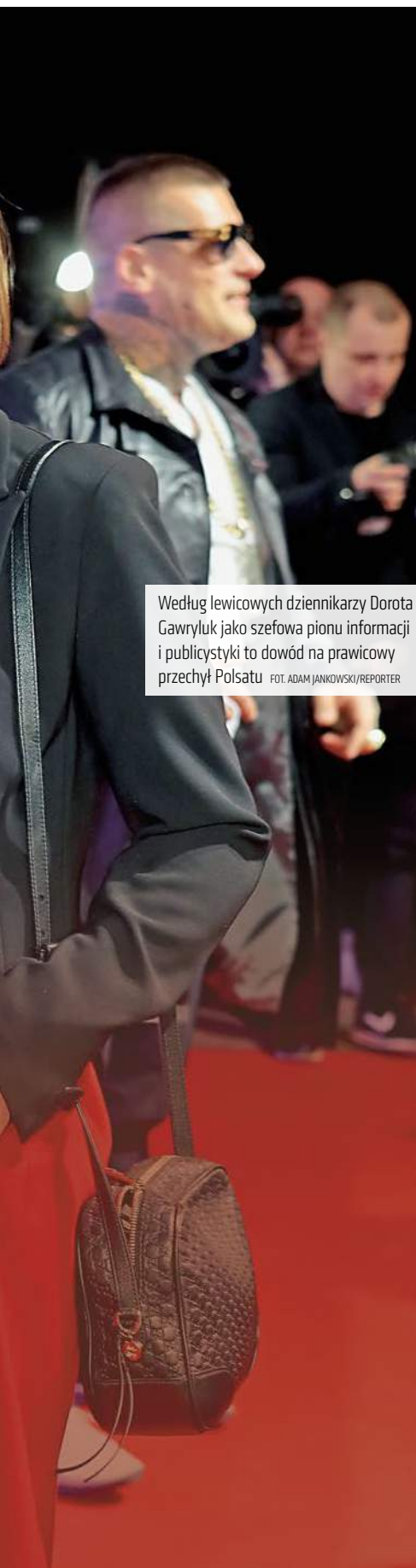
Opozycyjne media alarmują, że dobra zmiana przejmie Polsat. Dowód? Kontrola Doroty Gawryluk nad pionem informacji, rzekoma cenzura w stacji, poglądy szefowej „Wydarzeń” i problemy finansowe Zygmunta Solorza

Póździernik 2017 r. Jacek Kurski w rozmowie z „Rzeczpospolitą” pochyliła się nad kondycją polskich mediów. Pytany, dlaczego telewizja publiczna wyraźnie opowiada się po jednej stronie sceny politycznej, twierdzi, że to efekt przeciwwagi dla TVN i Polsatu. W końcu prywatni nadawcy „prawie nie informują o pracach państwa i rządu, tylko zajmują się metodycznym zwalczaniem obozu rządzącego”. Z wywołanych do tablicy odpowiada Polsat. „Apelujemy do Prezesa Telewizji Polskiej SA Pana Jacka Kurskiego o to, aby nie angażował Telewizji Polsat w jakiekolwiek rozgrywki polityczne” – czytamy w oświadczeniu nadawcy.

Przełom kwietnia i maja 2018 r. Szefową pionu informacji i publicystyki Polsatu zostaje Dorota Gawryluk. Rozpoczyna się jedna z największych roszad personalnych w historii telewizji Zygmunta Solorza. Chwilę później z TVN24 (jeszcze nieoficjalnie, ale to tajemnica poliszynela) do Polsatu przechodzi Bogdan Rymanowski. Oboje uważani są za czołowych dziennikarzy informacyjnych w Polsce, ale poza anteną nie kryją konserwatywnych poglądów. I tak w ciągu pół roku wajcha się przestawia. Od telewizji stającej ością w gardle Jarosławowi Kaczyńskiemu Polsat na oczach opozycyjnych recenzentów zamienia się w przystawkę prawicy.

„PiS przejmie kolejną ostoję wolności słowa” – alarmuje związany z Platformą portal CrowdMedia. „Idzie do Polsatu. Będzie mógł swobodniej dopieszczać »dobrą zmianę«” – to o Rymanowskim w komentarzu do newsa na Gazeta.pl. „Gawryluk jest służalczym dnem. Zero maskowania” – rzuca Zbigniew Hołdys. „Solorz sprzedał się PiS-owi! Wypowiadacie umowy na Polsat i Netię!” – wtóruje mu jeden z internautów. „To gest wobec rządu, bo kłopoty biznesowe miliardera piętrzą się w szybkim tempie” – twierdzi Grzegorz





Według lewicowych dziennikarzy Dorota Gawryluk jako szefowa pionu informacji i publicystyki to dowód na prawicowy przechyl Polsatu FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Furgo z PO. Powołuje się na tekst Dominiki Wielowieyskiej z „Gazety Wyborczej”, która w połowie maja opisywała „przewrót w Polsacie”, spowodowany rzekomymi kłopotami finansowymi właściciela stacji. Bo przecież wszystko jakoś sprytnie się układa. Najpierw są problemy ze skarbówką oraz Zespołem Elektrowni PAK, a chwilę później Cyfrowy Polsat za prawie pół miliarda przypieczętowanie przejęcia Netii, a za 38 mln przejmuje sieć kanałów Eleven Sports. „Gawryluk czyści, Polsat dostaje zgodę. Nie ma przypadków, są tylko znaki” – huczy Twitter. Z boku sytuacja wygląda tak, jakby na Ostrobramską uderzył najazd Hunów, uruchomiono urząd cenzorski, a po starej ekipie zostały wspomnienie i niedopita kawa.

ZAWIEDZIONA MIŁOŚĆ

Pisząc ten tekst, rozmawiałem z kilkunastoma osobami, byłymi i obecnymi dziennikarzami stacji. Ludźmi ze struktur kierowniczych i producentami. Gdy pytałem o sytuację w redakcji, wielu z nich odpowiada, że o sprawach firmy się nie mówi ludziom z zewnątrz. Nie chcą recenzować zmian pod nazwiskiem – jak twierdzą, ze względu na lojalność, a nie strach. Kiedy obiecuję zachowanie anonimowości, zdobywają się na szczerość. – Jestem w szoku. Nagle dzwonią do mnie znajomi i pytają, czy od teraz pracuję w PiS-owskiej telewizji? – mówi jeden z dziennikarzy stacji młodego pokolenia. Jest wyraźnie poruszony. Z jego perspektywy nic się nie zmieniło, nadal wykonuje tę samą pracę, robi te same programy, „w które nikt mu się nie wpięrra”. Tak samo pyta goście z lewej i prawej. Jednak coś się bezpowrotnie zmieniło. Doszyto mu łątkę.

– Było zapotrzebowanie na tekst, w którym dokonuje się egzekucji na uczciwych dziennikarzach, to go napisano. Tylko oni byli tak uczciwi, że specjalnie oglądalności nie mieli – mówi mi jeden z wieloletnich pracowników firmy o artykule „Wyborczej”, od którego tak naprawdę wszystko się zaczęło. Jak twierdzi, nie był nim jednak zaskoczony. Podobna sytuacja wydarzyła się przy próbie zakupu Polkomtela przez Polsat, gdy nagle wyszło na jaw, że szefostwo stacji miało związku z Krzysztofem Bondarykiem, i sam ten fakt stawiał zakup pod znakiem zapytania. A że Agora miała podobne plany, a kiedyś myślano nawet o fuzji z Polsatem? – Zawiedziona miłość boli najbardziej – dodaje.

Staram się jednak dotrzeć do ludzi, których przetasowania dotknęły osobiście.

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że jestem znacznie spokojniejsza niż część obserwatorów – odpowiada mi dziennikarka, która niedawno straciła swój program. Nie wszyscy są jednak równie spokojni. – To nie tak, że kilku osobom zmienił się grafik. Nastąpiła rewolucja kadrowa, której nie było od 10 lat. Wcześniej, za Tomasza Lisa, ludzie też zmieniali miejsca, ale nie było zerwania ciągłości. Teraz mamy z nią do czynienia – twierdzi były pracownik stacji, w stałym kontakcie ze swoimi znajomymi, którzy zostali.

Roszący na czele pionu informacji i publicystyki faktycznie były głębokie. Plotkowało się o nich od marca, gdy dotychczasowy szef Henryk Sobierajski przebywał na urlopie, a jego obowiązki przejęła Dorota Gawryluk. Gdy stało się już jasne, że do pełnienia funkcji nie wróci, a w zamian zostały mu powierzone obowiązki stworzenia nowej agencji informacyjnej Polsatu, karuzela ruszyła. Głównie wydanie „Wydarzeń” przestał prowadzić Jarosław Gugała, który dostał pasmo po godz. 22. „Gość Wydarzeń” został zastąpiony dłuższym formatem „Wydarzenia i opinie”. Ze swoimi funkcjami podczas majówki pożegnali się również szef anteny Polsat News Marcin Cholewiński oraz Polsat News 2 Beata Grabarczyk, szef projektów internetowych Polsat News Jerzy Sikora (którego następnie przywrócono na stanowisko), szef publicystyki Polsat News Radosław Kietliński oraz sekretarz pionu informacji i publicystyki Roman Kukiela.

– Wszyscy żyjemy w niepewności. Częstsze są telefony z prośbą zmian przy konkretnych materiałach. Dziennikarze i operatorzy się boją, bo w listopadzie kończą się im kontrakty – opowiada jeden z pracowników.

– To są nasze wewnętrzne sprawy. Każda zmiana w każdej firmie wzbudza pewien niepokój, to standard w biznesie – odpowiada mi Tomasz Matwiejczuk, rzecznik prasowy Polsatu. – Co do terminów obowiązywania umów mówimy o kwestiach czysto formalnych. Nasi pracownicy znają ten temat, wiedzą, jak do niego podchodziliśmy w przeszłości, i nie sądzę, aby mieli jakiegokolwiek powód do niepokoju – tłumaczy.

– Frustracja niektórych osób może się brać z faktu niepewności, co będzie dalej, ale ta niepewność dotyczy całego rynku telewizyjnego, który walczy o odbiorców – opowiada mi Dorota Gawryluk. Jak dodaje, „prawdziwe zmiany dopiero nastąpią”, ale wszystkie motywowane są jednym

■ celem – wzrostem oglądalności stacji i konkurencyjnością na rynku. – Żadnego drugiego dna nie ma – twierdzi następca Sobierajskiego.

DALEKO OD STOLICY

Nie da się tej historii opisać bez niej. Dorota Gawryluk stała się mimowolnie twarzą nowego rozdania w Polsacie, ale przecież ze stacją związana jest od lat 90., z przerwą na lata 2004–2007, kiedy prowadziła główne wydanie „Wiadomości” TVP. U Solorza przeszła jednak właściwie wszystkie szczeble kariery, z kierowaniem „Wydarzeniami” włącznie.

– Mówią o pani: „Pisowa”. Wie pani o tym? – pytam, gdy niechętnie, ale jednak godzi się na krótką rozmowę.

– Wiem – odpowiada. – Jeśli chodzi o „Gazetę Wyborczą”, to jestem na jej łamach atakowana od lat, kiedy przyznałam, że nie popieram aborcji – tłumaczy. Uważa jednak, że jej prywatne poglądy to tylko pretekst. – Ta gra toczy się od jakiegoś czasu, a polega na próbie wyeliminowania dziennikarzy, którzy ośmielają się myśleć inaczej niż pewne grupy wpływu. Polsat nie da się wciągać w partyjne rozgrywki. Zresztą autorka artykułu nawet do mnie nie zadzwoniła z prośbą o komentarz – mówi o tekście Dominiki Wielowieyskiej, w którym została przedstawiona jako dziennikarka „znana z sympatii do PiS” oraz zadająca łagodne pytania Beacie Szydło podczas debaty z Ewą Kopacz w 2015 r.

– Skontaktowałam się z rzecznikiem Polsatu, deklarując, że porozmawiam ze wszystkimi chętnymi, a on wszystkie moje pytania i spostrzeżenia przekazał Dorocie Gawryluk. Dorota je znała, gdyby chciała osobiście się odnieść, nie miałam nic przeciwko temu, natomiast ona swoje uwagi przekazała przez rzecznika i zostały one zamieszczone w tekście – broni się z kolei Wielowieyska w rozmowie z „Do Rzeczy”.

– Wie pan co, trudno mi w ogóle całą tę sytuację komentować. Uważam, że dziennikarze powinni być oceniani przez pryzmat swojej pracy, a nie tego, co ktoś powiedział o nich na plotkach w łazience czy na papierosie – przekonuje Gawryluk. Łatwo być jednak adwokatem we własnej sprawie, dlatego o poglądy dziennikarki, które miałyby wpływać na sposób prowadzenia wywiadów i prezentowania faktów, pytam jej wieloletnich znajomych po fachu.

– Dorota, a to chyba jeszcze nie jest zakazane w Polsce, bardzo poważnie traktuje sprawy religii. Jednak wiara czy poglądy nigdy nie wpływają u niej na dobór gości,

tematów, styl prowadzenia programów – mówi jeden z jej współpracowników. Jak twierdzi, problem leży jednak gdzie indziej. Gawryluk nie jest z „salonu”. – Niektórzy nie mogą tego przeboleć. Ona pochodzi z niewielkiej wsi z Małopolski, do wszystkiego doszła własną pracą. A są u nas tacy, którzy sądzą, że wszyscy powinni pochodzić z okolic centrum Warszawy – ironizuje mój rozmówca.

Nawet ci, którzy krytykują zmiany w stacji i atmosferę w newsroomie, o szefowej „Wydarzeń” wypowiadają się raczej pozytywnie. – Na kolegiach nigdy nie krzyczała, nie mobbingowała ludzi, była profesjonalna – mówi „Do Rzeczy” były montażysta Polsat News. Gdy pytam go, jaka Gawryluk jest prywatnie, chwilę się namyśla i kontynuuje: – Na pewno nie jest gwiazdą. Nie potrzebuje kierowcy, na wyjazdach nie żąda najlepszego pokoju w najlepszym hotelu. A kiedyś inna nasza prezenterka domagała się przy każdym wylocie w teren specjalnych kwiatów w pokoju. Dorota nie krytykuje makijażystek, dźwiękowców, ja to wiązę z jej wiarą.

– Z pewnością Dorota Gawryluk jest bardziej wrażliwa na argumenty prawicy, niż był Jarosław Gugała. Faktu, że jest konserwatystką, nie należy jednak łączyć z oskarżeniem, że będzie robić PiS-owski program. To bardzo niesprawiedliwe – opowiada z kolei Tomasz Machała, redaktor naczelny Wirtualnej Polski, który przez lata pracował przy „Wydarzeniach”.

Dzwonię do jeszcze jednej osoby – niegdyś dziennikarza, dziś ministra. To Jarosław Sellin zatrudnił Dorotę Gawryluk w Polsacie. – Znałem ją, kiedy nosiła jeszcze panińskie nazwisko Zelek i była jedną z wielu młodych i ambitnych reporterów przed trzydziestką. Razem z zespołem, którego była częścią, w 1993 r. stworzyliśmy „Informację” – pierwszy prywatny program informacyjny w tej części Europy – wspomina. Jak twierdzi, nie pamięta żadnej sytuacji, w której poglądy jego podwładnej wpływały na wykonywane zadania. – Niektórzy uważają, że Gawryluk to „królowa lodu” – rzucam. – Owszem, była skupiona na pracy, ale nie powiedziałbym, że była chłodna – odpowiada Sellin.

URZĄD CENZORSKI POLSATU?

Oczywiście nie wszyscy, którzy ją znają, rozpluwają się w superlatywach. Jak twierdzi Dominika Wielowieyska,

Gawryluk potrafi „zamykać się w gabinecie na klucz” i unikać kontaktu z pracownikami. – Błędem Doroty jest styl wprowadzenia zmian. Ludzie znikają z grafiku bez żadnej komunikacji. Beata Grabarczyk [była szefowa Polsat News 2 – przyp. red.] rzuciła papierami, gdy zobaczyła, że nagle zniknęła z rozpiski. Owszem, dostała propozycję pracy w agencji Sobierajskiego, ale za pensję mniejszą o 40 proc. – mówi mój informator. Twierdzi, że na tym tle doszło w newsroomie do ostrego spięcia. Grabarczyk miała się żalić na chaos komunikacyjny i „zwyzywać” Marcina Wójcickiego, którego część zespołu traktuje jako „komisarza politycznego” Gawryluk. – Dorota często ingeruje w materiały, niedawno zmieniła treść setek u Janka Mikruty. Szefowa ma do tego prawo, ale wszyscy są teraz nabuzowani i każda taką rzecz traktują jak ingerencję w ich niezależność – przekonuje mój rozmówca.

Jak udało mi się ustalić, Beata Grabarczyk faktycznie rozstała się z Polsat News, a wspomniane spotkanie miało miejsce. Zmiany wynikały jednak nie tyle ze względów personalnych, ile z faktu likwidacji autonomicznego charakteru kanału Polsat News 2. Od czerwca ma być on używany wyłącznie jako antena powtórkowa, w związku z tym nie potrzebuje dodatkowego szefa ani własnych programów, które generowałyby dodatkowe koszty dla stacji.

– Ten kanał miał nieco ponad 0 proc. oglądalności. Trudno, żeby właściciel chciał utrzymywać niedochodowe przedsięwzięcie i wynagradzać osobę, która za taki wynik odpowiada. Grabarczyk potraktowała propozycję przejścia do agencji jako degradację i odeszła. Miała do tego prawo – twierdzi jedna z dziennikarek Polsatu, która prosi o zachowanie anonimowości. Przesadzona nie jest jednak niechęć w zespole wobec Marcina Wójcickiego, który w tekście „Wyborczej” występuje w roli czarnego charakteru, zmieniającego treści belek niczym w TVP Info. Było: „Brak porozumienia między protestującymi a rządem”, po jego interwencji miało być: „Protestujący odrzucili postulaty rządu”. – Jest straszna siekiera w redakcji – mówi mi jeden z montażystów. Inny pracownik telewizji dodaje jednak: – Niechęć do Marcina jest głównie towarzyska. Miał przejść ze starą ekipą do agencji Sobierajskiego, ale został z Ga-

wryluk. Ja bym jego roli nie demonizowałem – twierdzi. „Jeżeli zmiany treści np. belek zdarzają się, to jest to, zakładam, coś zupełnie normalnego w sytuacji, gdy treść odbiega od faktów. Do nas, jako władz stacji, nie docierały żadne sygnały o jakichś interwencjach” – odpisuje mi w e-mailu rzecznik prasowy Polsatu.

Zarzuty braku komunikacji, cenzury i przeprowadzania „czystek zza biurka” są jednak poważne, dlatego pytam o nie samą zainteresowaną. – Cenzura? Jako szef wpływam na treści, które pojawiają się na antenie, i biorę za nie pełną odpowiedzialność. Jednak robię to tylko

w mediach społecznościowych – dopiero przybierają na sile.

KTO Z KIM CHODZI NA OBIAD

„Nowa szefowa »Informacji« wielkiej telewizji Pani Gawryluk właśnie pobierała co najmniej półgodzinne korepetycje kawiarniane od spin doktora PiS p. Kochana. Finis Polsat” – pisze na Twitterze Marcin Bosacki, były ambasador w Kanadzie i dziennikarz „Gazety Wyborczej”.

„Aby zrozumieć istotę zmian, trzeba opisać problemy, z jakimi borykał się wcześniej Henryk Sobierajski, poprzednik Gawryluk. Był bombardowany żądaniami

Wychodzę jednak z założenia, że żadnych wątpliwości nie można lekceważyć, dlatego pytam wprost: – Czy spotykała się pani z Markiem Kochanem, byłym doradcą wizerunkowym PiS? – Tak, spotykam się i rozmawiam z wieloma osobami, dla mnie to istota dziennikarstwa. Akurat Marek Kochan to interesujący rozmówca, scenarzysta i autor książek. Będę to robiła nadal, bez względu na to, czy będą utożsamiani z PiS, czy z PO albo z jakąkolwiek inną partią. W taki sposób zdobywam informacje i nie mam zamiaru się przed nikim ukrywać. Bardziej mnie te zarzuty śmieszą, niż straszą – odpowiada wprost Gawryluk.



po to, aby były zachowane równowaga i rzetelność w prezentowaniu wydarzeń. Staram się z ludźmi rozmawiać, ale telewizja to miejsce, gdzie rzeczy dzieją się szybko. Tak się tworzy ramówki wszędzie na świecie – tłumaczy Gawryluk. Sama w swojej karierze prowadziła kilka programów, a te mniej udane były po prostu likwidowane i „nikt z nią decyzji nie konsultował z rocznym wyprzedzeniem”. – Zmiany personalne to również konsekwencja restrukturyzacji stacji oraz tworzenia nowej agencji informacyjnej. Ja nikogo z pracy nie zwolniłam i nigdy nie miałam takiego zamiaru – ucina spekulacje. A te – szczególnie

o zatrudnienie rozmaitych dziennikarzy czy wydawców, np. z TV Republika. Chodziło o wpuszczenie do Polsatu stronników PiS. Za głównego »naciskacza« był uważany Krzysztof Turkowski, doradca zarządu Polsatu. [...] Jeśli teraz Gawryluk je w firmie obiad, to zazwyczaj siada z Turkowskim. Wpada do niego na pogawędki minister Adam Lipiński z PiS. Obaj – tak jak Morawieccy – znają się od lat jeszcze z Wrocławia” – pisze Dominika Wielowieyska.

Tak, choć nikt nie potrafi wskazać PiS-owskich zmian w ramówce stacji, tworzy się obraz zakulisowych rozgrywek Zygmunta Solorza i jego podwładnych.

O ustosunkowanie się do charakteru spotkań proszę również sam Polsat. – Każda redakcja, w tym te atakujące nas, powinna zająć się sobą i przy okazji spojrzeć co jakiś czas w lustro, żeby chociaż spróbować dostrzec swój obiektywizm. U nas jedna zasada obowiązuje od zawsze – dziennikarze zostawiają swoje poglądy przed drzwiami stacji. A jeśli spotykają się z osobami publicznymi, to po to, aby zdobyć informacje – tłumaczy Tomasz Matwiejczuk.

Co ciekawe, również na łamach własnej gazety Wielowieyska spotyka się z polemiką do tego o „udobrozmiannowieniu” Polsatu. „Dorota Gawryluk nie nadaje się na koronny dowód najazdu Hunów

na Polsat” – pisze Helena Chmielewska-Szajfer. Podobnego zdania jest Tomasz Machała. – Czytam na Twitterze zarzut, że Dorota Gawryluk wypija kawę z jednym z byłych analityków Prawa i Sprawiedliwości. Dla mnie to zwykłe spotkanie, jakich dziennikarze mają wiele. Dla krytyków Gawryluk dowód na to, że Solorz dogadał się z PiS i wspólnie zrobią dobrą zmianę w Polsce. Pracowałem w „Wydarzeniach” przez siedem lat. Wydaje mi się, że reporterzy, którzy wtedy robili ten program ze mną, dziś nadal przy nim pracują. Jeśli Dorocie uda się utrzymać ich na pokładzie, jeśli każdy jej program będzie potwierdzał rzetelność, to krytycy zamilkną – twierdzi.

Sama Gawryluk nie wypiera się znajomości z Krzysztofem Turkowskim. – Pracujemy razem od 20 lat, więc zarzucanie mi, że jemy razem obiad w stołówce, jest niepoważne. Jadam też z innymi – mówi wyraźnie rozbawiona.

– Dziwię się, że „Gazeta” wyciąga właśnie Turkowskiego, wieloletniego znajomego Adama Michnika. Jednak o tych relacjach nie wspomina. Jeśli chodzi o Marcina Bosackiego, to pamiętam czasy, w których jako pracownik działu zagranicznego „Wyborczej” chciał u nas pracować. Nie wyszło – zwierza mi się jeden z wieloletnich dziennikarzy stacji.

„NIE CHCĘ SIĘ OPOWIADAĆ”

Cała ta historia nie ma jednak głębszego uzasadnienia, bez zadania sobie podstawowego pytania: „Cui bono?”. Na czyją korzyść i z jakich względów Zygmunt Solorz miałby nagle dokonywać partyjnego zwrotu o 180 stopni, wcześniej przeciwstawiając się Prawu i Sprawiedliwości m.in. w kwestii przekazywania danych abonentów Cyfrowego Polsatu w celu poprawienia ściągalności abonamentu RTV?

„Z politykami jest tak: uważają, że jeżeli nie jest się z nimi, to jest się przeciwko nim. Nie mogą zrozumieć, że nie chcę opowiadać się po żadnej ze stron. Nie tworzę polityki, tylko robię biznes” – mówił przedsięwzięwcą w książce „Grube ryby” Michała Matysa. I trzeba przyznać, że do tej pory sprawnie lawirował pomiędzy wszystkimi koalicjami.

Według „Wyborczej” owa neutralność miała zostać wystawiona na próbę właśnie przez problemy finansowe z firmami Solorza, których sukces finansowy w dużej mierze zależy od przychylności władzy. Chodzi przede wszystkim o Ze-

spół Elektrowni Pątnów-Adamów-Konin, notowany na giełdzie od 2012 r., którego ponad 50 proc. akcji znajduje się w rękach właściciela Polsatu. Ponieważ – szczególnie w Adamowie – trzeba dostosować instalacje do wyśrubowanych europejskich standardów emisji CO₂ oraz innych szkodliwych pierwiastków, interes zaczyna się coraz mniej opłacać. Stąd rzekoma idea sprzedaży całej grupy w ręce państwa. Tego samego, które zdaniem Wielowieyskiej „doprowadziło do wstrzymania budowy odkrywkki Ościszłowo, od której zależy przyszłość PAK”. Kopalnia węgla brunatnego miała zapewnić dostawy surowca do elektrowni w Pątnowie, ale na razie, pomimo interwencji wiceministra energii Grzegorza Tobiszowskiego, decyzji pozytywnej dla Solorza nie widać.

Ponadto Cyfrowy Polsat, zgodnie z decyzją dyrektora Izby Administracji Skarbowej w Warszawie oraz Małopolskiego Urzędu Celno-Skarbowego, musi zapłacić prawie 100 mln zł zaległych podatków dochodowych z lat 2011–2014.

Dorota Gawryluk:

– Zbigniew Solorz nie ma powodów, żeby kłaniać się jakiejś władzy, zresztą nigdy tego nie robił

– To są absurd. Dominika Wielowieyska niestety nie wykazała się zbyt analitycznym podejściem do sytuacji finansowej spółek Zygmunta Solorza. PAK ma swoje różne problemy od 20 lat, ale radzi sobie, a w tym roku zamierza wypłacić nawet dywidendę z ubiegłorocznego zysku – mówi mi rzeczniczka stacji. Natomiast jeśli chodzi o zaległe podatki, to argumentuje, że Polsat otrzymywał kary od różnych urzędów od początku swojej działalności i „ma prawo je kwestionować i szukać innych możliwych rozwiązań, w tym np. także w sądach”.

– Każdemu przedsiębiorcy i prezesowi życzyłabym takich sukcesów i takiej intuicji biznesowej, jaką ma Zygmunt Solorz. On nie ma żadnych powodów, żeby kłaniać się jakiejś władzy, zresztą nigdy tego nie robił – dodaje zapytana o świadomość politycznych powiązań interesów jej szefa Dorota Gawryluk.

Gdy rozmawiam z ekspertami energetycznymi, twierdzą, że cała sprawa nie jest taka oczywista, jak chciałyby to sugerować niektóre media. Dla przykładu: blok węglowy w Adamowie został wyłączony ze względu na decyzję Komisji Europejskiej, a nie tego czy innego rządu. Mówiąc wprost – wyłączono go, bo się zestarzał. Sam zarząd PAK poinformował właśnie o zamiarze dostosowania wyłączonych obecnie z eksploatacji bloków węglowych w elektrowni Adamów do produkcji energii elektrycznej z wykorzystaniem paliwa gazowego. Są zatem opcje alternatywne poza sprzedażą majątku.

– Wszyscy znamy Solorza. Ma tak gęstą sieć kontaktów ze spółkami Skarbu Państwa, że po prostu twardy konflikt z żadną władzą mu się na dłuższą metę nie opłaca. Szczercze mówiąc, Jarosław Gugała był fatalnym szefem „Wydarzeń”. Nieobiektywnym, nierzetelnym, skrzywionym w kierunku Platformy. Zygmunt Solorz widzi punkty styku biznesu z przychylnością władzy i po prostu skalkulował, że dowiezie mu to Gawryluk. Jednak tutaj nikt niczego nie mówił dosłownie, nie wydawał żadnych poleceń. Solorz wie, że Dorota ze swoimi kontaktami mu pomoże, a dodatkowo zrobi lepszy program i pozyska widza – zdradza mi jeden z ważnych dziennikarzy telewizji.

– Tak wielka stacja jak Polsat musi rozumieć, że ma widzów i po lewej, i po prawej stronie. Każdy rozsądny właściciel będzie budował program w taki sposób, by był on jak najszerzy. Zjednoczona Prawica ma kilka milionów wyborców, rząd i prezydent. Polsat, tak jak każde masowe medium, musi być zainteresowany docieraniem do tak znaczącej grupy – dodaje Tomasz Machała z Wirtualnej Polski.

Na koniec pytam samą telewizję: „Czy od przejęcia rządów przez Dorotę Gawryluk politycy Zjednoczonej Prawicy goszczą częściej w państwa studiu?”. – Władze stacji nie prowadzą takich statystyk. Jedyną wytyczną, jaką mają dziennikarze, jest zachowanie bezstronności, niezależności i równowagi. Każda strona ma prawo do wygłoszenia swojego zdania. Jeżeli równowaga wymaga zapraszania większej niż dotychczas liczby przedstawicieli którejś ze stron, to właśnie tak powinno być – słyszę z ust Matwiejczuka. Czy tak będzie, a stacja zyska na pluralizmie, koniec końców oceniają pilotami widzowie. A nie politycy czy dziennikarze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Już za tydzień 11 czerwca

*z następnym numerem „Do Rzeczy”
film na DVD „Zerwany Kłós”*



Cena
wydania z DVD

19,99 zł



Kto czeka na koniec



Piotr Semka

Politycy PiS powinni zacząć się zastanawiać, czy potrafią tworzyć ugrupowanie myślące w perspektywie dekad

28

Mieszkaniec zbiorowej świadomości. Polityk, któremu dwa razy w ciągu dekady udało się coś, co uznawano za niemożliwe – obsadzenie prezydentury i zwycięstwo w wyborach do Sejmu. Polityczny strateg, co rusz zaskakujący oponentów. Który nawet gdy unikał zabierania głosu, był oskarżany, że „wrogo milczy”. Taktyk, który przyprawiał o ból głowy Moskwę,

Berlin, Paryż i Brukselę. Szwarzcharakter z komentarzy „Spiegła”, „Le Monde”, „Guardiana” i „New York Timesa”. „Szeregowy poseł”, którego biuro odwiedził szef dyplomacji supermocarstwa. Postać, która nawet w quasi-kabaretowym „Uchu prezesa” pokazywana jest z widocznym respektem jako człowiek, który panuje nad całą polską polityką ku bezradnej wściekłości opozycji.



FOT. GABRIELA WYŚLIŃSKA/FORBIS

Kaczyńskiego?

Ten demiurg od ponad trzech tygodni musi leżeć w szpitalu. Zdrowie odmawia mu posłuszeństwa. Dla przeciwników lidera PiS to krzepiące i ożywiające odkrycie.

Sieć pełna jest dywagacji, czy to przejściowa niedyspozycja, czy zapowiedź zejścia z pierwszej linii politycznej rozgrywki.

Po raz pierwszy nieobecność Kaczyńskiego w życiu publicznym została za-

uważona pod koniec listopada zeszłego roku. Wtedy miał być to efekt przeziębienia – skutku zaduszkowej wizyty na grobie matki. 21 marca brak Kaczyńskiego w Sejmie zauważono przy okazji exposé Jacka Czaputowicza. Nowy szef polskiej dyplomacji wyjaśnił wówczas nieobecność prezesa PiS tak: – Ze względu na niezbyt poważne, ale jednak, problemy zdrowotne musiał zostać w domu.

Siódmego kwietnia fotoreporterzy sfotografowali Kaczyńskiego w sejmowej ławie z książką „Wylecz się sam. Mega-dawki witamin”.

Tabloidy cytowały zdanie z tylnej okładki publikacji: „Niektórym wydać się może szokująca. Bowiem klucz do zdrowia, o którym pisze dr Andrew W. Saul, to nieskomplikowane i nieprzerastające finansowych możliwości przeciętnego człowieka terapie. W rzeczywistości to tak proste, że może wydawać się nierealne. A jednak wieloletnie badania lekarzy praktykujących medycynę ortomolekularną (nastawioną na naturalne terapie) pokazują, że działa”.

Potem tabloidy zaprezentowały zdjęcia Jarosława Kaczyńskiego wychodzącego ze swojego domu na Żoliborzu o kulach. Ósmego maja lider PiS trafił do szpitala na ul. Szaserów w Warszawie. W sieci pojawiły się plotki, że choroba kolana to tylko oficjalna wersja. Że chodzi o raka.

Główne portale nie zdecydowały się na powielanie tych plotek, ale już takie portale jak Pikio, kojarzony ze Zbigniewem Stonogą, się nie kępowały. Pikio pytał wprost: „Czy Jarosław Kaczyński ma raka?”.

Przedłużający się pobyt Kaczyńskiego w szpitalu opozycja skrzętnie wykorzystywała do stworzenia wrażenia schyłku epoki PiS, na co nałożył się strajk niepełnosprawnych w Sejmie. Marek Beylin w „Gazecie Wyborczej” obwieścił, że „Prawo i Sprawiedliwość zaczyna trząść portkami ze strachu”. Po końcu protestu niepełnosprawnych dziennik z Czerskiej zmienił taktykę i Stanisław Skarżyński ogłaszał, że „kolano Kaczyńskiego pachnie grubym kłamstwem”, choć nie był w stanie przytoczyć żadnego dowodu, iż powód pobytu w szpitalu jest inny niż ten oficjalnie ogłoszony.

Wszystko wskazuje na to, że plotki o chorobie rakowej nie mają żadnych podstaw. Według informacji „Do Rzeczy” pobyt Kaczyńskiego w szpitalu trwa dość długo, bo wcześniejsze próby leczenia kolana były nieprawidłowe i teraz, aby problemy nie powróciły, lider rządzącej partii musi odpowiednio długo poleżeć w bezruchu.

Politycy PiS robią, co mogą, by osłabić wrażenie wyeliminowania Kaczyńskiego z bieżącej polityki. A jednak w mediach posypały się dywagacje na temat polskiej polityki bez Kaczyńskiego. Warto więc postawić ważne pytanie: Kto czeka

na zejście „naczelnika” z pierwszej linii polskiej polityki? Wskazanie osób wsłuchujących się pilnie w jakiekolwiek wiadomości o niedomaganiach prezesa PiS dobrze opisuje naszą scenę krajową i zagraniczną.

BEZ LITOŚCI

Pierwszą i najważniejszą siłą oczekującą na koniec kariery „silnego człowieka z Żoliborza” jest totalna opozycja z Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej.

Od ponad dwóch lat prezes upokarżał ich na wiele sposobów. Wytrzymał pierwsze fale demonstracji KOD i spokojnie rozegrał „ciamajdan” z grudnia 2016 r. Scenę wychodzenia z okupowanej sali Sejmu w aurze porażki posłowie PO i Nowoczesnej będą pamiętać jeszcze długo.

Stan zdrowia prezesa PiS diagnozował też – w studiu TOK FM – Ryszard Bugaj. Pytany o pobyt Kaczyńskiego w szpitalu mówił: „Mnie się wydaje, że prezes wróci szybko, ale już na mniejszych obrotach. Ze wszystkimi tego konsekwencjami. Nie dopilnuje różnych rzeczy, mnie się wydaje, że on już wielu rzeczy nie dopilnował”.

Dla opozycji nadzieje na osłabienie władzy prezesa PiS nad partią to nadzieja na odzyskanie inicjatywy w trzech kolejnych wyborach: samorządowych, do europarlamentu i wreszcie wyborach prezydenckich. Założenie jest proste – PiS bez twardej ręki Kaczyńskiego zajmie się walką o sukcesy po „naczelniku” i rozbije się na parę zwalczających się frakcji: Morawieckiego, Ziobry, Gowina, Brudzińskiego. Tego ostatniego „New-

nego elektoratu do PiS. Jeśli polityczny rywal będzie podzielony i skłócony, to Włodzimierz Czarzasty będzie chciał na nowo pozbierać wyborców lewicy pod czerwonym sztandarem.

Kaczyński ma też jednak tradycyjnych rywali na prawicy. To luźna koalicja Ruchu Narodowego, partii Kukiza, wolnościowych i liberalnych zwolenników Janusza Korwin-Mikkego. Od dawna narzekają oni na blokowanie przez Kaczyńskiego miejsca dla wzrostu „białej, republikańskiej prawicy”.

Oslabienie pozycji lidera PiS ich nie zmartwi, zwłaszcza że i tak uważają tę partię za socjalną lewicę, niedbającą o liberalne wartości i cnoty. Twierdzą, że jest im obojętne, czy podatkowy dren w kieszenie zapuszczają im „socjaliści rozmodleni”, czy socjaliści kłękający przed Brukselą. To, że porażka PiS odsunie na dłuższy czas, jak się zdaje, jakkolwiek prawicę od wpływu na kształt Polski, zdaje się ich specjalnie nie martwić. Po pierwsze większość liderów z tego obozu zakłada, że zadziwi świat, choć od lat nie odnoszą sukcesów. Część z nich woli nawet czekać kolejne dekady w opozycji w imię jednoznaczności programowej.

Teoretycznie odsunięcie się na dalszy plan Kaczyńskiego z racji kłopotów zdrowotnych powinno zmartwić obóz inteligencji „gazetowow wyborczej”. Kaczyński – co często wyrzuca mu „biała prawica” – istotnie ma wiele nawyków myślowych kogoś z tradycji przedwojennego, niepodległościowego PPS. Najśłynniejszy żoliborzanin naprawdę, a nie na pokaz odrzuca antysemityzm, nie akceptuje szowinizmu i obca mu jest pogarda wobec kobiet. Jest wyznawcą piłsudczykowskiej tradycji kooperacji z wschodnimi sąsiadami Polski – Litwą, Białorusią i Ukrainą. Jest też wyczulony (niekiedy przesadnie) na los zwierząt i nikt nie może mu zarzucić nabijania własnej kabzy dzięki polityce.

To oczywiście nie zmienia niczego na lepsze w ocenie Seweryna Blumsztajna, Magdaleny Środy czy Wojciecha Kuczoka. Dla nich im gorzej, tym lepiej. A umiarkowana prawica to groźna prawica. I dlatego trzeba jej przyprowadzić brunatną gębę i bić na alarm przed antysemityzmem (ukrytym rzecz jasna) PiS. Dlatego pewne cechy Kaczyńskiego, które powinny zbliżać go do obozu liberalnego inteligencji, wcale nie są w obozie liberalnym uznawane za zaletę, ale raczej za

Wizja końca znienawidzonego prezesa jest opozycji na rękę. Zwalnia to od zadawania sobie pytań, dlaczego ich pomysły na przykucie uwagi Polaków spotykają się z tak słabym odzewem

Nic dziwnego, że pierwsze informacje o problemach zdrowotnych Kaczyńskiego uskrzydliły i uradowały opozycję.

Politycy PO i Nowoczesnej już od dłuższego czasu mieli rozpowiadać, że mają pewne wiadomości od lekarzy z jednego ze szpitali o tym, iż Kaczyński ma raka trzustki. Inni opowiadali o nowotworze prostaty. Z racji delikatności sprawy tym razem bardzo uważają i swoimi sensacjami dzielą się tylko z zaufanymi dziennikarzami, płonącymi podobnie jak oni żywą niechęcią do lidera PiS. Skalę niechęci oddawały krające w tym środowisku żarty w stylu: „Teraz drugi do kompletu”.

Wiatr w żagle złapał Grzegorz Schetyna, który zadeklarował: „Zrobię wszystko, by liderem opozycji stał się Jarosław Kaczyński. To jest mój cel”. Bardziej szczerzy byli aktywiści KOD. Były polityk KPN Krzysztof Król opublikował na Twitterze zdjęcie drogowskazu Przemysł-Medyka-Jarosław i napisał: „Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad subtelnie nawiązuje do stanu zdrowia prezesa. Poprawniej jednak byłoby: Przemysł medyka, Jarosławie”.

Gdy Króla skrytykowano za żarty z choroby, szybko dopisał: „Ależ oczywiście, że życzę Kaczyńskiemu zdrowia. Inaczej nie będzie mógł ponieść doczesnych konsekwencji za swoje czyny”.

sweek” Tomasza Lisa już zawczasu mianował następcą tronu w rządzącej partii, zapewne po to, by dolać jeszcze oliwy do ognia przewidywanych sporów. Wizja końca znienawidzonego prezesa jest opozycji na rękę. Zwalnia to od zadawania sobie pytań, dlaczego ich pomysły na przykucie uwagi Polaków spotykają się z tak słabym odzewem. W tej optyce – gdy zniknie zła i sekretna moc złego mżimu Kaczyńskiego – Platforma natychmiast rozwinie skrzydła.

Równie uważnie informacje o stanie zdrowia prezesa śledzi zapewne Donald Tusk. Mniej więcej za rok obecny szef Rady Europejskiej będzie musiał podjąć decyzję o starcie w wyborach prezydenckich w Polsce w 2020 r. przeciw Andrzejowi Dudzie. Osłabiony PiS byłby dla obecnego szefa Rady Europejskiej wymarzoną przeciwnością. Andrzej Duda straciłby jedyną siłę mogącą przeprowadzić jego skuteczną kampanię. Byłaby okazja do symbolicznego odegrania się za upokorzenie z 2005 r.

Na pęknięcia w Prawie i Sprawie dliwości w wyniku osłabienia pozycji Kaczyńskiego czeka też z utęsknieniem Sojusz Lewicy Demokratycznej. Postkomuniści z irytacją obserwują od dwóch lat przejście sporej części swego socjal-

czynnik mogący osłabić nieprzejeźdny „kaczyzm”. Prawicy ma nie być nigdy u władzy – więc rozważania, czy na jej czele mógłby stanąć po Kaczyńskim ktoś bardziej radykalny – salonu po prostu nie interesują.

KACZYŃSKI JAKO ZAWADA

A kto z uwagą słucha informacji o stanie zdrowia prezesa za granicą? Na pewno obóz liberalnej lewicy proeuropejskiej. Dla nich wygrana Viktora Orbána na Węgrzech, a potem Kaczyńskiego w Polsce jest groźnym precedensem. Skandaliczną zawadą na drodze do budowy nowoczesnej, zunifikowanej Europy z wyraźnym lewicowym sznycem ideologicznym.

Oslabiona kryzysami we Włoszech i w Austrii eurokracja z przyjemnością przyjęłaby przejście na polityczną emeryturę Kaczyńskiego.

Orbán byłby wtedy bardziej osamotniony i łatwiejszy do złamania rozmaitymi „artykułami siedem”. W Brukseli, Paryżu i Berlinie rozpoczęto by odliczanie przed powrotem do władzy „naturalnych” partnerów we współpracy europejskiej w postaci Platformy i Nowoczesnej. A epokę Kaczyńskiego uznano by za przykry i pożałowania godny, incydentalny wypadek przy pracy nad budową wspólnego europejskiego domu.

Pozycja Kaczyńskiego w polskiej polityce jest też uważnie obserwowana w Moskwie. Z punktu widzenia Kremla lider PiS to poważna zaporę przed ewentualnymi operacjami rosyjskiej dyplomacji, np. nowym resetem z euro-błogosławieństwem naszych zachodnich sąsiadów. Wyraźne wspieranie przez Kaczyńskiego amerykańskiej obecności wojskowej w Polsce jest dla Putina trudne do zniesienia.

A kto powinien trzymać kciuki za obecność obecnego prezesa na czele PiS? Na pewno Amerykanie, którzy nie mają w Europie zbyt wielu liderów uważających, że USA winny być obecne na kontynencie jako gwarant wolności. Jedni, jak np. Angela Merkel, obrazili się na Trumpa jako aroganta. Z kolei lewicowcy nie lubią Ameryki jako „wariata z bombą jądrową” i na dodatek protektora Izraela prześladowającego niewinnych Palestyńczyków. Jeszcze inni, jak np. kanclerz Sebastian Kurz w Austrii czy Matteo Salvini we Włoszech, w Putinie widzą nadzieję europejskich konserwatystów i od USA trzymać się będą z daleka.

Kaczyński jest jednym z nielicznych polityków na naszym kontynencie, który wprost mówi o istnieniu państwa Izrael jako elementu równowagi w zachodnim świecie. Tego typu retoryka jest coraz rzadsza w zachodnich krajach, gdzie politycy zaczynają dbać o to, co może się spodobać wyborcom muzułmańskim.

I wreszcie Kościół katolicki w Polsce. Biskupi patrzą na Kaczyńskiego z pewnym niepokojem jako na polityka nieprzewidywalnego i mają pretensje, że nie zrealizował on swoich obietnic, np. zmian w ustawodawstwie aborcyjnym niepozwalających na aborcję eugeniczną. Tyle że osłabienie roli Kaczyńskiego w PiS może prowadzić do odsunięcia tej partii od władzy. A wtedy PO, Nowoczesna czy SLD z pewnością wykorzystają przełom polityczny do zmian obyczajowych, takich jak liberalizacja aborcji czy legalizacja homozwiązków. Politycy Platformy nie zdobędą się już wówczas na żaden opór. Schetyna czy Petru już teraz czapkują feministkom do ziemi.

PREZES ZWALNIA OD MYŚLENIA?

Tak się złożyło, że PiS jest partią rządzoną jednoosobowo. Tyle że po dojściu tego ugrupowania do władzy nastąpiło coś niepokojącego – Jarosław Kaczyński stał się w swojej własnej partii czymś w rodzaju jednoosobowej najwyższej izby kontroli.

Ten stan rzeczy przyzwyczaił zbyt wielu polityków tego ugrupowania do wygodnictwa i bierności. Po co samemu zastanawiać się, jak załagodzić ten czy inny kryzys, skoro prezes na pewno coś

lokalnych, jak i sprawach naprawdę ważnych – musiało odbić się na jego zdrowiu. Każdy organizm, od którego wymaga się zbyt dużo, zaczyna „strajkować”. Krytycy „naczelnika” z opozycji skomentowaliby zapewne taki pogląd z mściwym uśmiechem, że lider PiS tak właśnie skonstruował system władzy w swej partii, a teraz musi płacić za to cenę. Tym bardziej czołowi politycy Prawa i Sprawiedliwości winni zastanowić się, czy są w stanie kooperować bez oglądania się co rusz na Nowogrodzką. I zastanowić się, po co zajmują się polityką i jak chcą ją prowadzić. Inaczej staną się związkiem zawodowym beneficjentów władzy. A prezes winien prześmyśleć, czy nie powinien części władzy delegować w dół. Bo inaczej przegra ze swoimi możliwościami fizycznymi.

I jeszcze jedno. Przeświadczenie o sile Kaczyńskiego i PiS skłoniło wielu krytyków rządzącej partii z obozu wolnościowego i narodowego do częstych, niekiedy dość małostkowych ataków. Wyrastały one z przekonania, że skoro rządząca partia jest wszechmocna, to nie zaszkodzi nieco poszarpać ją za nogawkę. Jednak w razie tąpnięcia tej partii nowa rzeczywistość będzie z konserwatywnego punktu widzenia gorsza niż wszystkie głupoty i bezmyślność obecnej ekipy. I w tym wypadku choroba lidera PiS winna skłaniać do refleksji nad miarą rzeczy i odpowiednią skalą do oceny błędów obecnej ekipy.

W jednej z bliskowschodnich bajek sędziwy sułtan udaje chorobę i ogłasza ustąpienie z tronu, aby zobaczyć, jak

Kaczyński stał się w swojej partii czymś w rodzaju jednoosobowej najwyższej izby kontroli. Ten stan rzeczy przyzwyczaił zbyt wielu polityków PiS do wygodnictwa i bierności

wymyśli. Łączy się z tym też przekonanie, że pod parasolem stabilnej władzy naczelnika z Nowogrodzkiej można sobie pozwolić na frakcyjne podchody. Gdybym na własne uszy nie słyszał stopnia podejrzliwości niektórych członków PiS wobec Mateusza Morawieckiego, wobec frakcji Ziobry czy Gowina, nie pisałbym tych słów.

Być może to, że Kaczyński musiał interweniować w setkach spraw – zarówno ambicjonalnych konfliktach

sobie poradzą z sukcesą synowie. Ci biorą się za łby. Wtedy ojciec ujawnia, że tylko udawał słabość. W finale opowieści udziela synom gorzkiej reprimendy, że nie dorośli jeszcze do sprawowania władzy.

Ta orientalna przypowieść może przyjąć na myśl, jeśli zadać pytanie o zdolność rządzącej partii do uzyskania statusu ugrupowania, które umie myśleć o swojej przyszłości w perspektywie dekad.



Wojciech Wybranowski

Politycy PiS chwalą się sukcesami w tworzeniu nowych placówek muzealnych, które mają promować polską historię. Sprawdziliśmy. Wiele projektów jest opóźnionych, inne jeszcze nawet nie ruszyły

Historyczny poślizg

W lipcu ubiegłego roku przedstawiciele Warszawskiego Klubu Wielkopolan „Eka”, skupiającego mieszkańców w Warszawie, a pochodzących z Wielkopolski przedsiębiorców, artystów i dziennikarzy, zwrócili się do Muzeum Wojska Polskiego z prośbą o zorganizowanie w nim okolicznościowej ekspozycji z okazji przypadającej w tym roku 100. rocznicy wybuchu zwycięskiego powstania wielkopolskiego. Pracy nad taką wystawą nie byłoby dużo, a wkład finansowy nie byłby znaczący – wiele eksponatów już znajduje się w zbiorach muzeum. W lutym klub podobne pismo wysłał także do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Odpowiedź była odmowna. W piśmie, do którego

dotarliśmy, czytamy, że muzeum ma zbyt ograniczoną powierzchnię, zbyt małe środki finansowe i jest zbyt zaangażowane w inne akcje. Zasugerowano, by wystawę z okazji 100-lecia zwycięskiego zrywu Wielkopolan zorganizować... kiedyś indziej, w przyszłości.

– Jestem oburzony, że resort kultury nie widzi możliwości upamiętnienia ani zaprezentowania także młodemu pokoleniu historii jedynego zwycięskiego powstania w dziejach Polski. Powstania, które zaowocowało włączeniem Wielkopolski do odradzającej się ojczyzny – mówi Zygmunt Porolniczak, prezes Klubu Wielkopolan „Eka”. – Jak w takiej sytuacji można mówić o skutecznej edukacji historycznej, ba – o polityce historycznej?

Członkowie rządu Mateusza Morawieckiego chętnie opowiadają o polityce historycznej i kilkunastu nowych placówkach muzealnych, które powstają. Deklaracje brzmią obiecująco. „Do Rzeczy” postanowiło sprawdzić, jak wyglądają prace nad powstaniem placówek, które miałyby stać się w przyszłości narzędziem skutecznej edukacji i polityki historycznej. Wnioski nie są optymistyczne.

POLACY I ŻYDZI. RÓŻNE OPowieści

Luty. Polska znajduje się właśnie pod ostrym ostrzałem Izraela w międzynarodowej wojnie informacyjnej. Polacy są oskarżani przez izraelskich polityków i media, a w ślad za nimi przez wiele



W tym budynku w stolicy w ciągu trzech lat ma zostać uruchomione Muzeum Getta Warszawskiego

FOT. JACEK LAGOWSKI/FORUM

ności nowojorskiego muzeum z tym z Markowej.

Sprawdzamy więc dalej, co już zrobił resort spraw zagranicznych. Nie zrobił nic. Nasze źródła w polskiej dyplomacji w Stanach mówią, że prace nad projektem Muzeum Polaków Ratujących Żydów, które miało powstać w Nowym Jorku, w ogóle jeszcze nie ruszyły i nie wygląda na to, by cokolwiek miało się szybko wydarzyć w tej sprawie. – Na razie to tylko wstępne plany – mówi nam jeden z polskich dyplomatów w Stanach. A inny dodaje, że zaczęło się od wewnętrznych rozmów i na rozmowach się skończyło.

W pierwszej połowie marca minister kultury wicepremier Piotr Gliński udziela wywiadu tygodnikowi „Sieci”. Obszerne mówi o muzeach, które pod jego patronatem właśnie powstają. Powtarza opowieść o muzeum w Nowym Jorku i wymienia kolejne, które ma zaistnieć na polskiej mapie muzeów. „Powołujemy kilka placówek, które będą upamiętniały polskich Sprawiedliwych; m.in. rozbudujemy muzeum w Markowej, powstanie filia tej placówki w Nowym Jorku, powstanie także placówka w Ciepeliowie” – mówi dziennikarzom prof. Gliński.

Ciepielów to miejsce szczególnie boleśnie doświadczone w historii Polski. 8 września 1939 r. Niemcy rozstrzelali tam 300 wziętych do niewoli polskich żołnierzy Górnośląskiego Pułku Piechoty. A 6 grudnia 1942 r. niemieckie oddziały żandarmerii spaliły tam żywcem rodziny, które ukrywały w swych domach Żydów: łącznie 34 osoby, w tym dzieci.

Powstanie zapowiadane przez Glińskiego muzeum w tym miejscu byłoby istotne. Pytamy więc, na jakim etapie są prace, jaki jest status prawny. I słyszymy, że... takiego projektu nie ma. – W rejestrze instytucji kultury prowadzonym przez MKiDN, jak również w wykazie muzeów o statutach bądź regulaminach uzgodnionych z MKiDN nie figuruje Muzeum Polaków Ratujących Żydów w Ciepeliowie – odpowiada biuro prasowe resortu.

W lutym tego roku wicepremier Piotr Gliński ogłasza decyzję o powstaniu Muzeum Getta Warszawskiego (zapadła w listopadzie). Placówka, która ma zostać uruchomiona w ciągu trzech lat w budynku dawnego Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów, ma propagować wiedzę o getcie warszawskim i historię zagłady Żydów. W ciągu trzech miesięcy (inaczej niż w przypadku zapowiadanego nowojorskiego Muzeum

Polaków Ratujących Żydów) przygotowano plan realizacji, która ma zacząć się od wykupienia lub wydzierżawienia potrzebnej nieruchomości. Wybrano też dyrektora placówki – został nim Albert Stankowski, były pracownik Polin. Powstającemu muzeum zapewniono też stałe dofinansowanie. – MKiDN na rok bieżący i lata następne zaplanowało kwotę nie mniejszą niż 2 mln 150 tys. zł na utrzymanie działalności bieżącej muzeum. Kwota dotacji inwestycyjnej zostanie ustalona w najbliższym czasie – poinformowało nas biuro prasowe Ministerstwa Kultury.

Niemale pieniądze Ministerstwo Kultury przeznacza też na dofinansowanie działalności Muzeum Historii Żydów Polskich Polin, choć rozbudowy tej placówki na razie nie przewiduje. W 2016 r. dotacja podmiotowa na rzecz Polin wyniosła 8 mln 625 tys. zł, dotacja celowa bieżąca – 287 tys. zł, dotacja celowa majątkowa – 3,8 mln zł. W 2017 r. dotacja podmiotowa wyniosła 9,3 mln zł, celowa bieżąca – ok. 800 tys. zł, a dotacja majątkowa – 338 tys. zł. W tym roku jest to 8,7 mln zł dotacji podmiotowej i ok. 500 tys. zł dotacji celowej.

Oburzenie wielu środowisk budzi to, że Muzeum Historii Żydów Polskich w ostatnich miesiącach stało się politycznym narzędziem powielającym w trakcie przygotowywanych dyskusji i wystaw także na użytek środowisk zachodnich tezy o rzekomym dawnym i dzisiejszym polskim antysemityzmie.

NAJWAŻNIEJSZE CZASY

Muzeum Historii Polski, które ma opowiadać o najważniejszych wydarzeniach w dziejach państwa i narodu polskiego, formalnie powstało w 2006 r. Do dziś jednak nie ma własnej siedziby, bo przez osiem lat rządów PO dziwnym trafem nie można było znaleźć w stolicy właściwego miejsca na budowę placówki, a gdy już takie wskazywano, tuż przed rozpoczęciem procedur przetargowych i konkursowych decydowano o zmianie lokalizacji. Ostatecznie ma powstać na warszawskiej Cytadeli.

Jeszcze w 2015 r. w wywiadzie udzielonym „Do Rzeczy” dyrektor powstającego Muzeum Historii Polski Robert Kostro mówił, że jeśli nie dojdzie do nieprzewidzianych opóźnień, to w listopadzie 2018 r. powinny zostać zakończone prace nad siedzibą placówki, a do końca 2019 r. muzeum ma mieć już ekspozycję stałą. Wiadomo już, że to terminy nierealne,

międzynarodowych dzienników i tygodników, o współudział w Holokauście.

– Planujemy w Nowym Jorku, bo to jest miasto, gdzie żyje najwięcej Żydów na świecie, budowę filii Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów, by ta opowieść była blisko tej społeczności – zapowiada Jarosław Sellin, wiceminister kultury. Deklarację powtórzy później jeszcze kilku polityków rządzącego obozu, m.in. ówczesny wiceszef MSZ Jan Dziedzi- czak oraz wicepremier Piotr Gliński.

Gdy po trzech miesiącach pytamy o nową placówkę w Ministerstwie Kultury, spotykamy się z zaskoczeniem. Okazuje się, że resort muzeum w Nowym Jorku nie będzie tworzył, bo ponoć ma zrobić to MSZ, nie ma też mowy o łącz-



Część projektów ogłaszanych przez wicepremiera Piotra Glińskiego nie wyszła poza sferę politycznych deklaracji. FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

Da otwarcie własnego budynku MHP nastąpi najwcześniej za dwa lata. – Niestety, doszło do opóźnień. Najważniejsze dwa czynniki to opóźnienie prac architektów i uzgodnień z MON dotyczących zagospodarowania Cytadeli – poinformowała nas Elżbieta Lichocka z Muzeum Historii Polski. – Pierwotnie przewidywaliśmy zakończenie prac architektów na koniec 2016 r., a ostatecznie odebraliśmy projekt na początku października 2017 r. W tym czasie udało się również osiągnąć porozumienie z MON dotyczące udostępnienia Cytadeli dla prac budowlanych.

Do tego przeciągnęły się też procedury przetargowe. Dopiero w maju wybrano firmę Budimex jako wykonawcę siedziby MHP. Obecnie funkcjonuje ono w wynajmowanych pomieszczeniach, gdzie organizowane są wystawy czasowe. Dotacje, jakie MKiDN przyznało na funkcjonowanie muzeum, to w 2016 r.: podmiotowa – 7,6 mln zł i celowa – 2,1 mln zł. W 2017 r. dotacja podmiotowa wyniosła 9 mln zł, a celowa – 2,9 mln zł. Plan na 2018 r.: podmiotowa – 9,7 mln zł, celowa – 1,2 mln zł.

W bliżej nieokreślonej przyszłości we własnej siedzibie i „pełną parą” ruszyć ma inna z placówek muzealnych, których rychłe uruchomienie zapowiadał w wywiadach prasowych wicepremier Gliński, czyli Muzeum Ziemi Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej.

Instytucja tworzona wspólnie przez województwo lubelskie i MKiDN jako oddział Muzeum Lubelskiego w Lublinie ma „badać i popularyzować dorobek pokoleń Polaków zamieszkujących, zwłaszcza w czasach I Rzeczypospolitej, nasze dawne ziemie wschodnie”.

Problem w tym, że zanim muzeum powstanie, upłynie jeszcze sporo czasu. Pałac Lubomirskich w Lublinie, w którym ma funkcjonować muzeum, był własnością UMCS, został odkupiony za ok. 11

mln zł, ale trzeba czasu, zanim szkoła opuści mury, zostanie przeprowadzony remont i przygotowana ekspozycja. – Prace w pałacu zaczną się nie wcześniej niż po jego opuszczeniu przez UMCS, tj. po 2019 r. – poinformował nas rzecznik prasowy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

W tym roku, właśnie na 100. rocznicę święta niepodległości, miało otworzyć podwoje, już we własnej siedzibie, z własną stałą ekspozycją, Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Tak przynajmniej zakładano w obowiązującym programie wieloletnim. Docelowo ma w nim być stała wystawa dokumentująca życie Marszałka podzielona na pięć galerii chronologicznych: Ziuk, Wiktor, Komentant, Naczelnik i Marszałek, oraz szósta galeria – Symbol. Dzisiaj już wiadomo, że jeszcze w tym roku muzeum swoich podwojów nie otworzy. – Obecnie trwają przygotowania do zmiany programu i wydłużenia harmonogramu budowy – twierdzi rzecznik Ministerstwa Kultury.

Problem z muzeum tworzonym w pobliżu dworku Milusin pojawił się pod koniec ubiegłego roku, gdy okazało się, że tereny, na których prowadzona jest inwestycja, zostały zalane wodami gruntowymi. W dodatku wykonawca nie mógł się porozumieć z dyrektorem muzeum Krzysztofem Jaraczewskim, inwestorem i współprojektantem budynku, co do koloru betonu jednej z podziemnych ścian. Suma wydatków inwestycyjnych na Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, utworzone wspólnie przez MKiDN i Fundację Rodziny Józefa Piłsudskiego, w 2017 r. wyniosła ok. 30 mln zł, w 2018 r. będzie to zaś 34,3 mln zł.

Również otwarcie Muzeum Piaśnickiego w Wejherowie – obecnie oddziału Muzeum Stutthof w Sztutowie – nie nastąpi zbyt szybko. Ta placówka ma upamięt-

niać tzw. zbrodnię piaśnicką, czyli wiele zbiorowych egzekucji przeprowadzonych w pierwszych dniach wojny przez Niemców. W Piaśnicy zamordowano wówczas od 12 do 14 tys. ludzi, głównie przedstawicieli polskich elit politycznych i gospodarczych z Pomorza Gdańskiego.

Obecnie trwają dopiero prace projektowe nad generalnym remontem i dostosowaniem do potrzeb muzeum wejherowskiej Villa Musica. Prace budowlane rozpoczną się w drugiej połowie roku. Niezależnie od tego placówka prowadzi już działalność naukową i edukacyjną – w maju na zaproszenie muzeum do Wejherowa przyjechały grupy młodzieży z Mierzei Wiślanej i Żuław, by w piaśnickich lasach upamiętnić tam pomordowanych.

WYKLĘCI I SYBIR

Nieco lepiej wyglądają za to prace nad utworzeniem Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku, którego założycielem jest miasto Białystok. Placówka mieści się w tymczasowej siedzibie, a jej misją jest dokumentowanie i upamiętnianie losów obywateli polskich na ziemiach dawnego Imperium Rosyjskiego i ZSRS od XVII w. do czasów współczesnych. W marcu rozstrzygnięto przetarg na wykonawcę siedziby muzeum, a prace budowlane mają zakończyć się do listopada 2019 r. Zdaniem historyków to całkiem niezłe tempo, bo pierwsze prace nad stworzeniem Muzeum Pamięci Sybiru rozpoczęły się w 2016 r.

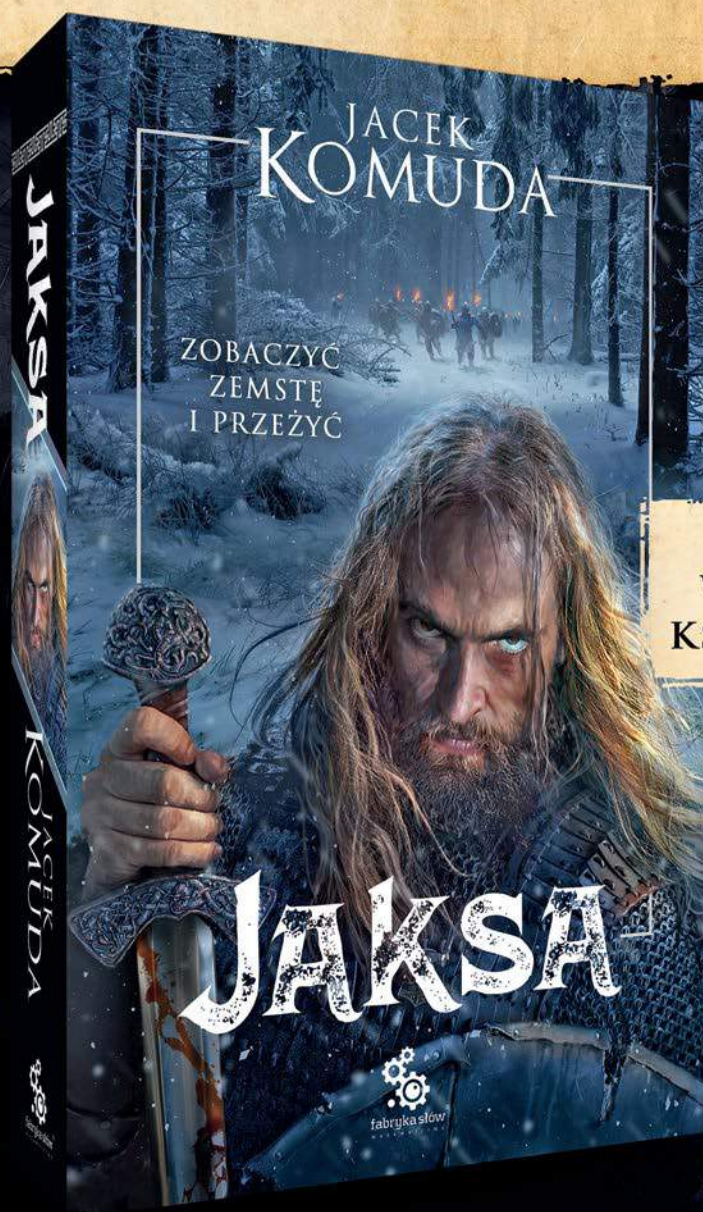
Za to raczej na pewno na 100. rocznicę odzyskania niepodległości uda się, w pomieszczeniach dawnego ubeckiego aresztu śledczego w Ostrołęce, uruchomić Muzeum Żołnierzy Wyklętych prowadzone wspólnie przez Ostrołękę i MKiDN.

Jak wynika z udostępnionych nam przez MKiDN danych, resort kultury w ubiegłym roku przekazał na wydatki inwestycyjne tego muzeum 5,4 mln zł. Na ten rok zaplanowano ponad 29 mln zł. Budowa i remont pomieszczeń ruszyły już w ubiegłym roku. – Muzeum obecnie nie ma wystawy stałej. Będzie ona otwarta w przebudowanym kompleksie przy ul. Traugutta 19. Organizujemy natomiast wystawy mobilne (planszowe), które nieodpłatnie udostępniamy szkołom, domom kultury i innym zainteresowanym podmiotom – opowiada nam Jacek Karczewski, dyrektor ostrołęckiego Muzeum Żołnierzy Wyklętych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

KRWAWE FANTASY

CZERPIĄCE Z BEZMIARU LUDZKIEGO OKRUCIEŃSTWA



SZUKAJ
W DOBRYCH
KSIĘGARNIACH

PIERWSZE FANTASY AUTORSTWA JACKA KOMUDY!

Zanurz się w opowieści o świecie, gdzie dzielni wojowie stają naprzeciw strzyg i upiorów. Gdzie walka o władzę między ludźmi toczy się równie zażarcie, co walka między starymi a nowymi Bogami.

Rakieta przeciwlotnicza Buk, którą zestrzelono malezyjski samolot pasażerski MH17 cztery lata temu, była na stanie uzbrojenia 53. Brygady Przeciwlotniczej rosyjskiej armii – ustalili eksperci powołani w śledztwie przez holenderską prokuraturę. Ich ekspertyzy uznano za na tyle poważne, że po raz pierwszy politycy zachodni – konkretnie holenderscy i australijscy ministrowie spraw zagranicznych – odważyli się otwarcie oskarżyć Rosję o sprawstwo tej tragedii, w której, przypominamy, zamordowano 298 najzupełniej przypadkowych osób.

Oczywiście Rosja zareagowała gniewnymi zaprzeczeniami i demonstracyjnym obrażeniem się na wspomniane kraje. Jak konkretnie zamierza dać wyraz swemu oburzeniu, tego jeszcze nie wiemy, ale może sobie pozwolić na wiele. Swoją wagę ma bowiem także to, że niemal nazajutrz po ogłoszeniu tej sensacji prezydent Francji, Emmanuel Macron, goszcząc u Władimira Putina w Petersburgu, wśród różnych duserów, którymi obsypywał gospodarza, wyraził m.in. nadzieję, że niebawem to właśnie Francja stanie się głównym europejskim partnerem Rosji, prześcigając w wymianie handlowej Niemcy.

Przedstawiciele Niemiec, również obecni na tym samym forum ekonomicznym, którego gościem honorowym był w tym roku prezydent Francji, nie zamierzają jednak łatwo oddawać pierwszeństwa – nie po to wpakowali już w Rosję miliardy euro i spieszą z następnymi. Ten wyścig do robienia z Rosją rozmaitych interesów – a na stole są tak lukratywne jak wspólne skraplanie gazu arktycznego – trwa od lat, ale w tym roku pojawiły się nowe wątki. Unijne potęgi wyraźnie upatrują w Rosji protektora swych interesów na Bliskim Wschodzie, a zwłaszcza w Iranie, gdzie zagroziły im sankcje zapowiedziane przez prezydenta Trumpa. Francuski minister ujął to w słowach: Europa musi „nie zapominając o rozbieżnościach, znaleźć z Rosją zbieżne podejście”.

Awanturnicza polityka Izraela i bezwarunkowe poparcie, jakiego udzielił jej Trump, w połączeniu z gangsterską bezwzględnością Putina nieukrywającego nawet, że zwykły licytować i wygrywać powyżej posiadanych kart, z przebiegłością szykujących się do



Sojusz za jeden uśmiech



Rafał A. Ziemkiewicz

Postawa „bardziej nienawidzić Rosji, niż kochać Polskę” bardzo odpowiada emocjom patriotycznym, ale mądra nie jest

wzięcia najwyższej stawki Chin i skarleniem, „zeschroederyzowaniem”, jak to ktoś trafnie nazwał, głównych państw Unii Europejskiej – to wszystko sprawia, że światowa polityka zaczyna być tak ciekawa, jak nie była od czasu wojen bałkańskich i ostatnich lat przed I wojną światową.

Jak jednak mówił klasyk – niech na całym świecie wojna, byle polska prowincja była zaciszna i spokojna. I taka właśnie pozostaje. Żyjąca w jakimś in-

nym świecie, owszem, wewnątrz kipiąca od wzajemnej złości, ale na zewnątrz ufna i prostolinijna w swym przekonaniu, że państwa nie mają interesów, lecz tylko przyjaciół oraz wrogów, i to odwiecznych, i że w polityce trzeba przede wszystkim zachowywać się lojalnie. Uparcie ciśnie się na myśl szyderstwo, które w sztuce Nowaczyńskiego rzuca do bp. Krasickiego Fryderyk Wielki: że święta patronka Polski to Sancta Simplicitas.

@

Czasem mam wrażenie, że jest z nami tak jak z tym moczącym się pacjentem, którego wyleczyli w kawale amerykańscy psychologowie (wyleczenie, kto kawału nie zna, polegało nie na tym, że przestał się moczyć, tylko na tym, że nauczył się być z tego dumny). Nie ma lekcji tak bolesnej, by nauczyła Polaków myśleć tak, jak myśli Zachód. Naszym wielkim odwiecznym wrogiem jest Rosja. Naszym wielkim przyjacielem jest każdy, kto jest wrogiem Rosji – a więc Ameryka. I już.

Problem w tym, że nikt poza nami nie rozumie w takich kategoriach i nikomu nawet bycie z Rosją (czy każdym innym, reguła jest uniwersalna) na noże nie przeszkadza od czasu do czasu z nią zadealować. Potępienie nieodwołalnie zarezerwowane jest w światowej polityce tylko dla reżimów słabych, które nikomu nie mogą ani nic dać, ani zrobić – dla Miloševicia, Kaddafiego i Husajna, ale już nie Kim Dzong Una, bo ten w porę zaopatrył się w bombę.

Co robić, kiedy nasi odwieczni przyjaciele dealują z naszym odwiecznym wrogiem? Cóż, nauczyliśmy się im to wybaczać. Na wszelki wypadek nie wybacza się jednak tym rodakom, którzy ostrzegają, że tak się po raz kolejny może stać. I tym samym, godząc w nienaruszalne sosusze, rozkładają narodowego ducha, sieją defetyzm i dopuszczają się zdrady.

Właśnie mamy tego niezły przykład. Przemysław Żurawski vel Grajewski, analityk poważany w kręgach obecnej władzy, ogłosił na łamach zaprzyjaźnionej „Gazety Polskiej”, że jesteśmy „pismem obozu promoskiewskiego”. Nasza przyjaźń sięga głęboko w przeszłość – przypominę, że powstanie tygodnika „Uważam Rze” tłumaczyła „Gazeta” jako akcję WSI, obliczoną na zatrzymanie lawinowego wzrostu popularności jedyne go tygodnika prawdziwie prawicowego i patriotycznego – więc zapewne z tej przyczyny Żurawski vel Grajewski opatruje swą enuncjację znakiem zapytania i daje nam szansę: nie uzna nas za „pismo promoskiewskie”, jeśli nie pozwolimy więcej publikować u nas Tomaszowi Kwaśnickiemu. Kwaśnicki jest albowiem redaktorem „prorosyjskiego” portalu Kresy, a to, co pisze, w najwyższym stopniu się w „Gazecie Polskiej” i samemu Żurawskiemu vel Grajewskiemu nie podoba.

Nie będę bronił atakowanego tekstu Kwaśnickiego ani nawet jego prawa

prezentowania „prorosyjskich” herezji – czytelnicy wiedzą, że w tym właśnie wyraża się nasze upośledzenie względem zaprzyjaźnionego tygodnika, iż nie dane nam jest objawienie, jaka jest prawda jedyna, i dlatego szukamy jej w dyskusjach (to upośledzenie ma zresztą swoją dobrą stronę, nie musimy na gwałt przedstawiać kompasów po każdej rekonstrukcji czy nowej nominacji).

Warto jednak zauważyć, jakimi argumentami posługuje się pogromca „Kresów” i ich publicysty: „W tej wizji świata [Kwaśnicki, przypominę, ośmiela się rozważać możliwość współlistnienia z Moskwą] nie ma domów wysadzonych w Bujnaksie, Wołgodońsku i Moskwie, by sprowokować II wojnę czeczeńską, nie ma otrutego Litwinienki ani Skripala, ani tych kilkuset dziennikarzy, obrońców praw człowieka czy innych krytyków Putina, którzy jak Anna Politkowska zostali zastrzeleni, gdyż byli zbyt głośni lub za dużo wiedzieli”. Muszę przyznać, że gdy czytam takie historyczne kawałki – tu na dodatek sygnowane przez analityka, tak, analityka spraw międzynarodowych – to ręce i nogi opadają mi jak pletwy.

@

Adekwatna odpowiedź brzmiałaby: „w proamerykańskich i wiernopoddańczych względem Izraela enuncjacjach Żurawskiego vel Grajewskiego nie ma palestyńskich dzieci rozstrzeliwanych w Gazie przez żydowskich snajperów, nie ma wielokrotnych zrad sprawy polskiej przez wiarołomnego sojusznika zza oceanu, nie ma bezwzględnych prób wyciśnięcia z Polski okupu przez »holocaust industry«, nikczemnych obelg rzucanych na Armię Krajową ani zamachu na Pommnik Katyński...”

No, fajnie, poprzekrzykujemy się tak. Polskie wyobrażenie racji stanu A.D. 2018 wygląda przecież tak, że ci, którzy chcą bezwzględnego poddania się dyktatowi Niemiec i eurokracji, wrzeszczą na tych, którzy chcą bezwzględnego poddania się dyktatowi USA i lobby, które umieją politykę Waszyngtonu rozgrywać na swoją rzecz, a jedni i drudzy razem wrzeszczą na wszystkich, którzy szukają jakiegoś wyjścia z tej diabelskiej alternatywy, że działają na rzecz Putina.

Ten ostatni wrzask to nie ich pomysł – oskarżanie o „proputinowski populizm” płynie z Zachodu, od tamtejszych liderów, którzy trzymając nim w szachu

frajerów, sami pielgrzymują do Putina, by prosić o łaskawe uczynienie rozbieżności zbieżnymi.

@

Ja wiem, że szukanie... nawet nie zbliżenia, ale jakiegoś racjonalnego modus vivendi z Rosją, to rozwiązywanie kwadratury koła. Przede wszystkim dlatego, że polityka rosyjska jest mało racjonalna. Kto w naszych dziejach – od Stanisława Augusta Poniatowskiego przez Adama Czartoryskiego do Romana Dmowskiego

Co robić, kiedy nasi odwieczni przyjaciele dealują z naszym odwiecznym wrogiem? Cóż, nauczyliśmy się im to wybaczać

go – próbował się z nią porozumieć na zasadzie wspólnoty dobrze pojętych interesów, ten przejeżdżał się na tym, możliwe zresztą, że to właśnie oduczyło nas politycznego myślenia, tak jak wcześniej Rosjan oduczyli tego Mongołowie.

Postawa „bardziej nienawidzić Rosji, niż kochać Polskę” bardzo odpowiada emocjom patriotycznym, kształtowanym na pamięci powstań i wierze w „drugie Katyń”, ale mądra nie jest. A już na pewno nie na tyle, żeby w imię owych emocji z góry odrzucać jakiegokolwiek rozważania, czy aby zamiast – we własnym mniemaniu – szlachetnie choć raz w swej historii zachować się sprytnie albo przynajmniej przyzwoicie. Stare powiedzenie mówi: dłużej klasztoru niż przeora. Putin nie jest wieczny, a i Zachód powoli przestaje być „wolnym światem”, ostoja demokracji i praw człowieka, jak przywykło o nim myśleć moje pokolenie. Przeciwnie, brnie w szaleństwo, rozkład i marksizm.

Świat się zmienia, a nasze rozumowanie jest wciąż tak samo prostolinijne. Zachód – dobro, Wschód – zło. Musimy być po stronie dobra. To sprawia, że sojusz z nami doprawdy niewiele jest dla Ameryki wart. Wystarczy parę komentarzów o bohaterskiej historii, parę uśmiechów, a jeśli ktoś w Polsce zacznie się głośno zastanawiać, czy aby znowu nie jesteśmy wykorzystywani, sami rodacy rzucą mu się do gardła.



Ze Sławomirem Jastrzębowskim, prezesem firmy PR R4S, byłym redaktorem naczelnym „Super Expressu”
rozmawia Agnieszka Niewińska

Dziennikarstwo jest w hospicjum

AGNIESZKA NIEWIŃSKA: Do tej pory to pan piksłował twarze polityków, celebrytów i dziennikarzy za jazdę pod wpływem, a teraz to pana zapiksłowano. Nie wie pan, jak niebezpieczna jest jazda po alkoholu?

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI: Oczywiście, że wiem, i dlatego nie jeżdżę po wypiciu alkoholu i podkreślam: nikt mnie na tym nie złapał. Nikt. Nie chcę opowiadać o swoich wrogach i prowokacjach, bo to zawsze brzmi śmiesznie, ale moja sprawa jest kuriozalna. Pomówiła mnie jedna osoba, bo gapiąc się w telefon, wjechałem na trawnik. Nie zostałem zatrzymany za kierownicą, tylko w pokoju hotelowym, po czasie naprawdę wystarczającym na spożycie kilku drinków. I tu ciekawostka, zatrzymywali mnie w pokoju policjanci, którzy – zanim udałem się na górę – rozmawiali ze mną przy recepcji, stali ode mnie metr i chociaż podobno przyjechali po pijanego kierowcę, to nie przyszło im do głowy, żeby mnie badać czy kontrolować. Dlaczego? To proste, byłem trzeźwy.

I mam rozumieć, że zarzuty postawiono panu za niewinność? To byłoby dalece niepoważne ze strony policji.

Postawienie zarzutów to nie jest uznanie winy. Taka jest procedura. Trwa dochodzenie i mam nadzieję, że zakończy się umorzeniem, tym bardziej że wyniki badań retrospektywnych wydychanego przeze mnie powietrza świadczą o mojej niewinności.

Patrząc na to z drugiej strony, ma pan doskonałą okazję do zaprezentowania umiejętności w dziedzinie PR kryzysowego. Oferuje go klientom firma PR, w której właśnie zaczyna pan pracę. Wybrnie pan wizerunkowo z tej sytuacji?

Mój wizerunek nie ucierpi, bo ja nie mam wizerunku grzecznego chłopca i już

go nie będę miał. Mam wizerunek człowieka nieustraszonego od kłopotów, ale skutecznego i twardego. Człowieka, który nie łamie prawa. Jeżeli jesteś absolutnie przekonany o swojej racji, a to jest właśnie ten przypadek, to nie poddawaj się, walcz do końca. Właśnie taki mam zamiar. Chociaż trzeba przyznać, że po głowie dostają solidnie.

W dziennikarskim światku mówi się, że to właśnie incydent z 29 marca jest prawdziwą przyczyną pana rozstania z „Super Expressem” i przejścia do PR. Prawda to czy plotka?

Bzdura. Moje odejście było ustalone i dokumenty podpisane wiele miesięcy wcześniej. W „Super Expressem” nikt o pomówieniu mnie nie wiedział do czasu mojego pożegnania się z redakcją.

Tyle że jeszcze w styczniu, przy okazji rozmowy o książce,



którą pan wydał, zapewniał mnie pan, że uwielbia pracę w tabloidzie. To jak to jest: pan zrezygnował z „Super Expressu” czy „Super Express” z pana?

To ja zrezygnowałem, poszedłem z tym do właściciela Zbigniewa Benbenka, który dopytywał mnie, skąd ta decyzja, czy można mnie zatrzymać. To mnie ujęło. Benbenek miał ze mną trudne życie. Moje publikacje psuły mu różne interesy, ale zawsze dotrzymywał zawartej ze mną umowy o niezależności. Ładnie się zachował przy naszym rozstaniu. Tak, uwielbiałem pracę w tabloidzie. Dawała okazję do kreacji, która nigdzie indziej nie jest możliwa. Tak zwane opiniotwórcze gazety są osadzone w sztywnych ramach, a my mogliśmy robić różne rzeczy, które były na granicy dziennikarstwa i copywritterstwa, co było fascynujące. W ogóle bycie dziennikarzem, reporterem to fantastyczna przygoda. Mamy możliwości spotykania ludzi, których byśmy nie spotkali, możemy zobaczyć, jacy są naprawdę: czy bredzą, czy kłamią, czy udają, czy są głębocy, czy płytki. Zaczynałem pracę w tym zawodzie 25 lat temu. Przeszedłem klasyczną drogę – od ucznia, który pisze o dziurach w jezdni i cenach pietruszki, do redaktora naczelnego. Pracowałem w wielkich redakcjach zatrudniających po kilkudziesięciu dziennikarzy w jednym dziale. W pewnym momencie zorientowałem się, że ten mój świat fajnego dziennikarstwa umiera. Wielkie redakcje przechodzą do lamusa, o tym, jakie informacje i jak mamy przekazywać, decydują za nas Google, algorytmy. Może to zabrzmi dziwnie w ustach byłego naczelnego tabloidu, ale uważam, że Internet zniszczył dziennikarstwo, nie dał niczego dobrego dziennikarzom, treści głębokie, unikalne, świeże zostały spłycone, ujednolicone. Dziennikarstwo jest przez Internet w hospicjum.

Rzeczywiście brzmi to dziwnie w ustach byłego naczelnego tabloidu. Czyli to kryzys w mediach pchnął pana do PR?

Zastanawiałem się nad tym, co robić dalej. Skończyłem typowo menedżerskie studia – Executive MBA. Chciałem wejść głęboko w biznes, potrzebowałem zmiany. Czy to mi wyjdzie na dobre? Tak. Czy będzie trudno? Będzie. Przekwalifikowanie się nie będzie procesem prostym, ale w życiu nie ma być łatwo.

I musiał pan iść do firmy byłego polityka Adama Hofmana? Jeszcze niedawno, przy okazji afery madryckiej, „SE” pisał o nim w tytule: „Hofman, nie pograżaj się. Bezczelne cwaniaczki! Wynocha

z Sejmu”, a teraz będziecie sobie pracować biurko w biurko?

(śmiej) Dobry tytuł! Swoją drogą to niezła ironia losu. Mówiłem do Hofmana: „Wynocha z Sejmu”, a potem on mnie zaprasza do pracy w firmie. Powiedziałem mu nawet: „Tyle razy cię obsmarowałem, że w zasadzie jesteście rodziną”. On twierdzi – pewnie pół żartem, pół serio – że dzięki tym publikacjom w „Super Expressie” jest lepszym człowiekiem, podziękował mi butelką wina.

Może pan Hofman cierpi na syndrom sztokholmski – żywi sentyment do człowieka, który medialnie się nad nim pastwił?

Nie sądzę (śmiej). Myślę, że tu jesteśmy podobni. I Adam, i Michał, i Mariusz [Wiórkiewicz i Sokołowski, udziałowcy R4S – przyp. red.], i ja oddzielamy sprawę zawodową od prywatnych, kompetencje od emocji. Wiedzą, że jestem człowiekiem, który może przydać się w takiej firmie jako jeden z ekspertów od zarządzania i komunikacji. Że mogę otwierać drzwi, mam telefon pełen kontaktów do ludzi, którzy ode mnie odbiorą. Inna sprawa, czy ci moi znajomi będą teraz ode mnie odbierać telefony. To się okaże.

Jest pan prawą ręką byłego rzecznika PiS, tak jak twierdzą internetowe portale?

Powiem pani, jak się zaczęła nasza rozmowa o byciu w firmie. Otóż ludzie znani funkcjonują na kilku poziomach. Pierwszy to ten, który widzimy w telewizji. Gdy ktoś ogląda Krystynę Pawłowicz, która pokrzykuje w Sejmie, może wnioskować o jej nadpobudliwość. Gdy widzi Stefana Niesiołowskiego, dochodzi do wniosku, że być może lekko zwariował. Jednak jeśli zna się ich prywatnie, to się okazuje, że Niesiołowski jest niesamowitym gadułą, potrafi być bratem łąką. Krystyna Pawłowicz jest ciepłą, kobiecą, niezwykle sympatyczną. Z Adamem Hofmanem jest to samo. Na poziomie jego byłej działalności politycznej mogliśmy go krytykować za zbyt twardość przy rzecznikowaniu, czasem graniczącą z pyszałkowatością, wytykać błędy, cwaniactwo. Jednak jako naczelny normalnie się z nim komunikowałem, wymieniałem opinie. Widzę w nim człowieka starannie wykształconego, inteligentnego, błyskotliwego, przenikliwego i nakierowanego na sukces.

Ale pan słodzi...

Kiedy pisałem pracę dyplomową na Executive MBA, poprosiłem go o pomoc

w znalezieniu rozmówcy. Potrzebowałem do badań m.in. tzw. grubego prezesa, bo pisałem o negocjacjach w biznesie i przełamywaniu impasu. Zaproponował, że poprosi Roberta Pietruszyna [były prezes m.in. Lotosu, były wiceprezes PZU – przyp. red.], z którym przyjaźnił się od lat. Zresztą ta przyjaźń też była opisywana przez „SE”. Pietruszyna też obsmarowaliśmy, ale jednak się zdecydował na spotkanie ze mną. Wtedy zacząłem rozmawiać z Adamem o tym, czego chcemy w życiu, po co mi to MBA, aż w końcu zapytał, czy nie chciałbym u nich pracować. Zwróciłem uwagę, że jako naczelny „Super Expressu” byłem na bardzo eksponowanym stanowisku, zarabiałem dobre pieniądze. Na co więc mam się zamieniać? Adam zaproponował spotkanie w grupie partnerów zarządzających, by pokazać, jakie firma ma horyzonty.

Z pewnością u Adama Hofmana horyzonty są szerokie.

Są, ale prostuję to sformułowanie „u Adama Hofmana”, choć rozumiem, że jest postrzegany jako frontman tej formacji. Zarządzających jest trzech, na równych prawach.

Były rzecznik policji Mariusz Sokołowski i Michał Wiórkiewicz, współpracownik Hofmana i asystent premierów Kazimierza Marcinkiewicza oraz Jarosława Kaczyńskiego.

Ja jestem czwartym zarządzającym.

Gratulacje. A teraz proszę czytelnikom opowiedzieć, czym ta tajemnicza firma się zajmuje. Jak do tej pory zasygnęła głównie umowami ze spółkami Skarbu Państwa, co – przyzna pan – wygląda podejrzanie w przypadku firmy, której udziałowcem jest były rzecznik obecnie rządzącej partii.

Spółki Skarbu Państwa są akurat odpychane, bo każda najmniejsza faktura wystawiona spółce Skarbu Państwa powoduje lawinę publikacji medialnych komentujących ten fakt słowami w rodzaju: „A ten to sobie załatwił...”. R4S nie ma żadnej umowy z jakąkolwiek spółką Skarbu Państwa.

W tabloidzie sam pan kazał tak pisać i wytykać załatwiactwo.

Tak, dlatego się temu nie dziwię. Nie chciałbym jednak, żeby ta firma była kojarzona ze spółkami Skarbu Państwa. Po co nam to? Gra nie jest warta świeczki. Lepiej jest pomóc klientowi biznesowemu w komunikacji – jest mnóstwo

ludzi, którzy mają duże firmy, duże pieniądze, a nie potrafią komunikować swoich sukcesów, opisywać swoich przejściowych kłopotów w taki sposób, żeby nie wyrządziły im krzywdy. To są rzeczy, na których ja się znam i które będę w tej firmie robił.

A jako dziennikarz śledczy prześwieciałby pan taką firmę jak R4S?

Tak, byłem zresztą dziennikarzem śledczym. I powiem pani więcej, zanim przyszedłem do tej firmy, to ją dokładnie prześwieciłem. Przejrzałem klientów firmy, sprawdziłem, czym się zajmuje. Wszedłem do niej z pełnym spokojem i z pełnym zaufaniem do ludzi, którzy tam pracują.

Inne firmy PR uważają R4S za szepcacy, którzy tylko sączą odpowiednie komunikaty do odpowiednich znanych im uszu, a nie działają w obszarze public relations.

A ja się spotkałem z inną opinią. Często o konkurencie czy o sąsiedzie mówi się rzeczy nie najlepsze.

Pewnie zazdrościsz. Kto by nie zazdrościł firmie, która dopiero co powstała, a już ma siedzibę w centrum miasta, w szklanym wieżowcu o wielkoświatowej nazwie Warsaw Financial Center?

Może są zazdrośni, a może mają inne interesy. Ja chciałem przejść do dobrego miejsca. Chcę grać uczciwie. Bycie jakimś tam załatwiaczem mnie nie interesuje. Zanim zdecydowałem się na zmianę pracy, wypytałem klientów, jak postrzegają tę firmę, i usłyszałem bardzo dobre opinie. R4S dynamicznie się rozwija. Ma trzy lata i zrobiła wielki skok.

Może klimat polityczny jej sprzyja?

Nie można budować takiej firmy na polityce. To byłoby głupie, bo przy zmianie władzy firma by poległa. W biznesie nie ma żadnych politycznych sentymentów. Liczy się tylko interes. Albo coś się opłaca, albo się nie opłaca. Mądrzy ludzie wiedzą, że Adam Hofman już od dawna nie jest politykiem, tylko przedsiębiorcą. W PiS ma zresztą paru, nazwijmy to, umiarkowanych przyjaciół. Przeszedł daleką drogę po tym, jak dostał po głowie. Z wielką nadzieją patrzę na R4S. Mam ochotę na współbudowanie wielkiej firmy, która już jest dużym graczem, a za 5–10 lat będzie tym najbardziej się liczącym. Możemy zmienić oblicze polskiego PR.

Będzie pan zmieniał oblicze PR? Jeden redaktor, słysząc o pana transferze, powiedział, że najpierw popsuł pan dziennikarstwo, teraz idzie pan psuć PR.

Nie wiem, czy popsułem dziennikarstwo. Mam nadzieję, że nie. Dziennikarstwo dzięki mnie się poszerzyło, narobiłem w dziennikarstwie zamieszania, bałaganu, lekkiego chaosu, ale na pewno też – nie wiem, czy nie będę nieskromny – przeszedłem do historii polskiego dziennikarstwa.

O, to na pewno. Wylansował pan dzieciobójczyńnię, „mamę małej Madzi”, którą posadził pan na koniu w bikini. Studenci będą się o tym uczyć.

To był akurat strzał w dziesiątkę, ale nie tylko, mieliśmy wiele innych głośnych publikacji. O Krzysztofie Piesiewiczach na przykład.

Rzeczywiście, pan senator nie ma najmniejszych powodów, żeby pana lubić.

Wiele osób mnie nie lubi. Już pani mówiłem, że wolę, aby ludzie mnie cenili, niż lubili. Ja nie jestem od lubienia, od tego jest mój mały pies – Conan – maltańczyk.

Wolność się panu skończyła. Przynajmniej w Internecie. Konto twitterowe zamknął pan dla postronnych czytelników, profil na Facebooku skasował.

Muszę się trochę zmienić, być poważniejszym człowiekiem. Inaczej powinien wyglądać człowiek, który jest walczącym redaktorem naczelnym tabloidu, a inaczej taki, który pomaga w bardzo poważnych biznesach. Potrafię to zrobić – ku utrapieniu hejterów, których mam mnóstwo.

Jako miłośnik wyściskania sprawdził pan już siłownie wokół nowego miejsca pracy w wieży ze szkła i z granitu?

Sprawdziłem, całkiem niedaleko jest kilka dobrych siłowni, więc pewnie będę wyskakiwał, żeby poćwiczyć. Biceps dla Polski będę dalej robił, chociaż on będzie teraz bardziej wyrzeźbiony. Nie zauważyła pani, że schudłem? Dziesięć kilogramów, żeby lepiej wyglądać w garniturze.

Czyli same sukcesy. Biceps będzie pan robił z Adamem Hofmanem czy to raczej on namówi pana na ultramaraton?

Śmialiśmy się z Adamem, że on będzie mnie zabierał na biegi, a ja jego na wyciskanie z klatki piersiowej. Nie za bardzo nadaję się na biegi, ale coś z tego na pewno będzie.

Łezka na wspomnienie „SE” się panu w oku zakręci?

Pyta pani, czy mi żal? Nie, ja nie myślę żalem. Miałem wielką szansę bycia dziennikarzem. Wydaje mi się, że zbudowałem z zespołem nowe oblicze „SE” i jakiegokolwiek ono by było, to o „SE” było głośno, był wyrazisty, często kojarzony ze mną. Ludzie mówili mi, że „SE” to ja. Przejąłem ster w gazecie w bardzo trudnym momencie. „SE” trzeba było ratować, i to mi się udało jako kapitanowi. Udało się, bo podejmowaliśmy ze wspianymi ludźmi brawurowe akcje, abordaże, gwałty, podpalenia, uprowadzenia... Tutaj proszę zaznaczyć, że się śmieję.

Nie omieszkam.

„SE” był niezwykle waleczny, ale też poważny. Rozmawiali ze mną wszyscy najważniejsi politycy. Przekonałem ich do tego, że dzięki „SE”, dzięki mnie, będą mieli większy wpływ na opinię publiczną. „SE” to zawodowo mój największy sukces. Teraz będzie jego nowa odsłona. Życzę zespołowi jak najlepiej. Ma trudne zadanie przed sobą, ale oddałem ster w bardzo dobre ręce.

Wiele postaci, którym dał pan głos, jest pewnie nieutulonych w żalu. Gdyby nie pan, opinia publiczna nie poznałaby szczegółów z pożycia Kazimierza i Isabel, której wyznania drukował pan w odcinkach.

O tak, mam wielu miłośników, Kubuś Wojewódzki też ubolewa nad moim odejściem. Może dlatego, że kilka dni temu zakończył się mój proces z bardzo szczupłą kobietą biegającą na golasa nad morzem, kobietą uchodzącą za niepoznanych przeze mnie powodów za jego partnerkę. Twierdziła, że zdjęcia są fotomontażem, ale niestety biegli orzekli coś innego. Chciała bardzo dużo pieniędzy za to publiczne bieganie bez pantalonów, niestety, znów będzie musiała włączyć tryb diety. Pozdrawiam Kubę serdecznie i życzę wszystkiego grubszego. A wracając do pana Marcinkiewicza, to ja mu prywatnie współczuję. Jego love story było jakoś kabotyńsko tragiczne, bo wszyscy w Polsce wiedzieli, że to się nie uda, tylko on jeden nie wiedział. Szkoda faceta.

Po co panu ten PR? Mógł pan się zdecydować na doradztwo małżeńskie. Mamy falę rozwodów.

Przecież jeśli przyjdzie do mnie Kazimierz Marcinkiewicz, to mu doradzę ze szczerego serca.



NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 4
CZERWCA
2018

SZÓSTY ODCINEK SERII
Inwazja pogan

Najazdy Prusów i Litwinów – jak obroniliśmy się przed
zagładą. Sprowadzenie Krzyżaków i innych zakonów.

ZWYCIĘZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIĘZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH
„ZWYCIĘZCY”



Polska Grupa
Energetyczna

„Dom bez brwi”
zaprojektowany
przez Adolfa Loosa
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kawa dla nihilistów



Wiesław Chelminiak

Polacy obchodzą rocznice narodowych triumfów i tragedii, Austriacy znaleźli inny powód do dumy. Twierdzą, że w ich stolicy narodziła się nowoczesność

Wiedeń jako kolebka modernizmu? Znalazłoby się kilka poważnych kontrkandydatów do tego miana, lecz trzeba przyznać, że sto lat temu naddunajska metropolia faktycznie

mogła poszczycić się pokaźną, a do tego zróżnicowaną drużyną nowatorów. Czymże byłaby XX-wieczna psychoanaliza bez Freuda i Junga, filozofia bez Wittgensteina, muzyka bez Mahlera, Schönberga i Werbena, literatura bez Musila, Schnitzlera i Rotha, malarstwo bez Klimta, Schielego i Kokoschki, architektura bez Loosa i Olbrichta? Dodajmy, że wymienieni panowie nawzajem się inspirowali, a czasem nawet realizowali wspólne projekty. Wąskiej specjalizacji nie poczytywano wtedy za cnotę. Świętym Graalem twórców było Gesamtkunstwerk – całościowe dzieło sztuki.

Jednym z powodów rosnącego zainteresowania początkami modernizmu jest to, że tamta epoka ma wiele wspólnego

z obecną. Industrializacja postępowała wówczas w tempie przyprawiającym o zawrót głowy. Nigdy wcześniej świat nie zmieniał się tak szybko. Dwumilionowy Wiedeń był szóstym co do wielkości miastem planety i powszechnie sądzono, że jeszcze urośnie. Za fasadą staroświeckiej monarchii ścierały się nacjonalizm i kosmopolityzm, feudalizm i kapitalizm, tradycja z nowoczesnością i bieda z bogactwem. Symbolem świetności habsburskiej stolicy stała się pięciokilometrowa Ringstrasse, wytyczona w miejscu po rozebranych murach miejskich. Ozdabiały ją budowle świadczące o wielkim przywiązaniu Austriaków do przeszłości. Neogotycki ratusz, pseudorenesansowa

giełda, parlament wystylizowany na grecką świątynię i kamienice udające arystokratyczne pałace robiły piorunujące wrażenie na ludziach przybywających do Wiednia z nadzieją na zrobienie kariery.

TEATR WIDZIAŁ OGROMNY

Jednym z takich ambitnych prowincjuszy był 18-letni Adolf Hitler. Udzielił mu się rewolucyjny nastrój panujący w austriackiej metropolii, spędził w niej ponad pięć lat, lecz wyjechał upokorzony i bez grosza przy duszy. Z własnej winy. Miał listy polecające do Alfreda Rollera – głównego scenografa wiedeńskiej opery i wykładowcy w szkole rzemiosła artystycznego, ale pod drzwiami gabinetu VIP-a młodzieńca opuściła odwaga, nie ośmielił się zapukać.

Wcześniej Adolf oblał egzamin na Akademię Sztuk Pięknych. Obejrzawszy rysunki, na których budowle oddano z wyjątkową precyzją, profesor zasugerował ich autorowi, by zdawał na architekturę. Przyszły wódz III Rzeszy nie mógł jednak skorzystać z jego rady, gdyż od kandydatów na ten wydział wymagało świadectwa maturalnego. A on ledwo ukończył gimnazjum.

Kilkanaście miesięcy później, gdy Hitlerowi w oczy zajął głód, namówiony przez kolegę z noclegowni zaczął dla zarobku malować pocztówki i małe akwarele. Wciąż jednak marzył, że zostanie sławnym budowniczym. Jeszcze kiedy mieszkał w Linzu, wypełniał szkicownik projektami upiększenia tego miasta. Dworzec kolejowy planował przenieść na przedmieścia, na jego miejscu zasadzić park, zbudować nowy most na Dunaju, do tego wieżę widokową i wielki hotel na pobliskim wzgórzu, na które wjeżdżałaby kolejka zębata.

Adolf był typowym samoukiem. Godzinami śleczył nad fachową literaturą. Oszczędzał na ubraniach i jedzeniu, lecz nie żałował pieniędzy na papier, farby i atrament. W kwestiach estetycznych wyrocznią był dla niego Richard Wagner. Kompozytor nie cierpiał modernizmu. Twierdził, że nowoczesność to tylko przejściowa moda, prawdziwa sztuka jest wieczna i narodowa, zaś architektura, która stawia sobie za cel wyłącznie użytkowość, jest „niewymownie małoskowna i szpetna”. Dziwił się fascynacji młodych artystów egzotyką i ludami pierwotnymi. Wagnerowskie tyrady o zwyrodniałcach i żydowskich kosmopolitach niszczących europejską kulturę głęboko zapadły Adolfowi

w pamięć. Tak jak idol przykazał, uznawał tylko niemieckich mistrzów, nowatorstwo mając w głębokiej pogardzie.

POTWÓR Z MICHAELERPLATZ

Zachwycając się monumentalnym stylem Ringu, przywodzącym na myśl czasy świetności Rzeszy, Hitler nie zauważył, że nad Dunajem wieją już inne wiatry. Nowe technologie i materiały – szkło, żelbet, stal – dawały architektom możliwości, jakich nie mieli ich poprzednicy. Gospodarczy boom końca XIX w. pomnożył szeregi inwestorów niezwiązanych z Kościołem i dworem cesarskim. W kręgach artystycznych wzrastał się ferment, młodzi coraz śmielej domagali się twórczej swobody, wyzwolenia sztuk plastycznych z historycznego gorsetu.

Monarchia Habsburgów – konserwatywna do szpiku kości – rzecz jasna nie mogła patronować estetycznej rewolucji. Teza, że nowa epoka potrzebuje jak powietrza nową sztukę, znalazła jednak promotorów wśród ludzi pióra. „Chcemy spojrzeć życiu prosto w twarz – gorąco kochał się jeden z apostołów modernizmu, pisarz Hermann Bahr. – Ten, kto ma siłę nadać swoim formom konstrukcyjne rozwiązanie, jest naszym artystą. Ukrywanie ich za dziwną grą form wydaje nam się głupie i brzydkie. Dawniej domagano się, aby budynek był wzorowany na czymś. My chcemy, aby był czymś”.

Apele o naśladowanie natury i położenie kresu „bałowi przebierańców” mogły wydawać się rozsądne. Na końcu tej drogi było jednak (co nie wszyscy sobie uświadamiali) całkowite zerwanie z tradycją. Mariaż sztuki i techniki wydał dość paskudne potomstwo. Architekci szybko pokochali proste linie, geometryczne bryły, domy – pudełka z płaskimi dachami. Trudniej było nawrócić opinię publiczną. Pawilon Secesji, zaprojektowany przez Josefa Marię Olbrichta, dzisiaj jedna z ikon Wiednia, współcześni wyszydzała jako „nagrobek Mahdiego”. Budowla z 1898 r. oddaje estetyczne rozdarcie Jugendstil: kubistyczną kompozycję bryły wieńczy ażurowa kopuła z tysięcy połączonych liści laurowych. Nad drzwiami umieszczono hasło programowe Olbrichta i jego kolegów: „Czasowi jego sztuka – sztuce jej wolność”.

Austriacy nie byli radzi ze zmian, więc w rewaniu co bardziej temperamentni moderniści z rozmysłem prokurowali skandale. Dwa lata po tym, jak Hitler na stałe osiadł w Wiedniu, jego imiennik Adolf Loos postawił naprzeciwko Hofburgu dom

handlowy z gładką fasadą. Plotkowano, że cesarz kazał zaciągnąć zasłony w oknach pałacu, by nie oglądać tego szkaradztwa. „Dom bez brwi” nie był wypadkiem przy pracy. Architekt, który z młodzieńczej podróży po Ameryce wrócił jako zdeklarowany wróg eklektyzmu, szczycił się mianem „mordercy ornamentu”. Przekonywał, że to niepotrzebne marnotrawstwo materiałów, pieniędzy i siły roboczej, a brak ozdób jest oznaką siły duchowej. Zabudowa Ringu była jego zdaniem niemoralna, bo kłamliwa. Hitler miał w tej sprawie opinię taką samą jak większość wiedeńczyków: rysując Michaelerplatz, zignorował istnienie „potwornego domu”.

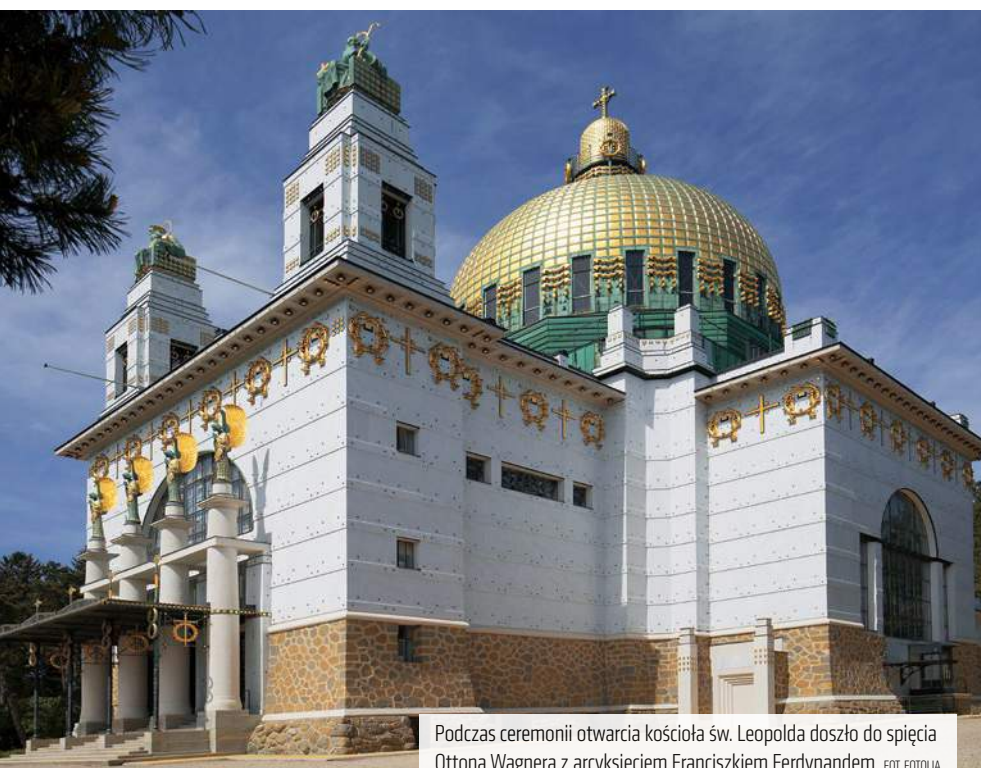
WAGNER, ALE INNY

Im bardziej Austria się demokratyzowała i unowocześniała, tym chętniej składała hołd przeszłości. W 60. rocznicę wstąpienia na tron Franciszka Józefa ulicami Wiednia maszerowało wielotysięczny pochod poddanych jubilat w historycznych kostiumach. Hitler był zachwycony tym spektaklem. Nostalgiczny styl wciąż dominował w sztuce i architekturze. „Cesarstwo budowane jest na wzór swych domów – mieszkać się w nich nie da, ale wygląda ładnie” – kpił publicysta Karl Kraus.

Jak to często bywa, grabarz starego ładu był jednocześnie jego wychowankiem. Otto Wagner, ojciec chrzestny modernistycznej rewolucji, dojrzał do buntu dopiero w wieku dojrzałym. Któż mógł się spodziewać, że wykładowca znanej z konserwatyzmu Akademii Sztuk Pięknych, projektant ociekających ozdobami fasad, namówiony przez własnych studentów zgłosi akces do Secesji? Może tylko jego żona, którą porzucił, by związać się z młodą piastunką swoich dzieci.

Berta Zuckerkandl, gospodyni najważniejszego z salonów artystycznych Wiednia, pisała o Wagnerze: „Prawdziwie austriacka figura: epikurejczyk, optymista, rewolucjonista, światowiec, dyplomata”. Mogłaby jeszcze dodać: antysemita, bo profesor cierpiał na tę przykrą przypadłość, choć dla przyjaciół takich jak Berta robił wyjątki. Nie oparł się też pokusie zaprojektowania synagogi w Budapeszcie.

W setną rocznicę śmierci „architekta Metropolis” Muzeum Historii Wiednia otworzyło wystawę, na której zebrano plany i modele jego najsłynniejszych budynków. Pomysłów Wagnerowi nigdy nie brakowało, lecz większość z nich



Podczas ceremonii otwarcia kościoła św. Leopolda doszło do spięcia Ottona Wagnera z arcyksięciem Franciszkiem Ferdynandem. FOT. FOTOLIA

pozostała na papierze. Po nawróceniu się na modernizm stracił wielu przyjaciół oraz intratnych, rządowych kontraktów. Przegrywał też konkursy, m.in. na zbudowanie siedziby Sejmu Krajowego we Lwowie. W stolicy Austrii pozostawił po sobie 80 budynków w stolicy, w tym siedzibę Pocztowej Kasy Oszczędności z żelbetowo-szklaną halą główną. Najbardziej kojarzony jest jednak z kolejką miejską. Zaprojektował 30 budynków stacyjnych, wiadukty, a nawet lokomotywy, gdyż nie ufał estetycznym kompetencjom inżynierów.

Miano proroka zawdzięczał książce „Nowoczesna architektura”, napisanej w 1896 r. Chwalił w niej paryską wieżę Eiffla i przekonywał, że forma powinna podążać za funkcją. Od Gottfrieda Sempera, jednego z budowniczych Ringu, wzięł dewizę: „*Artis sola domina necessitas*”, czyli „Sztuka zna tylko jednego pana: konieczność”. Wagner nie poprzestał na uznaniu funkcjonalizmu za styl przyszłości. Snuł wizję „nieskończonego miasta”, przewidując, że w przyszłości wielopiętrowe domy mieszkalne i drapacze chmur zdominują centra światowych metropolii, ujednolicić ich wygląd. Trzeba przyznać, że się nie mylił.

Terazniejszość stawiała modernistom znacznie większy opór. Lud, jak zawsze, nie nadążał za elitami. Wstrętność zachowywały również kręgi rządowe. Do anegdoty przeszło spięcie

Wagnera z arcyksięciem Franciszkiem Ferdynandem podczas ceremonii otwarcia kościoła św. Leopolda, będącego częścią kompleksu szpitala dla umysłowo chorych. Oślepiąco biała świątynia, uważana dziś za arcydzieło secesji, nie spodobała się następcy tronu. Zaatakował budowniczego stwierdzeniem, że „najpiękniejszy jest styl Marii Teresy”. Ten odparł impertynentko: „Za czasów Marii Teresy zdobiono lufy armat, a dzisiaj są one gładkie”. Franciszek Ferdynand demonstracyjnie wyszedł z kościoła przed końcem mszy. Architekt zaszkodził swojej karierze, lecz zapunktował u młodych artystów, dla których arcyksiążę był wrogiem numer jeden. Gdy zginął w Sarajewie, nie ukrywali radości. Wagner zapisał w dzienniku, że ta śmierć „jest szczęśliwym wydarzeniem dla sztuki nowoczesnej”. Gdyby FF założył cesarską koronę, państwowym stylem stałby się neobarok.

Najwięcej czasu i zdrowia Wagner poświęcił projektowaniu muzeum miejskiego. Lokalizacja była wyjątkowo prestiżowa: gmach miał sąsiadować z XVIII-wiecznym kościołem św. Karola Boromeusza, wzniesionym przez Fischera von Erlacha, największego architekta w dziejach monarchii. Kolejne, coraz bardziej awangardowe koncepty Wagnera bulwersowały publiczność, zarzucano mu pychę i oderwanie od rzeczywistości. Zanim rozstrzygnięto kon-

kurs, architekt pożegnał się z życiem. Cztery miesiące po nim umarła monarchia Habsburgów. Barak na Karlsplatz, w którym mieści się muzeum Wiednia, nie podoba się nikomu.

MASZYNA DO SIEDZENIA

Kuźnią kadr estetycznej rewolucji miała być Spółdzielnia Produkcyjna Rzemieślników Artystycznych założona w 1903 r. przez ucznia Wagnera, Josefa Hoffmanna, oraz Kolomana Mosera, który projektował witraże w kościele św. Leopolda. Moderniści, o czym często się zapomina, przykładali wielką wagę do wzornictwa. Projektowali nie tylko budynki, lecz także ich wnętrza: jadalnie, sypialnie, salony, sklepy, urzędy oraz meble – od biurków do bujanych foteli. Wyroby Wiener Werkstätte miały się odznaczać prostymi formami. Klienci domagali się jednak ozdób i trzeba było spuścić z tonu. Mozaiki, płytki ceramiczne, orientalne motywy, cytaty ze sztuki ludowej wydają się dziś bardziej charakterystyczne dla designu początku XX w. niż deklarowana powściągliwość. Utopijna okazała się też wiara, że wyroby Warsztatów Wiedeńskich trafią pod strzechy. Wręcz przeciwnie – nabywali je ludzie zamożni.

Moderniści nie mieli zresztą żadnych kontaktów z ludem. Obracali się w wąskim, inteligenckim kręgu, projektując przyjaciółom i znajomym wille oraz wyposażenie mieszkań. W Hofmobiliendepot, wiedeńskim muzeum mebli, na specjalnej wystawie zgromadzono designerski dorobek Wagnera, Loosa i Hoffmanna. Ekspozycja ociepla wizerunek modernistów, którym często zarzuca się doktrynerstwo i lekceważenie czynnika ludzkiego. Może panowie nie mieli dobrych pomysłów na fasady, lecz odgracili wnętrza i potrafili urządzić je ze smakiem – komentują zwiedzający.

O dziwo, krzesła i fotele Loosa sprawiają wrażenie najwygodniejszych. Ten jakobin miał naturę dandysa. Nie tolerował ozdób, lecz z upodobaniem stosował drogie materiały typu mahoń. Idea Gesamtkunstwerk była mu z gruntu obca. Twierdził, że projektant ma psi obowiązek uwzględniać gust, potrzeby i życzenia klienta. Najchętniej z całej trójki współpracował z rzemieślnikami, którzy fachu nie uczyli się na artystycznych uczelniach, lecz odziedziczili go po przodkach. Nic dziwnego, że jego „pokój dla dżentelmenów” służył właścicielom aż 90 lat, zanim zgodzili się sprzedać go państwu.

Zachowała się też część wyposażenia kawiarni Museum, w której spotykali się moderniści. Loos zaprojektował wnętrze w skrajnie ascetycznym stylu, przez co lokal nazywano żartobliwie Café Nihilismus. Warszawa do niedawna mogła się poszczycić kawiarnią w hotelu Bristol autorstwa Ottona Wagnera. Po ostatnim remoncie miłośnicy Jugendstilu nie mają już tam czego szukać.

Z innych eksponatów warto zwrócić uwagę na groźnie wyglądający fotel, który Hoffmann nazwał maszyną do siedzenia. Obok stoi łóżko na sprężynach, które architekt zaprojektował dla Ernsta Stöhra, jednego z ojców założycieli wiedeńskiej Secesji. Malarz, cierpiący na depresję, powiesił się w 1917 r.

ADOLF BUDOWNICZY

Jugendstil okazał się efemerydą, pomostem między światem odchodzącym a tym, który dopiero miał nadejść. Jeszcze przed wybuchem I wojny światowej modernizm wszedł w kolejną, bardziej radykalną fazę. Estetyczny spór miał wyraźny kontekst polityczny. Sojusznikami nowatorskich artystów i architektów byli socjaldemokraci, konserwatyści identyfikowali się z history-

zmem. Dopóki trwała monarchia, dopóty wychowankowie Wagnera nie dostawali prestiżowych zleceń. Mogli dawać upust swej inwencji co najwyżej na peryferiach Wiednia i odległej prowincji (Lublana, Brno, Opawa, Czerniowce).

Z wojennego kataklizmu Austria wyszła zbiedniała i okrojona do miniaturowych rozmiarów. Ziarno nowoczesności, zasiane nad Dunajem, wydało plon gdzie indziej. Hitler, przenosząc się do Monachium zwanego „germańskimi Atenami”, marzył, że zacznie tam pracować jako kreślarz. Zamiast tego został kanclerzem. Budownictwo pozostało jednak jego pasją. W 1940 r. zaszokował przewodnika znajomością konstrukcji paryskiej Opery Garniera. Tytułowany wielkim architektem Rzeszy zamierzał zapełnić Berlin i inne niemieckie miasta przytłaczającymi gmachami, które podobnie jak narodowy socjalizm przetrwają tysiąc lat.

Wiedeń, który nie poznał się na geniuszu Führera, miał zostać zdegradowany na rzecz Linzu. Dla nowej austriackiej metropolii Hitler osobiście zaprojektował ratusz, stadion, teatr, bibliotekę i galerię malarstwa – największą na świecie. Nie-

wyłączone, że posiłkował się szkicami, które sporządził jako nastolatek. W nazistowskiej estetyce przeskalowanego klasycyzmu odnalazło się zaskakująco wielu modernistów, wśród nich Josef Hoffmann. Upadek III Rzeszy usunął jedną z ostatnich przeszkód dla ekspansji stylu międzynarodowego, kontynuującego rewolucję, zapoczątkowaną nad Dunajem.

Gdyby w 1908 r. Adolf zapukał jednak do drzwi Rollera, historia być może potoczyłaby się innym torem. Młody człowiek zaspokoili by ambicje, budując scenografie do spektakli ukochanego Richarda Wagnera. W bibliotece mógłby spotkać Józefa Stalina, który w styczniu 1913 r. przyjechał do Wiednia, by pisać rozprawę „Marksizm a kwestia narodu”. I nigdy nie stałby się lokatorem nowoczesnego przytułku dla bezdomnych i bezrobotnych w Meidlingu, słynącego z darmowych posiłków, gorących pryszniców, czystych, widnych i przestronnych pokoi oraz oszczędnej, lecz funkcjonalnej architektury.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawy „Otto Wagner” i „Wagner, Hoffmann, Loos und das Möbeldesign der Wiener Moderne” można oglądać do 7 października.

REKLAMA

MUSIC POWER EXPLOSION

13 lipca 2018 Stadion Wrocław

ALPHABETICAL LIST OF DJ HEADLINERS

AFROJACK **DON DIABLO** **STEVE AOKI** **TIËSTO** **ZEDD**

ANNA AGENCY DJTAX DEKSTAR SEMINAL MUSIC M3

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, EBILET.PL



FOT. MAREK KAREWICZ/EAST NEWS

Z Karoliną Bittner, autorką książki „Partia z piosenką, piosenka z partią. PZPR wobec muzyki rozrywkowej” rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Dźwięki kontrolowane

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego władza ludowa ingerowała w piosenkę?

KAROLINA BITTNER: W państwie totalitarnym, jakim był PRL, władza nadzorowała każdą dziedzinę życia społecznego. Nie inaczej było z kulturą. Począwszy od naraady kompozytorów w Łagowie w 1949 r., kiedy ustanowiono socrealizm jako nurt obowiązujący w muzyce. Władze ingerowały nie tylko w teksty utworów, lecz także zakazywały popularyzowania pewnych gatunków, które w ich ocenie były zbyt kosmopolityczne lub amerykańskie. PZPR dążyła, by Polacy słuchali pieśni masowych zamiast swingu, disco zamiast rocka, Mazowsza zamiast muzyki ludowej. Piosenka miała być kolejnym narzędziem propagandy komunistycznej.

Czemu miały służyć często organizowane przez jej agendy konkursy na piosenki okolicznościowe?

Wykorzystywano muzykę rozrywkową do legitymizacji władzy. Najpełniej widać to na przykładzie muzyki ludowej sprowadzonej do zespołów Mazowsze

i Śląsk. Zjazdom PZPR towarzyszyły koncerty i specjalnie z tej okazji wydane płyty. Z okazji II zjazdu partii Komisja Zamówień Kompozytorskich zamówiła 29 pieśni propagandowych, a na V zjazd PZPR wydano płytę „Pieśni walki i pokoju”. Począwszy od lat 40. organizowano konkursy na piosenkę afirmującą system komunistyczny. W marcu 1948 r. Polskie Radio i MKiS ogłosiły pierwszy konkurs na pieśń masową, na który wpłynęło 408 utworów. Podobny konkurs ogłoszony dwa lata później przyniósł aż 1390 kompozycji. Z kolei w 1952 r. Departament Polityki Kulturalnej Wydział Twórczości Muzycznej i Kontroli Repertuaru MKiS ogłosił konkursy na piosenkę na temat 10-lecia powstania PPR oraz Konstytucji PRL. Działania tego typu miały tworzyć iluzję poparcia społecznego dla PZPR.

Najbardziej niemiłe słyszany przez komunistycznych decydentów był jazz?

W pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej rozbrzmiewał

powszechnie w odbudowywanych kawiarniach, dopiero po 1948 r. stał się gatunkiem nieakceptowanym przez rządzących. Propaganda określała go jako narzędzie imperialistów. Jazz, którego podstawą jest improwizacja, dawał wolność artystyczną muzykom. Inspirował miłośników tego gatunku do swobodnej dyskusji. Granie go i słuchanie zostało zakazane, zlikwidowano warszawski oddział YMCA, zniszczono płyty znajdujące się w klubie muzycznym Melomani w Łodzi. Rozpoczął się okres katakumbowy jazzu, trwający do połowy lat 50.

Nie byli też entuzjastami „mocnego uderzenia”, jak swojsko definiowano w latach 60. muzykę młodzieżową...

Nieakceptowany przez władze rock'n'roll musiał ukrywać się pod pseudonimem big-beat wyłansowanym przez Franciszka Walickiego. Big-beat, inaczej mocne uderzenie, podobnie jak jazz był utożsamiany przez partię z amerykańskim imperializmem. Bigbeatowe szaleń-

stwo nad Wisłą rozpoczęło się w 1959 r. od grupy Rhythm and Blues. Jej występy uprawiały publiczność w stan euforii, na fali której nieraz dochodziło do ekscesów, z demolowaniem sal koncertowych włącznie. Władze zareagowały restrykcjami administracyjnymi, wprowadzając zakaz występów w salach liczących powyżej 400 miejsc. Ostatni koncert grupa dała w październiku 1959 r., a zamiast nich Walicki powołał nową formację – Czerwono-Czarni. Wkrótce powstał Niebiesko-Czarni, którzy rzucili hasło: „Polska młodzież śpiewa polskie piosenki”, czego efektem była bigbeato-wa interpretacja melodii, takich jak „Kawaliry” czy „Głęboka studzienka”. Była to odpowiedź na krytyczne uwagi partii pod adresem zespołów mocnego uderzenia, że śpiewają łamanym angielskim.

Szczególne baczenie miano na twórczość „cygańską”.

Władze PRL wykorzystywały zespoły cygańskie, by zachęcić Romów do osiedlenia w trybie życia. Cygański Zespół Pieśni, Muzyki i Tańca „Roma” miał docierać do skupisk ludności cygańskiej i swoim programem zachęcać ich do porzucenia koczowniczego trybu życia. Muzyka cygańska była więc akceptowana przez PZPR jako narzędzie akcji osiedleńczej. Władze PRL widziały w muzyce cygańskiej funkcje polityczne, propagandowe, mówiły o produktywizacji zespołów cygańskich, a nie propagowaniu kultury cygańskiej. Gdy na przełomie lat 60. i 70. ogromną popularność zyskały piosenki stylizowane na cygańskie, lecz wyrażające tęsknotę za wędrownym życiem, władze nakazały wyeliminowanie ich z eteru. „Dziś prawdziwych cyganów już nie ma”, „Cyganicha”, „Cygańska jesień” w ocenie władz gloryfikowały pasożytniczy tryb życia, włóczęgostwo i wróżbiarstwo. W opinii MSW szczególnie destrukcyjny wpływ na ludność romską wywierał szlagier „Jadą wozy kolorowe”.

Permanentny niedobór płyt, a potem i kaset, z aktualnymi hitami wynikał z niewydolności upaństwowionej fonografii i zapalania na ogół czerwonego światła dla „prywatnej inicjatywy fonograficznej”?

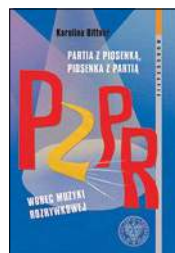
Zły stan fonografii to zmore przemysłu muzycznego w PRL. Polskie Nagrania produkowały ćwierć płyty na jednego mieszkańca rocznie! Wobec tego niedobór nośników wykorzystywali najpierw producenci pocztówek dźwiękowych, a w latach

80. firmy polonijne, w których wydawano albumy najpopularniejszych wykonawców.

Wprowadzono wówczas różne wysokości podatków dochodowego i obrotowego od firm polonijnych i Polskich Nagrań. Wysokość podatku obrotowego na płyty i kasety była zmienna w zależności od repertuaru i rodzaju wyrobu. I tak dla Polskich Nagrań w przypadku muzyki rozrywkowej wynosił on 10 proc. od singla, 15 proc. od longplaya, 65 proc. od kasyety magnetofonowej; bez podatku sprzedawano płyty i kasety z repertuarem dla dzieci. Albumy z muzyką poważną obowiązywały te same podatki co wydawnictwa z muzyką rozrywkową. Dla firm polonijnych stawki podatku wynosiły: 30 proc. obrotowego i 80 proc. dochodowego. W 1986 r. dyrektor jednej z prywatnych wytwórni płytowych przyznał, że wydając płytę w cenie 600 zł, zarabiał na niej ok. 20 zł, bo resztę pochłaniał m.in. fiskus.

Do relegowania Władysława Szpilmana z funkcji dyrektora muzycznego Polskiego Radia przyczynił się donos jego kolegów po fachu?

5 marca 1963 r. grupa twórców złożyła do Wydziału Kultury KC memoriał w sprawie sytuacji polskiej piosenki, w którym winą za rugowanie polskich utworów z rynku przez piosenki zagraniczne obarczono Polskie Radio. Według 18 autorów memoriału (kompozytorzy Skalska, Abratowski, Damrosz, Karasiński, Machan, Piętowski, Prejzner, Sart, Sielicki, Wiehler, Wiernik, Żyliński, tekściarze: Ficowski, Korczakowski, Kord, Miller, Odrowąż, Tylczyński) kryzys w naszej piosence był wynikiem niewłaściwej polityki repertuarowej, a personalnie Władysława Szpilmana. Zarzucono mu wielokrotne nagrywanie własnych kompozycji. Odpowiedział na zarzuty środowiska, stwierdzając, że podczas jego kadencji żadna z orkiestr nie wykonywała zagranicznych utworów, wprowadzono wiele audycji promujących polską piosenkę, m.in. „Plebiscyt Piosenka Miesiąca”, wskutek konkursów na piosenkarzy i studiu piosenkar-skemu wzrosła liczba wykonawców – w 1950 r. z orkiestrą radiową współpracowało stale czworo: Marta Mirska, Maria Koterbska, Janusz Gniatkowski



KAROLINA BITTNER
„PARTIA Z PIOSENKA, PIOSENKA Z PARTIĄ. PZPR WOBEC MUZYKI ROZRYWKOWEJ”
 IPN 2017

i Mieczysław Fogg. W 1963 r. w gronie tym byli m.in. Sława Przybylska, Irena Santor, Rena Rolska, Kalina Jędrusik, Jerzy Połomski, Barbara Rylska, Mieczysław Wojnicki, Jerzy Miłchotek, Helena Majdaniec, Katarzyna Boveri, Natasza Zylska, Jadwiga Prolńska.

Sielicki i Wiernik, którzy podpisali kolejny memoriał w sprawie polskiej piosenki (adresowany także do MKiS oraz Radiokomitetu), spotkali się z Temidą.

Szpilman skierował sprawę do Sądu Koleżeńskiego Związku Kompozytorów Polskich.

Podczas postępowania 8 stycznia 1964 r. wydano werdykt głoszący, że obciążanie Szpilmana odpowiedzialnością za całość kształtu polityki repertuarowej Polskiego Radia jest „niesłuszne, złośliwe, wyjątkowo krzywdzące i niekoleżeńskie”.

Eksplozja rocka w stanie wojennym przyczyniła się do erozji komuny czy też była kontrolowanym przez nią wentylem bezpieczeństwa?

W raporcie Wydziału Kultury KC o stanie estrady z 1986 r. stwierdzono: „Spora liczba wykonawców-weteranów wyemigrowała, część nadal zastanawia się, czy warto występować, innych znowu nie chce radio i telewizja i w tej sytuacji – pod nieobecność kabaretu (przyczyna znana, choć niezrozumiała!) – wtargnęła na estradę nieokiełznany rock, który od pięciu z górą już lat wypłukuje z naszych mózgów resztę apetytów na inne gatunki sztuki estradowej. Zresztą nie nastąpiło to przypadkiem. To telewizja, mając za zadanie zmoderowanie młodzieży, użyła właśnie tego środka, nie dbając o skutki. Że z politycznej konieczności? To jasne”. Potwierdza to, że rockowy boom lat 80. nie był przypadkowy. Jednak w mojej ocenie muzyka rockowa miała znikomy wpływ na upadek systemu komunistycznego w Polsce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Karolina Bittner – historyk, bada kulturę masową w PRL, pracuje w poznańskim oddziale Instytutu Pamięci Narodowej. Autorka książki: „Piosenka w służbie propagandy. Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu 1968–1989”.



Piotr Gociek

Czy oscarowa animacja „Coco” to idealny prezent dla dziecka? Czemu nie? Jednak z pewnymi zastrzeżeniami

Animowany „Coco” nie miał w Polsce łatwo, bo zamiast rzetelnie oceniać przebój Pixara i Disneya, wielu pośpieszyło, by go piętnować jako przeszkodę na drodze do największych nagród polsko-brytyjskiego filmu „Twój Vincent”. I tak przyznawanie najpierw Złotych Globów, później brytyjskich nagród BAFTA, a potem Oscarów zamieniło się w pojedynek „zła komercja kontra prawdziwa sztuka”, w którym „Coco” został czarnym charakterem. A „ten dobry”, czyli „Twój Vincent”, był w owej opowieści nieustannie krzywdzony, bo zostawał jedynie z nominacjami, podczas gdy statuetki trafiały do twórców „Coco”.

– Przez całą galę mieliśmy nadzieję, że się uda, a naszym dziełem rozwalimy system – mówiła Dorota Kobiela, współreżyser (obok Hugh Welchmana) „Twojego Vincenta”. – Niestety nie udało się. Może Hollywood nie jest jeszcze gotowe na to, żeby zmienić sposób patrzenia na film – po czym dodała jeszcze: – Na gali było sporo akcentów politycznych. Byliśmy ofiarą polityki i okoliczności, w których Oscary były wręczane.

Ten ostatni zarzut akurat jest absurdalny, bo wyróżnienie filmu reżyserowanego przez kobietę, kosztem dzieła dwóch panów, idealnie wpisująłoby się w nową politykę amerykańskiej Akademii Filmowej, która postawiła przed sobą nowy cel: afirmację kobiet oraz rozmaitych mniejszości rasowych. Z kolei przypisywanie twórcom „Coco”, że wyszykowali swoje dzieło pod obecny gust Akademii („za Meksykiem, przeciw Trumpowi”) też jest bez sensu, bo prace nad filmem zaczęły się sześć lat temu, kiedy prezydent Trump i jego mur na granicy z Meksykiem nikomu się jeszcze nie śnili.

Pojawiły się też i inne zarzuty: że winien jest amerykański szowinizm („Jest to kategoria stricte amerykańska. Animacja to jest Walt Disney, to jest tradycja kina amerykańskiego, którą



oni niechętnie się podziela” – przekonywał w Radiu RMF FM krytyk tygodnika „Polityka” Janusz Wróblewski, ale prawda jest inna. „Coco” to po prostu film bardziej kompletny od „Vincenta”, bo ten ostatni broni się, owszem, jako nietuzinkowe osiągnięcie artystycznej animacji, ale kiedy minie zachwyt nad obrazami olejnymi ożywionymi benedyktyńską pracą, okazuje się po prostu nużący.

Oscara, Złoty Glob i nagrodę BAFTA dostała więc amerykańska animacja i tyle, żadnych podtekstów nie ma się co doszukiwać. Czy zasłużenie? Jest okazja sprawdzić, bo film właśnie trafił w Polsce na płyty DVD i blu-ray. Poznajcie zatem Miguela i jego bardzo liczną i długowieczną rodzinę. To barwna, pracowita i sympatyczna gromadka, w której wszyscy kochają Miguela i życzą mu jak najlepiej (łącznie z jego prababcią Coco, która już niewiele widzi, słyszy i pamięta). Rodzina Riverów ma tylko jeden feler – nie cierpi muzyki i muzykantów. Wszystko za sprawą skandalu sprzed kilku pokoleń. Wtedy to praprababcia

Imelda (mama Coco) została porzucona przez męża, utalentowanego gitarzystę i pieśniarza, który wolał szukać po szerokim świecie sławy. Muzyk zniknął, żal pozostał, a cierpieć musi mały Miguel, który woli gitarę od szewskiego kopyta.

DROGA W ZAŚWIATY

Wszystko jednak dzieje się w meksykańskie święto Dia de Muertos, kiedy rozmaite rzeczy wydarzyć się mogą. Przede wszystkim zmarli mogą odwiedzać swoje ziemskie rodziny, o ile tylko ktoś pamiętał, by na świątecznym ołtarzyku ustawić ich zdjęcia. I pewnym zrządzeniem losu (oraz dzięki ambicji Miguela i jego niezbyt mądrym pomysłom) okaże się, że chłopiec zamiast spędzić święto w domu, powędruje w zaświaty, bo skoro droga jest otwarta w jedną stronę, to czemu i nie w drugą?

Rodzina to w filmie „Coco” rzecz najważniejsza i bez niej Miguel w zaświatach byłby całkowicie zgubiony. Normalna, wielopokoleniowa rodzina, która wspiera się nawzajem, żyje w jednym



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

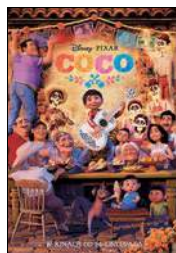
nych warstw opakowania, ujrzymy starą prawdę sprzedawaną przez Pixara i Disneya w kolejnych produkcjach: podążaj za głosem serca, szukaj samorealizacji, a innym nic do tego. Jeśli jesteś wierny sobie, na pewno postępujesz słusznie i osiągniesz sukces. Brzmi ładnie, ale życie jest nieco bardziej skomplikowane. Dzieci mogą tego jeszcze nie wiedzieć – rodzice powinni.

JAK PRZYWOŁAĆ ZMARŁEGO WUJKA

Trzecia sprawa – czego właściwie o życiu po śmierci uczy nas „Coco”? Meksykański Dzień Zmarłych, reklamowany niekiedy jako lokalna odmiana dnia Wszystkich Świętych, z tradycją chrześcijańską ma niewiele wspólnego, wywodzi się z tradycji pogańskiej, którą potem próbowali inkorporować katolicy-misjonarze. Sprzeczność jest jednak oczywista: wizja zaświatów, w których źli i dobrzy żyją ze sobą pospół, obawiając się jedynie tego, że znikną, gdy zostaną ostatecznie zapomniani przez żywych (to nazwano prawdziwą śmiercią), nie ma nic wspólnego z wizją, w której nasz pośmiertny los zależy od uczynków za życia.

Oczywiście „Coco” to tylko pełna fantazji bajka, nie katechizm w wersji kinowej. Ale bajki to sprawa poważna, zwłaszcza w czasach, gdy najwięcej opowiada ich Hollywood, kreując swoje mitologie i własne systemy przekonań, lepione z elementów skradzionych z rozmaitych kultur. Ciekawa rzecz, że kwestię

tak oczywistą jak wielopokoleniowa szczęśliwa rodzina musiał pożyczyć od meksykańskich imigrantów – to zresztą temat na inne, szersze rozważania. Wracając do przesłania: bawcie się dobrze, ale rodzice powinni być przygotowani na moment, w którym małe dziecko zapyta, co trzeba zrobić, żeby z zaświatów przywołać zmarłego wujka na rodzinną wizytę. I dlaczego to, co widział na ekranie, trochę mało pasuje do tego, co słyszał na lekcjach religii. A co do przekazów prawie podprogowych – proszę zwrócić uwagę, że babcia głównego bohatera kreśląca znak krzyża pokazana jest tylko w jednej sytuacji: gdy rozbija gitarę Miguela.



★ ★ ★ ★ ★

REŻ. LEE UNKRICH, ADRIAN MOLINA
„COCO”
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Anthony Gonzalez,
 Gael García Bernal,
 Benjamin Bratt

domu, pamięta o przodkach i dba o tradycję (ci, którzy trafili do krainy umarłych, nie zachowują się gorzej). Cóż za ulga, szkoda tylko, że żeby ujrzyć takie zwyczajne cuda, trzeba w dzisiejszych czasach mocno się nabiedzić, bo to, co normalne, zdaje się już nikogo w kinie nie interesować. Oczywiście nie znaczy to, że wszystko w rodzinie musi być usłane różami. Dzieci przecież uważają, że wiedzą wszystko najlepiej (nie inaczej jest z Miguelem), podobnie jak rodzice (sam jestem rodzicem, to wiem). Kiedy się to trochę zmienia? Gdy dziecko dostrzeże, że zakazy rodziców to nie wyraz ich wrogości, lecz troski, i gdy rodzic godzi się wreszcie z tym, że dziecko ma prawo wybrać drogę, którą samo wyśniło, a nie któryś ze snów swoich rodziców.

„Coco” uszyta jest więc w warstwie emocjonalnej z wielu obserwacji bardzo prawdziwych, co znaczy, że jest też filmem prawdziwie wzruszającym – szczególnie pod koniec. Żeby nie wyszedł z tego zwykły wyciskacz łez, dostaliśmy na ekranie wielką dawkę kolorowych i nieco

makabrycznych przygód w krainie umarłych. A wygląda ona trochę, jakby wyjęto ją z wyobraźni kogoś pokroju Terry'ego Gilliana. Wigoru bohaterom dodaje muzyka, w tym oscarowa (i wykonywana w filmie na kilka sposobów) piosenka „Remember Me”. Czyżby była to rodzinna rozrywka idealna?

Żeby plusy nie przesłoniły nam minusów, spójrzmy trzeźwo na kilka innych rzeczy. Film w warstwie wizualnej wydaje się odkrywczy, kto jednak widział film „Księga życia” Jorge R. Gutiérreza z roku 2014, odkryje sporo podobieństw. Pojawili się nawet zarzuty o plagiat – niesłuszne, warto za to podkreślić, że gdy porówna się te dwa filmy, to „Księga życia” okaże się w wielu miejscach bardziej oryginalna i zabawna, bo mniej po disneyowsku uładzona. Kwestia druga – kiedy już oberzemy „Coco” z kolej-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Miłość w czasach zarazy



★★★★★
REŻ. PAWEŁ
PAWLIKOWSKI
„ZIMNA WOJNA”
POLSKA 2018

wyst. Tomasz Kot,
Joanna Kulig, Borys
Szybc

Mało kto chciał oglądać „Idę” w kinie. Gdy dostała Oscara, okazało się, że widzieli ją wszyscy. Zaczęła się więc narodowa debata. Krytyków i apologetów Pawlikowskiego łączyło przekonanie, że nakręcił on film dokumentalny o relacjach polsko-żydowskich podczas wojny i w czasach PRL. Dopiero gdy reżimowa telewizja pokazała „Idę” w dobrym czasie antenowym, nieporozumienie wyszło na jaw i dyskusja szybko ucichła.

„Zimna wojna” raczej takich namietności nie wzbudzi. Po pierwsze, to melodramat, po drugie Pawlikowski, w odróżnieniu chociażby od Szumowskiej, nie ma natury prowokatora. To skończony esteta i fan starego kina, znajdujący perwersyjną przyjemność w komponowaniu biało-czarnych

kadrów w archaicznym formacie 4:3. Światło, cień i dźwięk zajmują go o wiele bardziej niż fabuła. Takie przynajmniej wrażenie miałem, kontemplując nowe dzieło laureata z Cannes.

Jako człowiek przewrotny podrzucić jednak kilka tropów szukającym okazji do zwady. „Pan Polski nie kocha, pan ją oczernił” – dowiaduje się emigrant od urzędnika. Towarzysze, rzuconemu przez partię do ministerstwa kultury, podoba się śpiew Łemków, ale żałuje „że to nie nasi”. Jedna z tancerek będzie musiała przebarwić włosy na blond, gdyż wygląda za mało słowiańsko. Czy takimi scenami autor nie wpisuje się aby w zgoła współczesne spory?

„Zimna wojna” to po trosze film autobiograficzny. Pawlikowski dał kochankom imiona własnych rodzi-

ców. Wiktor żyje muzyką i z muzyki, Zula udaje dziewczynę ze wsi, żeby wkręcić się do stworzonego przez niego zespołu pieśni i tańca.

Moda na takie projekty przyszła ze wschodu. Nie był to objaw inteligenckiej chłopomanii, lecz realizacja zamówienia władzy, mieniającej się ludową. Skoszarowani w pałacu odebranych obszarom i ociosani przez zawodowców z miasta chłopcy i dziewczęta realizują „ukrytą potrzebę” śpiewania pod banerem „Partia, naród, ojczyzna” o pokoju, reformie rolnej i Stalinie. W repertuarze oprócz góralszczyzny i przyśpiewek typu „Dwa serduska, cztery oczy” mają „Międzynarodówkę”.

Pawlikowski obnaża ten fałsz, lecz go nie potępia. Dobra muzyka zawsze się obroni, być może „Zimna wojna” przyczyni się do renesansu twórczości Tadeusza Sygietyńskiego. Zwłaszcza że jest ona wdzięcznym temem dla miłości szalonej, nieznającej granic ni kordonów. Zakochani mogą się nie widzieć latami, lecz to tylko ich zbliża. Kiedy są razem, nie potrafią być szczęśliwi – ani w PRL, ani na zgniłym Zachodzie. Kot lepiej się odnalazł w tej konwencji niż Joanna Kulig. Borysowi Szycowi scenarzyści nie pozwolili rozwinąć skrzydeł. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „JURASSIC WORLD: UPADŁE KRÓLESTWO”

Ciąg dalszy kasowego hitu z 2015 r., który z kolei odświeżał serię Spielberga na podstawie powieści Michaela Crichtona. Reżyserię powierzono J.A. Bayonowi, twórcy filmów „Sierociniec”, „Niemożliwe” i „Siedem minut po północy”. Cztery lata po zamknięciu parku na Isla Nublar uaktywnia się wulkan uznawany za wygasły wulkan.

Podczas misji ratunkowej bohaterowie odkrywają, że zagrożenie leży zupełnie gdzie indziej, a stawką w grze jest bezpieczeństwo całego świata. ©© **Piotr Gociek**

• „Jurassic World: Upadłe królestwo”, reż. J.A. Bayona, wyst. Bryce Dallas Howard, Chris Pratt, Ted Levine, Jeff Goldblum, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Przebudzenie dusz”, reż. Jeremy Dyson, Wielka Brytania 2017
- „Thelma”, reż. Joachim Trier, Dania/Szwecja 2017
- „Momo”, reż. Vincent Loblle, Francja 2017
- „Jeannette. Dzieciństwo Joanny d'Arc”, reż. Bruno Dumont, Francja 2017

Szkielet z szafy

Styl vintage, kojarzący się dotąd głównie z ciuchami i wystrojem wnętrz, coraz śmielej objawia się w popkulturze. Ma to swój urok i niezaprzeczalne zalety. Lepiej wrócić do starych, sprawdzonych pomysłów niż tkwić w ślepym zaułku. Kino grozy nie miało ostatnio dobrej passy. Jednak jak tu ekscytować się produkcjami, które zamiast szarpać nerwy widzów, nudzą, śmieszą lub prowokują odruch wymiotny?

„Przebudzenie dusz” to film, który mógłby zostać nakręcony jakieś 40 lat temu, zanim na ekranach, pod wrażeniem sukcesu „Gwiezdnych wojen”, zapanowała moda na sztubactwo. Polski tytuł wprowadza w błąd, nie chodzi tu o dusze, lecz o duchy.

Profesor Goodman, telewizyjny pogromca szarlatanów, na prośbę swego mentora, który w dziwnym stylu wycofał się z branży, bada trzy przypadki, wskazujące, „że istnieje coś więcej niż tu i teraz”.

Historie zaplącanego nocnego stróża, rozwydrzonego nastolatka i cynicznego finansisty, przedstawione w konwencji „Opowieści z krypty”, mają wspólny mianownik w postaci problemów rodzinnych. Są one również udziałem racjonalisty Goodmana. Wnioski? Każdy ukrywa jakiś szkielet w szafie, pielęgnuje traumy z dzieciństwa, umysł zaś w krytycznych momentach „widzi tylko to, co chce zobaczyć”. Dla mnie bomba, a kto nie wierzy, ten trąba. © ©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. JEREMY DYSON, ANDY NYMAN
„PRZEBUDZENIE DUSZ”
WIELKA BRYTANIA 2017

wyst. Andy Nyman, Martin Freeman, Paul Whitehouse



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CIERPIENIA HERCULESA POIROT

Antypatyczny pan Ratchett pada trupem w jednym z wagonów Orient Ekspresu. Kto zabił? Kandydatów wielu, w dodatku każdy z jakiegoś powodu mija się z prawdą, opowiadając o feralnej nocy. Inscenizacja jest znakomita, film uroczy, choć nie zaskoczy czytelników książkowego oryginału. Piąta ekranizacja powieści Agathy Christie obfituje w gwiazdy, z których większość ma okazję zabłysnąć. Michelle Pfeiffer, Johnny Depp, Derek Jacobi, no i Kenneth Branagh, który nie tylko reżyseruje całość, lecz także gra Hercule’a Poirot. W jego interpretacji słynny detektyw nadal jest pedantem, królem logiki i mistrzem obserwacji, ale brakuje mu znanej z książek pyszałkowatości. To Poirot skonfundowany i cierpiący – zwłaszcza pod koniec, kiedy musi zmierzyć się z prawdziwą naturą rozwiązywanej zagadki. W książce zakończenie powieści jest nie tylko przewrotne, lecz także podane w sposób delikatny i ironiczny. Wersja Branagha jest mroczniejsza, co nie odbiera jednak przyjemności widowni. © ©



★★★★★

REŻ. KENNETH BRANAGH
„MORDERSTWO W ORIENT EKSPRESIE”
USA 2017, IMPERIAL CINEPIX

wyst. Kenneth Branagh, Johnny Depp, Penélope Cruz, Willem Dafoe

KRWAWIE NIEPOROZUMIENIE

Kiepskie kryminały, w których na osłodę obsadzono poważanego aktora, to już osobny podgatunek w Hollywood. Narzekałem rok temu na „Ukojenie”, którego nie uratował Anthony Hopkins, dziś dwa słowa o „M jak morderca”, którego nie ratuje Al Pacino. Nie ma zresztą czego ratować, bo scenariusz jest głuputki i drewniany, z grubsza chodzi o seryjnego zabójcę próbującego w krwawą grę wciągnąć tropiących go policjantów. Nic się tu nie trzyma kupy: bandzior wspina się na wyżyny okrucieństwa, ale złapać go próbuje jedynie duet: drewniak plus emeryt. Dialogi pisane są na kolanie, napięcia tyle co kot napłakał, tempa brak, motywacja zabójcy wątpliwa. Twórcą tego dziełka ma w dorobku kaskaderskie występy w ponad 150 produkcjach i reżyserię kilku filmów, z których żaden nie jest godzien zapamiętania. Omijajcie „M jak mordercę”, bo po pierwsze, szkoda czasu, po drugie, ocalicie w ten sposób resztki szacunku dla Ala Pacino. © © **recenzuje Piotr Gociek**



★★★★★

REŻ. JOHNNY MARTIN
„M JAK MORDERCA”
USA 2017, MONOLITH

wyst. Al Pacino, Karl Urban, Brittaney Snow

GRA TYGODNIA: „SPACE HULK: DEATHWING ENHANCED EDITION”

Uniwersum Warhammera, szczególnie osadzonego w przyszłości, nie ma szczęścia do gier. Od wielu lat wychodzą masowo, produkowane przez mało znane studia, z nierzadkimi perłami w postaci strategicznej serii „Total War” czy „Dawn of War”. Niestety, „Space Hulk: Deathwing”

zalicza się do tej pierwszej kategorii. Co prawda, klasyczna strzelanka, w której jako jeden z członków elitarnego oddziału przedzieramy się przez przastare wraki statków, ma swój urok, ale ten po kilku godzinach blaknie. Gra zrobiona jest po kosztach, fabuła po łebkach, a realizm nie powala.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



★★★★★

A szkoda, bo widać w tym wszystkim potencjał. © © **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Akcja/FPS
- **Platforma:** PC/PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Streum/CDP
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

W polskim ogrodzie

Książka Marioli Kruszevskiej na pierwszy rzut oka robi wrażenie zbioru opowiadań, składa się na nią bowiem 13 tekstów zatytułowanych a to „Jabłoń”, „Porzeczek”, a to znów „Kartofle”, „Ozimina”, „Słoneczniki” czy „Jaśmin”. W toku lektury uświadamiamy sobie jednak, że mamy do czynienia z jedną spójną opowieścią, w której poszczególne wątki zazębiają się, postacie wchodzi w relacje między sobą, niekiedy tylko przenosimy się wraz z bohaterami książki w inne miejsce, cofamy się też w czasie lub wybiegamy naprzód. Punktem wyjścia są jednak tzw. Ziemia Odzyskane, na które ściągają przesiedleńcy czy raczej wygnańcy, którzy zostawili za sobą to, co kochali, co – wydawało się – było ich ojczyzną, wszystko jedno, czy małą, czy dużą, i teraz usiłują odnaleźć się w cudzym świecie opuszczonym przez dotychczasowych gospodarzy. I liż świeże jeszcze rany, zadane im przez historię, choć ta historia miała twarze dobrze im znane, sąsiedzkie. Wyrzucają więc pamięć o Wołyniu, choć to niewykonalne, i zajmują się tym, co jest tu i teraz. Bo przecież trzeba żyć i dojść do jakiegoś ładu z trudną do ogarnięcia rzeczywistością.

Jak to wyglądało? „Ludzie zajęci swoimi sprawami wymijali się obojętnie na tle cegieł. Potykali się o gruz, o brak wody, o strach przed złodziejami i powrotem Niemców. Uczyli się miasta, zwłaszcza ci wyrwani z korzeniami ze swoich pól, pastwisk i przydomowych ogródków. Uprzątlali wojenne barykady. Grzebali ludzi. Grzebali zwierzęta. Grzebali historię. Obsiewali nową rzeczywistość, gotowi w każdej chwili rzucić ją i wracać do siebie”.

Wszystko wydawało się tymczasowe, kruche, niepewne. Z obawą brali do rąk przedmioty pozostawione przez tych, którzy uciekali



FOT. WWW.BRANSKUM.PL

stąd w popłochu. To przecież byli tacy ludzie jak my – tłumaczyli sobie do chwili, gdy za piecem znajdowali fotografie młodych ludzi w mundurach SS. Po latach, gdy Niemcy będą tu przyjeżdżać, by uронić łzę wzruszenia, widząc swój utracony Heimat, zdziwią się opowiadanymi przez nich historiami o antyfaszystowskiej przeszłości. Najstarsi i najodważniejsi zapytają: „A kto wrzeszczał na całe gardło »Heil Hitler«? Całe rzesze ludzi, widziałam na filmach. Trzecia Rzesza Niewinnych”.

Bali się powrotu Niemców, ale jeszcze bardziej Sowietów, zawsze chętnych do kradzieży i gwałtów. Na szczęście do wypitki także, można więc było przekupić ich bimbrem, niestety, nie zawsze. Rodziło się też kolejne zagrożenie, już polskie czy prawie polskie. Zaszczytne stanowisko zastępcy rejonowego pełno-

mocnika Tymczasowego Rządu Polskiego objął np. Stanisław Gutakowski znany wcześniej jako Samuel Gutaker. To on będzie ich zachęcał do wyjazdu z rodzinnej ziemi, głównie „obietnicą wywózki niechętnych przesiedleniom na roboty w donbaskich kopalniach oraz zapowiedzią dodatkowego poboru do wojska”. W nowym miejscu zostanie – a jakże! – burmistrzem, ożeni się i zaraz zginie, zastrzelony – może przez wroga nowego ustroju, a może tylko przez rywala do ręki tej samej kobiety.

W ciągnącej się w nieskończoność drodze do nowej ojczyzny temu czy owemu zgubi się dziecko, ktoś inny zachoruje i już nie wstanie o własnych siłach, nie dojedzie na miejsce, gdzie ponoć ziemia czekała na jego ręce, to znów kogoś mina rozerwie na strzępy, gdy zapuści się w pole za daleko. Jednak najbardziej doskwierała pamięć. Jak temu dziecku, które pytało księdza, czy tam, gdzie jadą, ludzie jedzą kartofle, a gdy kapłan uspokajał je, zapewniając, że nie będzie głodowało, usłyszał: „Nie, nie, ja nie dlatego... Mama moja... W ziemiance trzymali my kartofle, ale mało ich już zostało i nie było jak się nimi przykryć. Mama schowała się, ale sukienka wystawała. To ja pytam, czy tam też będą ziemianki”. Cóż miał powiedzieć duchowny? „– Tam, dokąd jedziemy, nie będziesz potrzebował ziemianki, rozumiesz? Mały blondynek kiwnął głową, ale w jego oczach ksiądz nadal widział trwogę”.

„Czereśnie będą dziczyć” zostały nagrodzone w Konkursie Literackim Miasta Gdańska im. Bolesława Faca. Autorka (ur. 1965) związana jest jednak z Mazowszem, zaś za jeden z tomów poetyckich – „Wczoraj, czyli dziś” – otrzymała nagrodę Orfeusza Mazurskiego. „Czereśnie...” dowodzą, że w prozie ma jeszcze więcej do powiedzenia. © ©



★★★★★
**MARIOLA
KRUSZEWSKA**
**„CZEREŚNIE BĘDĄ
DZICZĘĆ”**
**WYDAWNICTWO
W PODWÓRKU
SPJ. 2017**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

W Szkocji, czyli nigdzie

Grupa poczytnych pisarzy otrzymała z okazji 400. rocznicy śmierci Szekspira propozycję odświeżenia jego dorobku. Norweski autor kryminałów Jo Nesbø zabrał się do „Macbetha”. Jego wersja opowieści o żądzy władzy i szaleństwie rozgrywa się w roku 1770, w spowitym chmurami i mgłą ponurym oraz bezimiennym mieście. Macbeth to ambitny komentator policji o powikłanej przeszłości, jego partnerką podpowiadającą śmiało posunięcia jest piękna Lady, właścicielka luksusowego kasyna. Stawką zaś – władza nad miastem, które jest osobnym i najciekawszym bohaterem tej historii. Nesbø stworzył miejsce, które niby przypomina Szkocję, ale jednocześnie jest upiorną Nibylandią istniejącą poza czasem i przestrzenią. Przy minimalnych zmianach mogłoby być areną wydarzeń z mrocznej powieści gatunku miejskiej fantasy, jak Nowe Crobuzon z powieści Chiny Miéville’a „Dworzec Perdido”.

Miasto jest symbolem upadku i klęski jego mieszkańców. Dawniej słynęło z przemysłu, rośnię, teraz zamieniło się w krainę bezprawia i bezrobocia. „Nasi ojcowie budowali dworce i fabryki – zauważa z gorczą jeden z bohaterów – my budujemy burdele i kasyna”. Miejscowi politycy to kłamliwa banda. Policję zżera

rak korupcji, władze federalne (ta kraina ma i swą stolicę, zwaną po prostu Capitołem) są daleko i do interwencji im nieśpieszno. Ulicami rządzi rekin podziemia nazywany Hekate, który zmonopolizował wyrób i sprzedaż lokalnego specjału narkotykowego – wywaru. W tych okolicznościach nieprzekupny i odważny gliniarz Macbeth jest naturalnym kandydatem na jedyne sprawiedliwego.

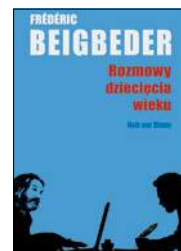
Książka jednak rozczarowuje. Nesbø skupił się na trochę odtwórczej robocie: Jak w tak nakreślonej rzeczywistości znaleźć odpowiedniki dla Szekspirowskich postaci i pozostawić główne węzły oryginalnego dramatu nienaruszone? To do pewnego momentu intryguje, ale gdy pisarz zaczyna na siłę wyjaśniać motywacje wszystkich głównych bohaterów, nagle uniwersalizm dramatu Szekspira znika. Z opowieści o nieodgadnionej naturze ludzkiej duszy wszystko zamienia się w narzekania na trudne dzieciństwo. Czyżby naprawdę świat dało się objaśnić w tak prosty sposób? Jak zwykle przy „uwspółcześnianiu” Szekspira okazuje się, że najgłupsze jest to, co nowy interpretator chce dopisać od siebie. Szukacie prawdziwej tajemnicy? Wróćcie do Szekspira. „Macbeth” Nesbø prócz sugestywnego obrazu cierpiącego miasta przynosi głównie zbyt łatwe odpowiedzi. ©



★★★★★
JO NESBØ
„MACBETH”
WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE
2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Składanka rozmów rozmaitej jakości z gwiazdami literatury różnej wielkości. Wśród bohaterów Eco, Houellebecq czy Tom Wolfe. Autor sam jest cenionym pisarzem francuskim, autorem m.in. powieści „Windows of the World”.



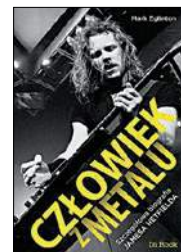
FRÉDÉRIC
BEIGBEDER
„ROZMOWY
DZIECIĘCIA
WIEKU”
NOIR SUR BLANC

Opowieść, szczególnie ciekawa, gdy mowa o Polskim Radiu przed wojną. Gdy mowa o PRL, nie ominięto stacji podziemnych. Niedosyt pojawia się pod koniec, bo dzieje stacji komercyjnych po 1989 r. to temat wart szerszego opisanie.



MARCIN
HERMANOWSKI
„RADIOFONIA
W POLSCE. ZARYS
DZIEJÓW”
ZYSK I S-KA

Metallica to dziś cień samej siebie z lat świetności, odcinająca na koncertach kupony od dawnej sławy. Tym chętniej fani poczytają o dawnych, dobrych czasach w biografii założyciela i lidera zespołu. Bo nowych hitów jakoś brak.



MARK EGLINTON
„JAMES HETFIELD.
CZŁOWIEK
Z METALU”
IN ROCK

Biografia Nikodema Skotarczaka, bossa samochodowej mafii z Trójmiasta. Zaczynał jako cinkciarz, zginął jako celebryta. To opowieść zarówno o przestępczym światku PRL, jak i o nadmiernej wyrozumiałości III RP. ©



TADEUSZ BATY
„SPOWIEDŹ
NIKOSIA ZZA
GROBU”
ZONA ZERO

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Magdalena Grzebałkowska „Komeda. Osobiste życie jazzu” (Znak)** – biografia znakomitego kompozytora i muzyka, twórcy kołysanki z „Dziecka Rosemary”.
- Dorota Masłowska „Inni ludzie” (Wydawnictwo Literackie)** – nowa powieść autorki „Wojny polsko-ruskiej pod flagą białą-czerwoną”. Eksperymentalna.
- Remigiusz Mróz „Zerwa” (Filia)** – piąty tom serii kryminalnej o komisarzu Forście. Bestseller jeszcze przed premierą w księgarniach.
- Olga Tokarczuk „Opowiadania dziwne” (Wydawnictwo Literackie)** – dziesięć opowiadań autorki „Księgą Jakubowych”.
- Wojciech Chmielarz „Żmijowisko” (Marginesy)** – wakacje przyjaźni, tajemnica sprzed lat i zaginiona córka. Nowy kryminał autora cyklu o komisarzu Mortce.

(Najchętniej kupowane pozycje w księgarni internetowej Bonito.pl)

Od koncertu „Przebój na mundial” rozpoczął się tegoroczny Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu. Nie tylko z okazji zbliżających się piłkarskich mistrzostw świata w Rosji, lecz także dlatego, że 8 czerwca, kiedy startuje festiwal, polska reprezentacja zagra mecz towarzyski z Chile. A że jest to ostatni sprawdzian Biało-Czerwonych przed mundialem, opolski amfiteatr zamieni się w strefę kibica. W przerwie koncertów będzie można obejrzeć transmisję meczu, a po nim – oby w dobrych humorach po zwycięskim pojedynku – wrócić do zabawy podczas opolskich debiutów. W historii festiwalu wśród debiutantów pojawiło się wiele późniejszych gwiazd. Pierwsze nagrania piosenek Maryli Rodowicz dla Radiowego Studia Piosenki Programu III PR zrealizowano po jej debiucie



Podczas koncertu „Przebój na mundial” wystąpi m.in. zespół Pectus z piosenką „Smak zwycięstwa” FOT. JAN BOGACZ/TVP/EAST NEWS

Polska, Chile i festiwal w Opolu

w opolskim amfiteatrze w 1968 r. Maryla wyszła na scenę bosą i zaśpiewała folkowe piosenki „Zabierz moje sukienki” oraz „Co ludzie powiedzą”. W tym samym roku na scenie amfiteatru w Opolu pojawił się Marek Grechuta. A właściwie został

na nią wypchnięty przez konferansjera Wojciecha „Koko” Kokocińskiego – tak sparaliżowała go trema. Mimo tego zdobył nagrodę dziennikarzy za wykonanie piosenki „Serce”.

Na sobotę, drugi dzień tegorocznej edycji festiwalu, za-

planowano koncerty „Premiery” oraz piosenek literackich i kabaretowych stulecia.

Opolski amfiteatr rozbłyśnie blaskiem gwiazd polskiej piosenki w niedzielę. Najpierw podczas koncertu „Od Opola do Opola”. Wystąpią m.in. Edyta Górniak, Sławomir, Kasia Kowalska, Margaret, Natalia Szroeder, Wanda i Banda, Gromee, Edyta Geppert, Korteż, Red Lips. Niedzielną wieczór zakończy się nostalgicznym koncertem przebojów stulecia. Na scenie wystąpią m.in. Edyta Górniak, Halina Mlynkova, Kombii, Katarzyna Cerekwicka, Sławomir Uniątkowski, Natalia Sikora, Marek Piekarczyk, De Mono, Ryszard Rynkowski i Feel.

55. Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej zakończy się w poniedziałek specjalnym koncertem TVP Kultura. Po dwóch latach na festiwal powraca bowiem „Scena alternatywna”. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Kolejny Zielony Świat

Osobliwość to kolejne, po płytach Björk i Davida Byrne’a, dzieło opowiadające o utopijnej krainie. Tyle że angielski producent ucieka od otaczającego nas horroru w świat elektronicznej muzyki bez słów.

43 lata temu Brian Eno nagrał album „Another Green World”, na którym stworzył świat elektronicznej, choć wciąż analogowej, dźwiękowej rzeczywistości. 30 lat później Eno zaangażował Hopkinsa, klasycznie wykształconego pianistę, do pracy przy płycie „Another Day on Earth”.

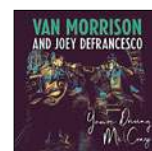
Pierwszą połowę „Singularity” wypełniają rozedrgane, postrzępione frazy umiejętnie połączone z agresywnymi syntetycznymi bitami. To coś w rodzaju bezrefleksyjnego

świata euforycznej zabawy. 10-minutowy „Everything Connected” przenosi nas do innej rzeczywistości. Na technoidalne rytmy powoli nakładają się brzmieniowe pejzaże i wkraczamy do krainy wyciszenia oraz duchowości. Dysonanse zastępują jasne krajobrazy, pojawiają się łagodne melodie fortepianowe oraz ludzkie głosy. Ten bardziej organiczny świat okazuje się jednak kolejną utopią. Kojący spokój jest niestety mniej ekscytujący. W ostatnim utworze, „Poprawa”, rozbrzmiewa już jedynie monotonna, spreparowana fortepian. Koniec... po którym natychmiast chcemy wrócić do krainy emocjonalnych ruin i ponownie odbyć psychodeliczną podróż bez przyszłości. ©©



★★★★★
ANNA VON
HAUSSWOLFF
„DEAD MAGIC”
CITY SLANG

Pięcioczęściowy epicki horror na żeński demoniczny głos, kościelne organy i mroczny zespół rockowy. Jest w tym coś z PJ Harvey i Diamandy Galás. Szwedka zaprasza nas do świata magii, legend i muzycznej ezoteryki. Dla odważnych. ©©



★★★★★
VAN MORRISON &
JOEY DEFRANCESCO
„YOU'RE DRIVING
ME CRAZY”
EXILE

To już 39. album Irlandczyka i trzeci w ciągu siedmiu miesięcy. Klubowe jazzowo-bluesowe granie na dojrzały głos, trąbkę i organy Hammonda. Nic nowego, głównie standardy i stare numery Vana, ale przy butelce bordeaux słucha się wyśmienicie. ©©



★★★★★
JON HOPKINS
„SINGULARITY”
DOMINO

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**SENSACYJNY
WYWIAD
Z ŻOŁNIERZEM
KEDYU AK**

- Piotr Zychowicz – **Dwa oblicza granatowych**
 Dariusz Libionka kontra Janina Hera – **Spór o książkę „Dalej jest noc”**
 Tomasz Stańczyk – **Zabójstwo pułkownika Reszczyńskiego**
 Rafał A. Ziemkiewicz – **Błędy Śmigłego-Rydza**
 Mikołaj Iwanow – **Ostatni wyklęty z Czeczenii**
 Sławomir Cenckiewicz – **Tajne akta WRON**
 Adrian Goldsworthy – **Jak Rzymianie podbili świat**
 Sławomir Koper – **Trzy trupy na Pańskiej 11**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
 CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

SEKS

[ŚWIATOWY DZIEŃ SEKSU]



Paolo Veronese, „Niewierność” (1656)

Seksuolożka amerykańska, dr Sarah Blaffer Hrdy (1981):
„Podważam pewien filar darwinowskiej teorii ewolucji, ten mianowicie, że przyrodzoną cechą kobiety jest seksualna wstrzemięźliwość. Przeciwnie — samica to istota poligamiczna bardziej niż mężczyzna, gdyż do spółkowania z wieloma partnerami pcha ją biologiczna dbałość o cechy genetyczne i o bezpieczeństwo potomstwa”



Waldemar Łysiak

Kiedy jedna z Czytelniczek zażądała (półtora roku temu), bym napisał artykuł o seksie — machnąłem ręką, bo nie widziałem takiej potrzeby. Kiedy druga wyraziła identyczne żądanie (pół roku temu) — poczułem się już trochę zobowiązany, by nie oczekiwać na „do trzech razy sztuka”, czyli na trzeci podobny list. Jednak definitywnie zmobilizowałem się przeczytawszy, że 7 czerwca to Światowy Dzień Seksu. Co prawda w innym salonowym kalendarzu 7 czerwca to Dzień Wolności Prasy, ale ponieważ drukuje mnie bezbrzeżnie wolny „Tygodnik Lisickiego” — wszystko gra, według kolokwialnej odzywki przedwojennej: „jak ta lala”. O lalach będzie niżej dużo.

Wedle znanej sentencji — nie tylko Polacy, lecz wszyscy dorośli obywatele globu znają się na sporcie, medycynie i polityce. Ja bym dorzucił do tego seks. Dzisiaj internet jest tak pełen wszelakich wizualnych instruktaży, że „klikające” przedszkolaki mogłyby pisać doktoraty z „ciupciania”.



Dawniej pachołęta były odcięte od „tych świństw”, a obsceniczne „pornosy” (grafika i fotki) trafiały do drobnego ułamka mieszkańców kuli ziemskiej. Poradników też brakowało (jeśli pominąć czterowersze ze starożytnej „Sztuki kochania” Owidiusza lub rymowane „paskudztwa” Fredry), a o statystykach nawet nie myślano. Dzisiaj dzięki nim wiemy, że przeciętny człowiek odbywa między 20. a 60. rokiem życia 4500 stosunków, typowe zbliżenie trwa od 3 do 14 minut, zsumowane

życiowe orgazmy homospapiensa to około 10 godzin, kobiety preferują „pozycję misjonarską” (36% wskazań), zaś panowie „na pieska” (28%), u 60% kopulantów seks łagodzi migrenę, 50% kobiet udaje orgazm, etc., etc. A w Polsce? Tylko 10% rodaków uprawia seks każdego dnia; statystyczny Polak robi to raz tygodniowo, najczęściej około godziny 21 w sobotni wieczór. Czy te osiągi statystyczne nie są czasem zaniżane przez wpływ medycyny, która mocno wydłuża żywot emerytom, a wiadomo, że każdy wiek ma swoje możliwości: „dla młodych cycuszek, dla starych cybuszek”? Nie, gdyż viagra plus inne środki erekcyjopędne solidnie przedłużyły samcom jurność.

Wstępem do seksu winien być — wedle Kościoła — małżeński ślub poprzedzony przez miłość, więc od tej świątobliwej sfery zacznijmy:

MIŁOŚĆ

Dygując na temat miłości współczesna nauka głądzi o chemii, o zapachach, feromonach, gdy tymczasem każdy wie, że wszystko zaczyna się od spojrzenia samca i samicy. Zakochany świdruje kobietę głodnym wzrokiem, można go więc mitygować: jak będziesz ją tak oczami rozbierał, to się dziewczyna przeziebi! Dziewczyny też się gapią na wybrane „ciacha”, stąd „humor zeszytów szkolnych” ma słuszność artykułując: „Gdy Basia go ujrzała — zapłodniła się i spuściła oczy”. O zapłonionych pannach traktuje również tabloidowo-internetowy falliczny dowcipiek: „Dlaczego dziewczyna spuszcza oczy, gdy chłopak mówi, że ją kocha? Bo chce zobaczyć czy on mówi prawdę”. Do genitaliów, bez których nie byłoby seksu, jeszcze wrócimy, lecz teraz kontynuujmy pean o miłości:



François-Pascal-Simeon Gérard, „Amor i Psyche” (1798)

Biologia sprawiła, a historia ludzkości dowiodła, że poszczególne „sapiens” ma zdolność zakochiwania się częściej aniżeli raz przed śmiercią. Rokokowo-oświeceniowa dewiza głosiła: „W miłości uroczy jest tylko początek. Trudno się tedy dziwić, że lubimy zaczynać bardzo często...”.

Takie nastawienie, kreujące „naturellement” frywolność i niewierność, zawsze detonowało sarkazm wobec uniesień miłosnych. Wielki amerykański pisarz William Faulkner: „Jeżeli będziesz się pochylał kobiecie do stóp — to prędzej czy później zostaniesz odrzucony przez nią. Winienesz zatem odwrócić się do niej plecami. Może wtedy się do ciebie przyczepi”. Włosi lansują obecnie dialog Sylvia Berlusconi (wirtuoza orgii „bunga-bunga”) z synkiem:

— Tato, co to jest miłość?

— Prawdziwa miłość jest wtedy, gdy kupujesz swojej kobiecie dom, auto i sznur brylantów.

— A romantyczność?

— To wymysł komunistów, by wykorystywać niewiasty za darmoche.

Już starożytni wiedzieli, że fundamentalny błąd miłości polega na tym, iż pokochujemy nie tyle daną osobę, ile nasze wyobrażenie o niej, fałszywe zazwyczaj. Co się później mści „w praniu”, czyli w małżeństwie:

MAŁŻEŃSTWO

„Pranie” to nie ściganie się kto kogo przeżyje (jak wiadomo: „kobiety żyją dłużej, bo nie mają żon”), ale rozwiewanie złudzeń. W fazie wcześniejszej — fazie miłosnego zauroczenia i erotycznego szaleństwa — namiętność przykrywa różnice charakterów niczym parasol ochronny, lecz kiedy parasol się ulatnia, pozostają już tylko różnice charakterów. I wówczas rzeczywiście „w tym największy jest ambasador, żeby dwoje chciało naraz” — tu cieczka, zaś tam ucieczka, np. do hotelu, czy motelu, czy baru. Pewien dowcip mówi, że jeśli mężczyzna cały wieczór żłapie wewnątrz pubu piwo, to przyczyny mogą być dwie: 1. Nie jest żonaty, 2. Jest żonaty. W tym czasie niejedna małżonka zgłasza się do recepcji hotelowej:

— Mój mąż zamówił tu dzisiaj pokój.

— Jak nazwisko?

— Nowak... Nowaczyk... Nowacki..., czy jakoś tak.

Statystyki twierdzą, że w związkach małżeńskich żyje 55% Polaków (w związkach nieformalnych 11%), i że 40% małżonków zdradza (zwłaszcza ci między 41. a 50. rokiem życia), odrobine

częściej panowie, lecz ci krótkodystansowo („skoki w bok”, „numerki”), gdy cudzołóstwo pań jest zazwyczaj długofalowe. Stąd liczba rozwodów ciągle wzrasta (nie tylko zresztą w Polsce), a na Zachodzie nie brak i takich ekscesów jak wlepienie przez sąd 9,6 tys. euro grzywny pewnemu Francuzowi, bo ten zaprzestał spełniać fizjologiczne obowiązki małżonka, vulgo: odmawiał seksu swojej 47-letniej żonie. Choć niewiele małżeństw toczy ze sobą równie okrutne batalie co bohaterowie filmu Danny’ego DeVito „Wojna państwa Rose” (1989), lecz zazwyczaj obie strony — żeńska i męska — okładają się rytualnymi złośliwościami, które później są reprodukowane przez „kawaty” krążące po mediach. Na pytanie jaka jest różnica między dzieckiem a mężem, żona odpowiada: „ — W zasadzie nie ma żadnej, jednak dziecko przynajmniej można zostawić samo z nianią”. Na pytanie syna co to jest kompromis, ojciec tłumaczy: „ — Wyjaśnię ci to dając przykład. Jeśli mama będzie chciała, żebyśmy wakacje spędzili nad morzem, a ja, byśmy pojechali w góry, to kompromisem będzie wyjazd nad morze, lecz ja będę mógł zabrać narty ze sobą”.

Bardzo nowoczesnym niebezpieczeństwem miłosnym i małżeńskim stał się coraz powszechniejszy zwyczaj tatuowania sobie imion lub fizjonomii ukochanych osób. Radosławowi Majdanowi został po rozstaniu z Dodą jej duży wizerunek na ramieniu, co mogło wkurzać kolejne „partnerki”, więc przykrył go tatuowaną



mordą starego Indianina, ale miał przy tym furę kłopotów i ekspensów. Dawniej takie „uuups!” nie miały miejsca, czas tedy przyjrzeć się seksualnym różnicom pomiędzy przeszłością a teraźniejszością:

RÓŻNICE EPOK

Praktycznie rzecz biorąc — seks jest tym samym w każdej epoce, ciała ludzkie nie zmieniły się od czasów utraty gęstego owłosienia. Zasadnicza różnica między

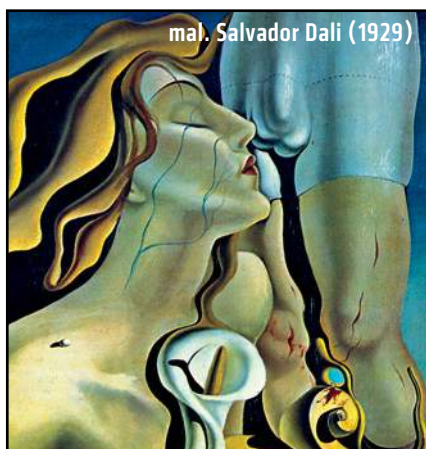
czasami dzisiejszymi a tym, co było kilkaset lat temu, i sto lat temu, i jeszcze pół wieku temu (do „wolnej miłości” hippisów oraz paryskich rebeliantów ’68) — to ekshibicjonizm, nadpornograficzne upublicznienie cielesnych relacji męsko-damskich, czyli wyjście seksu spod kołdry, odrzucenie pruderii, skromności, wstydlivosti. Prof. Zygmunt Kamiński, grafik będący założycielem Wydziału Architektury PW, pisząc swe wspomnienia stwierdził, że na początku XX wieku problematyka erotyczna była powszechnie traktowana jako intymna/hermetyczna: „Ludzie dorosli zakres swych istotnych zainteresowań erotycznych utrzymywali w najściślejszej strzeżonej tajemnicy, bo to jest sfera zamknięta na siedem zaklętych pieczęci milczenia” (1975). Dziś już nie jest — panie i panowie publicznie wykrzykują o aktywności swoich „cipek” i „potworów”. Blogger modowy Kamil Pawelski (tzw. „Ekskluzywny Menel”) udziela w TVN soczystych rad erotycznych (każdy piątkowy „Super express” robi to samo), i mało kogo to bulwersuje, bo wszędzie wokół więcej golizny aniżeli zieleni miejskiej. Gdy przed 110 laty młody poeta Edward Leszczyński ośmielił się napisać wiersz o anatomii niewiast („Ciała kobiet”), finalna zwrotka brzmiała:

„Ciała kobiet — okrętom
pogrążonym w ciszę
jawiące się obłoki z nadziei podniętą —
ciała kobiet — muzyki zawrotnej
klawisze —
ciała kobiet — puch marzeń —
wszystko to — i nie to”.

Kilkadziesiąt lat później takie subtelności zastąpiła dosadność. Jeszcze cztery dekady temu sławny amerykański aktor typu „macho”, Anthony Quinn, zapytany przez dziennikarkę podczas wywiadu telewizyjnego czy ma coś przeciw grupowemu seksowi, odparł:

— Nie, jeśli grupa składa się z dwóch osób.

Kolejne dekady przyniosły wszelako rozluźnienie języków nadających za rozluźnieniem genitaliów. Ale to jeszcze nie wierchołek zepsucia, jego ewolucja ma spore perspektywy, co uświadomiłem sobie oglądając serial „The Crown” o pierwszych latach panowania młodziutkiej Elżbiety II. Siódmy odcinek pierwszego sezonu kończy się sceną w sypialni, gdy mąż królowej, książę Filip, każe jej klęknąć u jego stóp, a frywolne uśmieszki obojga sugerują po co. Na tych uśmieszkach odcinek się kończy, lecz za 15 lat ta sama scena będzie jeszcze trwała ze dwie



mal. Salvador Dalí (1929)

wilgotne minuty, i wówczas jakiś mój epigon machnie tekst o różnicy epok wyznaczanej przez nieubłagane reguły obyczajowego „postępu”. Jeżeli wątpicie w tę przepowiednię, to zobaczcie jak się „wyzwoliły” filmowe sceny łóżkowe między „złotą erą Hollywoodu” a dzisiejszą. Kontrewolucji trudno oczekiwać, bo alfons Internet będzie wrzucał coraz wyższe biegi, nie zaś niższe — ekshibicyjna jazda bez trzymanki (bez respektowania jakichkolwiek etycznych kanonów) ma tęczaową przyszłość.

GENITALIA ♀

Chociaż alfons Internet dziś przoduje, to jednak burdelmama Telewizja stara się nie tracić zbyt dystansu. Dobrym przykładem są azjatyckie (japońskie i południowokoreańskie zwłaszcza) erotyczne „tele-show” vel „tele-live”: w jednym, zatytułowanym „Karaoke”, mężczyźni śpiewają podczas gdy dziewczęta pieszczą ich „klejnoty”; w innym, zatytułowanym „Rozpoznaj męża” lub „Rozpoznaj żonę”, identyfikacji małżonka dokonuje się na oślep, metodą penetracji. Widzowie to lubią, gdyż lubią oglądać pracujące genitalia. Tą atawistyczną/biologiczną fascynacją ludzi genitaliami płci przeciwnej nauka (psychologia, psychiatria) zajęła się serio dopiero w pierwszej połowie XX wieku, a show-business u schyłku tegoż stulecia. Dzisiaj już traktuje się to serio i porno, lecz dawniej wykpiwano szyfry psychoanalityków, vide Marian Hemar w roku 1922:

„Śniła mi się szafa,
Zwyczajnie, dla hecy,
A ten Freud tłumaczy,
Że organ kobiecy”.

Zacznijmy więc od kobiecych organów („ladies first”), które mężczyzn pasjonują lub denerwują (wielki amerykański pro-

zaik, Ernest Hemingway, zniechędziwszy swą trzecią żonę, Martę Gellhorn, spłodził obsceniczny wiersz „Do pochwy Marty Gellhorn”, równając jej waginę z marszczącą się szyjką starego termoforu). Dzisiaj o waginach częściej niż dżentelmeni mówią publicznie damy (słowa „cipa” czy „cipka” nagminnie pojawiają się w nazwach i proklamacjach organizacji feministycznych, piosenkarka Agnieszka Chylińska przezwiała swoją waginę „rozklepichą”, pisarka Manuela Gretkowska, którą Rafał Ziemkiewicz mianował „Cipka cip”, lansuje kobietę dwuflechtaczkową, itp.) — „signum temporis”. Również panie, a nie panowie, bawią się parascientycznie pochwą. Znana aktorka Gwyneth Paltrow dostała (2017) nagrodę magazynu „Skeptic” za największą pseudonaukową bzdurę, bo przez swój portal sprzedawała „łączące się z czakrą serca” jadeitowe jajo do umieszczenia w głębi pochwy. Tego samego roku laureatem Ig-Nobla (nagroda Uniwersytetu Harvarda za najgłupsze/najdziwniejsze dysertacje naukowe) został team Hiszpanek perswadujący, że do pochwy kobiety ciężarnej trzeba wsadzać głośnik emitujący melodie, które sprawią płodowi przyjemność. Chcąc wyszydzić takie bzdury, dwaj uczeni z Uniwersytetu Portland (filozof Peter Boghossian i matematyk James Lindsay) opublikowali w czasopiśmie „Cogent Social Sciences” (2017) celowo bełkotliwe twierdzenie, że „penis stanowi konceptualny i relevantny wpływ ewokujący



Anonimowy francuski sztych erotyczny ze schyłku doby Oświecenia



Tommaso Masolino, „Adam i Ewa” (1427)

duże, zasadniczo performatywne zmiany klimatu”. To już „humor zeszytów szkolnych” tyżący genitaliów brzmi sensownie: „Elżbieta przez swą szparę spoglądała na adoratorów” i „Tadeusz szedł ku Zosi z ptakiem w rękę”. Tym sposobem dotarliśmy do precjozów męskich:

GENITALIA ♂

Mało kto wie, że popularny epitet „buc” wziął się z języka żydowskiego (w jidisz „puc” to penis), za to każdy wie, iż fallusa można dziś nazwać po polsku używając kilkudziesięciu kolokwialnych określeń (od „wacek”, do „fiut”). Szermuje się tym narzędziem w przestrzeni publicznej bez żadnych (cenzuralnych lub savoir-vivre’owych) hamulców. Gdy Zbigniew Boniek parsknął o drugorzędności żeńskiego futbolu, znana amerykańska piłkarka Hope Solo spytała go czy chce od niej dostać „kopa w jaja” dewastującego mu męskość. Dużo silniej dołuje tę męskość mężczyzn Zachodu regularny spadek liczby plemników w milimetrze sześciennym spermy (A.D. 1973 — 99 milionów, 2011 — 47 milionów, itd.). Lecz wróćmy do bezpruderyjnego szermowania „członkami” na publicznych forach. A.D. 2010 żona zmarłego plastyka, Franciszka Starowieyskiego, publiku-



Obsceniczna rycina z rokokowej edycji „L'Academie des dames” (1775)

■ je „odbicie jego członka w kolorowym tuszu”. Gdy Doda odrzuca zaloty „mistera Polski”, Rafała Maślaka, ten krzyczy do niej za pośrednictwem tabloidów (2017): „— Boisz się mojego potwora, którego mam w majtkach!”. Notabene adresatka tych słów też nie lubi cedić słów kiedy gaworzy na temat seksu, i umie się odciąć. Zapytana jak często uprawia seks, warknęła: „— Skąd mam to wiedzieć?! Nie mam w dupie licznika!”, a podczas TV-programu „Gwiazdy tańczą na lodzie” (2007) wszczęła głośną wymianę ciosów z Przemysławem Saletą, i padały wówczas mocne „perelki słowne” będące wizytówką współczesności („— Doda Elektroda zrobi ci loda!”, „— Przemek Saleta obciągnie ci fleta!”, itp.). Słuchając tego można łatwiej zrozumieć czemu plastyk Marek Ałaszewski namalował Guliwera bez siurka, a zapytany o ów brak, wyjaśnił: „— Po co mu genitalia? I tak ma kłopoty”.

Kłopoty mężczyzn z powodu ich przyrodzenia są pono (tak mówią seksuolodzy) coraz większe, i to nie gwoli centymetrów (duży penis jest pożądany, lecz niekonieczny — legendarny rockman Jimmy Page, gwiazdor zespołu Led Zepelin, miał szalone powrodozenie u kobiet, chociaż „dysponował przyrodozeniem jedynie średniej wielkości”, jak wspominała sypiająca z nim „groupie” Bebe Buell), tylko za sprawą agresywności emancypujących się pań, które nakarmiwszy się

pornolekcjami żądają zbyt dużo w łóżku, gdy męska wydolność ma swoje limity. Przez co padają mity, gdy „tajemnice alkowy” zostają upublicznione. Kobiety nie lubią „szybkościowców”, nawet tych cieszących się opinią „womenkillerów”, więc byłe kochanki prezydenta Francji Jacquesa Chiraca dały mu ksywkę „Pięć minut razem z przysnecem”, a byłe flamy prezydenta USA, Johna Kennedy'ego, plotkowały, że uprawia on seks metodą „slam, bam, thank You Ma'am”. Włoska aktorka Monika Bellucci wyznała publicznie po rozwodzie z francuskim filmowym wzorem męskości, Vincentem Casselem, że przyczyną krachu małżeństwa był... brak seksu. Badania DNA ostatecznie wykluczyły (2017) żądania pani Pilar Martinez, by uznano ją za córkę Salvadora Dalego, lecz znawcy jego życia wiedzieli to dużo wcześniej (biograf Dalego, Irlandczyk Ian Gibson: „— Dali nie mógł zapłodnić kobiety, gdyż był impotentem, co zresztą sam otwarcie przyznawał”). Złośliwcy dodawali, że dlatego tak często rysował i malował goliznę, bo obscena stanowią hobby impotentów.

OBSCENARIUM

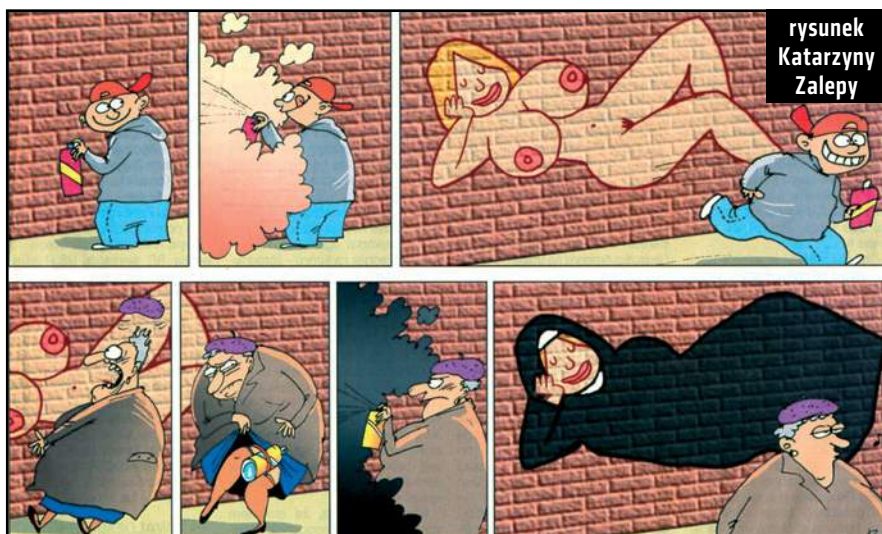
Definityjnie „obscena” to wizualna (graficzna, filmowa, itp.) sprośność, a praktycznie to po prostu seks w sztuce wszelakiego rodzaju, czyli artystyczne bądź pseudoartystyczne „pornole”. W malarstwie dziś występują już rzadko, nowe formy plastyczne (choćby internetowe) stały się zbyt silną konkurencją, co spowodowało umoralnienie pędzli, szerzą się jeszcze tylko bluźniercze perwersje typu: ukrzyżowane genitalia, etc.

W filmie mało co już może bulwersować, ale pani uprawiająca seks z wielkim psem („Botoks” Vegi) to mocny „numer”. W teatrze inna pani (Julia Wyszyńska) „obciąga” papieżowi Janowi Pawłowi II (notabene 50% Polaków deklaruje praktykowanie oralnego seksu, o którym poeta Rafał Wojaczek kwilił per: „kobiety piją nam z rozporka”). A gdy już mowa o poezji — ta była, jest i będzie królestwem „świntuszeń”, nawet u szacownych bibliofilów, wśród których furorę robi od dekad wierszyk o Sowidrzale, co „miał trzewiczki z koziej piczki, kurwa mać!”, czy u statecznych wielbicieli rymów Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, z jego dwuznacznym wierszykiem „Sen lodziarza” („Od jutra wciąż lato będzie i lody, panowie, lody!”).

Ponieważ skutek libertyńsko wyemancypowanych mechanizmów i motywów medialnych cały dzisiejszy świat przeistoczył się w obscenarium — radykalnych adwersarzy tego stanu rzeczy trzeba szukać na zewnętrznych skrzydłach sceny polityczno-kulturowej, takich jak „hardline” nacjonalistycznej subkultury „sXe” („straight edge”), ostro negującej wszelką pornografię i rozwiązłość seksualną, czy wojownicze odłamy feministek, według których obscena czynią kobietę „eksploatowanym obiektem seksualnym”. Feminizm zresztą to arcyciekawe zjawisko na polu zmagania ze „świntuszeniem”. Z jednej bowiem strony same tytuły referatów wygłaszanych podczas konferencji feministycznych budzą grozę („Jane Austen a masturbacja”, „Lesbijski fallus — czy heteroseksualizm istnieje?”, itp. — cytuję za „The Guardian”), a terminologia przez



Angielski erotyczny sztzyt z końca XVIII wieku



nie używana często urąga rozluźnionym nawet normom (by wymienić ubolewania Manueli Gretkowskiej nad „niejebalnością” pań po klimakterium), z drugiej zaś walczą jak lwice przeciw delikatnym choćby dowcipom o ich libido, exemplum niedawny pozew sądowy 56-lletniej Doroty Wellman. Dawniej uważano, że to mężczyźni są — niby rybacy chwalcący się długością kielbika — przewrażliwieni na punkcie swej seksualności, lecz pani Wellman udowodniła, iż zdesperowana kobieta gotowa jest sądownie bronić swej seksualności kwestionowanej złośliwościami samców.

Walka feministek z wykorzystywaniem kobiet przez pornografów budzi wśród mężczyzn rozmaite reakcje, także misjonarskie. Dwaj prominenci „Rzeczypospolitej” — Michał Szuldrzyński (zastępca redaktora naczelnego) i Tomasz Krzyżak (szef działu krajowego) — tek-

stem „Odrutka na seksualną rewolucję” postanowili ucywilizować feministki metodą „zaproprowania feministkom katolickiej moralności jako najlepszego remedium na zjawiska, z którymi one chcą walczyć”. Zaraz po tej deklaracji-propozycji rozmarzyli się: „Być może uznają, że warto wziąć Kościół za sojusznika w walce z tym wszystkim, co sprowadza kobiety do roli obiektu seksualnego, a więc pornografią, seksualizacją, prostytucją itp. Jeśli feministkom zależy na poprawie losu kobiet, powinny tę propozycję przemyśleć na poważnie” (2017). Jakbym słyszał obrońców zwierząt proponujących drapieżnikom, by gwoli wyższych (np. kultowych) racji przemysłały poważnie propozycję zamiany mięsożerności na roślinożerność, dzięki czemu ustanie w przyrodzie rozlew krwi i rajske braterstwo ogarnie całą faunę, bez żadnego wyjątku. Alleluja!

POLIANDRIA I POLIAMORIA

Metafora ze zwierzętami, zamykająca powyższy rozdział artykułu, była niezupełnie przypadkowa, co drugi bowiem mężczyzna wie, że kobiety, których czułość i troskliwość wobec zwierząt wykracza poza olimpijskie normy miłości, chętnie zadają rany krwawiące bardzo mocno i jeszcze śpią w nie sól, oraz że dentyści są jedynymi facetami, którzy bezkarnie mogą nakazać kobiecie zamknięcie lub otwarcie ust. Nikt też nie zmusi damy, by goło pozowała do „pornosów” — robią to same, dla zysku i przyjemności czerpanej z obnażania. Co tyczy nie tylko pornobiznesu, lecz i całej sfery seksualnej. Żyjemy w czasach, w których kobiety rozbierają się szybciej niż ubierają — i to mówi wszystko o obyczajowości naszej

epoki. Dziś — według sondaży — tylko 1% panienek (jedna na sto) zachowuje dziewictwo aż do ślubu, a przed ślubem większość uprawia „poliandrię” lub nawet „poliamorię”, czyli testuje kolejno bądź równocześnie co najmniej kilku partnerów. Mówią o tym bez zahamowań, exemplum wywiady, jakich w Polsce udziela „aktywistka miejska” Joanna Erbel, urzędniczka warszawskiego ratusza („— Kochanie więcej niż jednej osoby nie musi być obrazoburcze. Trójkąty są ok.”), czy wywiady, których udziela na Zachodzie amerykańska piosenkarka Taylor Swift („— Często zmieniam chłopaków. Trzy miesiące to i tak dużo. Jestem poligamistką”). Trafnie oddaje tę sytuację pewien „kawał” — dialog dwóch panienek:

— Ilu miałś facetów?

— Pięciu albo sześciu, nie pamiętam dokładnie.

— Jak na dzisiejsze czasy to niedużo.

— No tak, to był taki słabszy tydzień.

Z jednej strony rozwiązłość, a z drugiej maskarada kontrmolestacyjna, której wierchołkiem/symbolem stało się rok temu huczne „zdemaskowanie” amerykańskiego potentata filmowego, „cara Hollywoodu”, Harveya Weinsteina (piszę o tym niżej). Feministki grają tu rolę „adwokata diabła”. Kiedy bowiem wskutek terroru feministycznego zatarta zostaje różnica między flirtowaniem a molestowaniem — umiera tradycyjna sztuka kunsztownych przedbiegów amatorów, gdyż strach się odezwać do kobiety. Nic więc dziwnego, że (jak wykazują statystyki) mnóstwo mężczyzn czeka na produkcję werystycznie reprodukujących ciało kobiece sekslaek dysponujących sztuczną inteligencją. Nad takimi erotycznymi robotami intensywnie pracuje firma Realdoll, zaś dr David Levy (Maastricht University) w swej książce „Intymne relacje ze sztucznym partnerem” przewiduje, że prędzej czy później rządy będą legalizowały związki między samcem a kupioną przezeń lalką.

#MeHIPOKRYZJA

Robotyzacji seksu może wkrótce towarzyszyć pisemna akceptacja współdziałania w czynności seksualnej. Szwecja jest tu pionierem — 1 lipca (czyli za niespełna miesiąc) ma tam wejść nowe prawo zwane „prawem zgody”, stawiające każdemu chcącemu uprawiać seks wymóg zyskania na to „zgody pisemnej” od partnera. Szwedzki rząd podjął taką decyzję pod wpływem siły kampanii #MeToo ma-



rys. J. R. Giedroyc

► jącej globalny zasięg, a spowodowanej „afetą Weinsteina”.

Gdy mowa o tym skandalu, warto zauważyć, że już dziesięć lat wcześniej, czyli dekadę przed medialną eksplozją, największym knurem Hollywoodu przezwano Weinsteina reżyser Andrzej Żuławski (twórca, którego Jan Maciejewski zwie „najważniejszym polskim reżyserem XX wieku”, i którego ja też bardzo lubię), bo głosił, że jedynym polskim pisarzem współczesnym wartym lektury jest Łysiak, ale media wytknęły Żuławskiemu, iż wściekł się na Weinsteina z powodu swej dzieweczyny, Weroniki Rosati. Akcja #MeToo zrazu miała chóralskie poparcie mediów globu, lecz w miarę upływu czasu ten entuzjazm zaczął stygnąć. Dla ludzi rozumnych, nie kierujących się polityczną poprawnością lub modą, była to od samego początku seksualna hucpa, salonowy humbug.

Popularne określenie „dać za wygraną” nabiera całkiem innego (niż rezygnacja) znaczenia w wyborach miss i w castingach „fabryki snów” — to „tajemnica Poliszynela”, czyż nie? Nawet małodaty wiedzą, że w biznesie filmowym „robienie kariery przez dupę” stanowi odwieczną, wprost rytualną powszechność, ergo: że prawie wszystkie aspirantki liczą na taką właśnie szansę, więc ochoczo godzą się z tym. Nie

brakowało „naocznych świadków” owego zwyczaju. Marilyn Monroe, znająca filmowy biznes jak własną... no, niech będzie: jak własną kieszeń — nazywała Hollywood „zatłoczonym burdelem”, bo „przebić się tam można było tylko sypiając z wpływowymi ludźmi”. Aż tu, po stu latach tej zabawy, w której podział ról był klarowny do bólu (krocza, nie serca) — raptownie „odkrywa się Amerykę”, robiąc seksualny megahałas i kampanię #MeToo.

Hipokryzja akcji #MeToo (zwanej już czasami złośliwie: „przymierzem wagin”) zaczęły obnażać co uczciwsze kobiety (mężczyznom nie wypadało) — dziennikarki i aktorki. Amy Larocca, reporterka „New York Magazine”, nie mogła wyjść ze zdumienia, że tyle aktorek i modelek „tak chętnie kleiło się do tego obleśnego, lepkiego, zasapanego typu”, a 100 znanych Francuzek (głównie ze świata kinematografii) opublikowało w „Le Monde” list otwarty piętnujący obłudność kampanii #MeToo. Wśród sygnatariuszek były m.in. Catherine Deneuve i Brigitte Bardot,

która później powiedziała w wywiadzie dla „Paris Match”: „— Te oskarżenia ze strony rzekomo molestowanych i gwałconych przed laty aktorek są w większości obłudne, śmieszne, bezpodstawne, zważywszy że te panie same wchodziły w niewłaściwe relacje z producentami, aby dostać rolę. Cała ta akcja to hucpa pełna hipokryzji”.

* * * * *

Winienem teraz wymyślić puentę artykułu, ale ponieważ nic nie przychodzi mi do głowy, wolę wznieść toast:

— Za piękne grzeszne kobiety! ©©





IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Co tam, panie, w koszykówce

Ostrzegam – ten tekst będzie o sporcie. Choć oczywiście tylko pozornie. Tak naprawdę będzie zupełnie o czym innym, więc sportofobów uprasza się o przeczytanie.

Zacząłem się od tego, że mój syn nie znosi piłki nożnej. W rozpaczliwej próbie realizacji ojcowskiego marzenia o wspólnym oglądaniu jakichkolwiek meczów podsunąłem mu koszykówkę. Odpukać, spodobało mu się. Zaczął koźłować, rzucać i chyba ma do tego smykałkę. Kując żelazo, póki gorące, podsunąłem mu pod nos finały NBA. I tu mój sukces okazał się połowiczny. Tymon nudzi się po 15 minutach, natomiast ja wkręciłem się w zawodową koszykówkę jak za dawnych czasów, kiedy Włodzimierz Szaranowicz gromko obwieszczał: „Hej, hej! Tu NBA”.

Zarywałem ostatnio nocę, żeby oglądać mecze amerykańskiej koszykówki, jakieś 15 lat temu. Na parkietach królowali wtedy giganci, którzy wkładali piłkę do kosza, prawie nie podskakując, i toczyli pojedynki king kongów pod tablicami. Niektórzy nie potrafili nawet koźłować. To może i było widowiskowe, ale na dłuższą metę jednak nudne. Teraz ze zdziwieniem stwierdziłem, że dzisiaj koszykówka jest zupełnie inna. Olbrzymy (prawie) wyginęły, a styl gry radykalnie się zmienił. Liczą się teraz szybkość, inteligencja, zespołowość i – przede wszystkim – rzuty z dystansu. Giganci potrafią koźłować i często nawet rozgrywają piłkę. Największymi gwiaz-

dami bywają zawodnicy – na warunki NBA – wręcz filigranowi.

Kompletna zmiana filozofii gry mi zaimponowała. Okazało się, że w grze – w której wymyślono już wszystko – można wymyślić coś jeszcze. Kiedy porównamy tę sytuację z piłką nożną, to okaże się, że w Europie także pod tym względem panuje stagnacja. W futbolu od lat nie wydarzyła się żadna rewolucja, która odmieniłaby tę dyscyplinę. Amerykańska innowacyjność imponuje.

Drugie zdziwienie. W NBA królują teraz drużyny, które za „moich” czasów nie liczyły się zupełnie lub znikwały w tłumie. Teamy, które pamiętam jako wielkie, plasują się zaś w ogonie ligi. I znów uderza różnica z Europą: tutaj giganci są wciąż ci sami. Elita jest zabetonowana i trzeba jakiegoś bajecznie bogatego szejka, by kogoś do niej dokooptować. Zasadniczo jednak silni stają się coraz silniejsi i pozostawiają resztę w tyle. W USA system zaprogramowano tak, by wyrównywać szanse i zapobiec swego rodzaju sportowej oligarchii. Temu służy „draft”, czyli pozyskiwanie przez najsłabsze drużyny w lidze najlepszych koszykarzy z ligi uniwersyteckiej. Także bezpieczniki finansowe nie pozwalają najbogatszym na dominację. Hierarchia nieustannie się zmienia.

Tak więc zarywam te noce, oglądając play-offy, i wydaje mi się, że wszelkie doniesienia na temat śmierci Ameryki są jednak przedwczesne. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Śmieci

Są różne teorie na temat ewentualnej zagłady gatunku ludzkiego. Jedni obawiają się wojny nuklearnej, inni komety, zwolennicy globalnego ocieplenia rywalizują z prorokami globalnego zlodowacenia. Osobiście najbardziej obawiam się, że zasypią nas śmieci. Plastikowe śmieci – plaga naszych czasów. Rzadko które dyrektywy Unii Europejskiej wzbudzają moje zadowolenie, jednak wojna wydana plastikom wywołuje moją gorącą akceptację. Dzięki doniesieniom o pożarach śmietnisk dowiadujemy się, jak wiele jest ich w naszym kraju i jak niepostrzeżenie staliśmy się śmietnikiem narodów.

Skądinąd śmieceniu na skalę przemysłową sekunduje śmiecenie indywidualne. I to jest zjawisko globalne. Zwiedzając malownicze zakątki świata, odczuwałem wręcz

fizyczny ból, kiedy widziałem sawannę upstrzoną jednorazowymi kubkami, pobocza dróg pełne jednorazowych torebek i bajeczne

Twierdzenie, że ludzie w fabrykach stracą pracę, jest demagogią

plaże pozornie bezludnych wysp przypominające miejskie wysypiska. Tutaj nie pomoże żadne „sprzątanie Ziemi”. Musi nastąpić powrót do tradycyjnych sztuców i nakryć, toreb i opakowań.

Cała cywilizacja musi zrezygnować z części wygody na rzecz trwałości. Tylko tak przyhamujemy szaleństwo bezsensownej konsumpcji – nakazujące wymieniać sprzęty co parę lat. Oczywiście wielkie firmy stracą. Jednak ile mogliby zyskać ludzie? Dłaczego nie możemy wrócić do solidności? Twierdzenie, że ludzie w fabrykach stracą pracę, jest demagogią i tak większość roboty wykonują tam automaty. A ile osób mogłoby otrzymać pracę w usługach, serwisach, punktach naprawy.

Świat pełen przedmiotów jednorazowych odzyskałby wiele barw i smaków, odnowiłyby się relacje międzyludzkie. A pogoń za tym, co wprawdzie barwne i łatwe, ale jednocześnie płytkie i powierzchowne, ustąpiłaby miejsca refleksji, poszukiwaniu różnorodności indywidualności.

Tak naprawdę jednorazowe jest przecież tylko życie ludzkie zagubione w stertach piętrzących się gadżetów przeważnie tak naprawdę nikomu niepotrzebnych. ©©



Ewa Polak-Pałkiewicz

Czy możemy winić polityków, że nie bronią uparcie życia nienarodzonych, skoro to wynik erozji w samym Kościele?

Arkadiusz Stelmach w numerze „Do Rzeczy” 20/2018 niepokoi się, że politycy sprawujący dziś w Polsce władzę nie tylko nie spieszą się z ustawą chroniącą życie, lecz także nie wypowiadają konwencji stambulskiej, są za „zrównoważonym rozwojem”, nie polemizują z lewicowymi hasłami polityki globalnej. Jak to wszystko „można pogodzić z przywiązaniem do głoszonej przez Jana Pawła II wartości, którą jest obrona życia od poczęcia do naturalnej śmierci”? – pyta bohater wywiadu.

ZMIANA W KOŚCIELE

Mam wrażenie, że rozmówca „Do Rzeczy” oczekuje od polityków obozu rządzącego, iż będą „bardziej papiescy od papieża”. W tego rodzaju zarzutach pomija się bowiem fakt najistotniejszy: nauczanie najbardziej znaczących osób w Kościele uległo od czasu ostatniego soboru poważnej zmianie. Za zmianami teologicznymi poszły nieuchronnie modyfikacje w nauczaniu moralnym. Za nimi idą postawy ludzi. Mimo że Jan Paweł II głosił zawsze konieczność obrony prawnej nienarodzonych, jego pontyfikat naznaczony był wcielaniem w życie posoborowej „odnowy”. Odległe skutki tej wielkiej operacji pogodzenia Kościoła ze światem możemy obserwować dziś w Polsce.

Zmiana ta obecna jest zarówno w instytucjach soborowych, w nowym Katechizmie Kościoła katolickiego, Kodeksie prawa kanonicznego, w wypowiedziach posoborowych papieża, także kardynałów i biskupów, w duszpasterstwie, w formacji seminarystów. Wiele mówiło się swego czasu o „uchu soboru”, który wymiół z seminariów, parafii i klasztorów tysiące osób, ale warto też zauważyć, jak zmienił się język Kościoła. Stopniowo odchodzi on od definicji dogmatycznych, od jasno wyłożonych prawd katechizmy, na korzyść zawiłych lub niejednoznacznych określeń. Przykładem nowej szkoły definiowania prawd religijnych są



Pułapki „religii praw człowieka”

pojęcia „dialogu” oraz „wartości chrześcijańskich”.

„Wartości” wprowadził do filozofii i etyki w XX w. Max Scheler; w nauczaniu Kościoła aż do soboru zestaw „wartości” nigdzie nie figuruje. Rozprawa habilitacyjna Karola Wojtyły nosi tytuł: „Próba opracowania etyki chrześcijańskiej

według systemu Maxa Schelera”. Przedtem w Kościele mówiło się o „dobru doczesnym i wiecznym”, o „świętości”, o „cnotach”, zdefiniowanych i usystematyzowanych. Kościół miał jako podstawę nauki o Bogu filozofię realistyczną św. Tomasza z Akwinu, przemawiał do rozumu ludzkiego – nie do uczuć – religia

wszak to Objawienie. Pierwszą zasadą religii katolickiej jest Słowo, czyli myśl, nie „życie” ani „miłość”.

Odejście we współczesnym nauczaniu Kościoła od filozofii realistycznej utoro- wało drogę nowemu myśleniu o Bogu. Wielu ekspertów soboru było wyznaw- cami teorii Teilharda de Chardin TJ, którego prace aż do soboru znajdowały się na indeksie. Jego nauki interpretujące Wcielenie i Odkupienie Jezusa Chrystusa zgodnie z zasadą ewolucji fascynowały intelektualistów katolickich ery sobo- rowej. W dziełach polskiego papieża znajduje się także niemało myśli zaczerp- niętych z jego teorii Boga, który swoje „dopełnienie” znajdować ma w człowie- ku i jest utożsamiony z wiecznym proce- sem przemieniającego się Kosmosu.

LIBERALNIE DO ŚWIATA

– Jesteśmy krajem chrześcijańskim od ponad 1050 lat – mówił w „Do Rzeczy” Arkadiusz Stelmach. – To chyba wy- starczający czas, by nauczyć się obrony wartości. To my wydaliśmy na świat Jana Pawła II, który nie kalkulował, czy opłaca się bronić życia – zauważał.

Zdaje się jednak zapominać, że zmiana w Kościele czasu soboru owocowała liberalnym podejściem do oferty świata, czego przykładem była m.in. wyraźna za- chęta Jana Pawła II, by polscy katolicy nie obawiali się wejścia do UE. Mimo że za- równo założenia, jak i skutki globalizacji, obecność w dokumentach unijnych „praw człowieka”, z niepodważalnym prawem „wolności”, czyli czynienia z własnym ciałem, co tylko człowiekowi przyjdzie do głowy, nie były żadną tajemnicą. To zmiana nastawienia części hierarchii Kościoła do współczesności, a nie ambicje Jana Pawła II jako Polaka, przekonanie, że nasze przystąpienie do Unii jest czymś głęboko sprawiedliwym, kryły się za zachętami, które polscy katolicy odebrali jako zobowiązanie, pomimo wątpliwości.

Jednak co naprawdę kryło się za hasłami odnowy Kościoła, uwspółcze- śnienia go, otwarcia się na świat? Skoro „nowa teologia” nie jest oddawaniem za pomocą zrozumiałych formuł niezmien- nej prawdy, lecz – jak się dziś nieustan- nie podkreśla – ujmowaniem w słowa doświadczeń i przeżyć ludzi wierzących, to natury subiektywnych i zmiennych, to subiektywna i zmienna musiała stać się także teologia. Musiał się zmienić także cel, jaki Kościół stawia światu. Wcześniej papież wymagał, by przywódcy państw,

w których większość stanowią katolicy, odpowiadali moralnie za społeczności, którym przewodzą, by dbali o realizowa- nie ostatecznego celu człowieka – a więc także celu państw. Aby chronili „jedyną prawdziwą religię” i jej pryncypia. Dog- mat „poza Kościołem nie ma zbawienia” nie był traktowany jako obciążona daw- ną, „ciasną” mentalnością formuła, którą można dowolnie manipulować.

Gdy na soborze zadeklarowano otwarcie na współczesność, odstąpiono od potępienia tego, co Kościół piętnował dotąd jako ewidentne zło zagrażające zbawieniu: kłamstwa i błędu. Mimo że domagała się tego duża grupa biskupów, sobór nie potępił komunizmu. Rozpoczął erę „dialogu”, podpierając się postula- tami ekumenizmu, wolności religijnej i kolegalizmu, zakładając, że wszyscy ludzie na świecie, niezależnie od religii, chcą dobra. Celem stało się dla Kościoła zjednoczenie ludzkości, światowy pokój.

Swoją naukę moralną dotyczącą zła aborcji Jan Paweł II oparł na prawach człowieka. Dlatego są one w powszech- nym użyciu, tak jak „niezbывalna godność osoby ludzkiej”. Już nie grzech przeciw Bogu, ale zło wyrządzone czło- wiekowi jest tym najgorszym wykro- czeniem. Dawniej przypomniano piąte przykazanie: „Nie zabijaj”.

Jeśli gromy sypią się dziś na papieża Franciszka, który na własną rękę, jako re- ligijny satrapa, wprowadzać ma nasączo- ną marksizmem moralność i teologię, to zapomina się, że argentyński papież krok po kroku realizuje założenia soborowe, nie dodając od siebie w zasadzie nic. Wyróżnia go tylko większa determinacja we wcielaniu ich w życie.

WSZYSTYCH ZBAWIENI?

Dzięki sukcesowi „nowej teologii” zmarginalizowany został grzech pier- worodny. Wszyscy ludzie na ziemi są zbawieni, niezależnie od tego, w co wie- rzą i jak żyją. Etyka oparta na „prawach człowieka”, „godności osoby ludzkiej” i „dialogu” powołuje się także na ekume- nizm; nawracanie zyskało dziś pogardli- wą nazwę „prozelityzmu”.

„Wiosna Kościoła” zapowiadana przez autorów tych zmian jednak nie nadeszła. Konsekwencją – oczywiście nie należy zapominać o wpływie współczesnej kul- tury – są puste seminaria, duch anarchii w instytucjach Kościoła, a także coraz większe zmateriałizowanie rzesz katoli- ków, przyjęcie nowych standardów życia

rodzinnego. Ma ono dawać pełną satys- faksję, pomagać w „samorealizacji”. Coraz częściej – także wśród osób wierzących – uważa się, że nowe dziecko w rodzinie może ten ideał zniweczyć. Optymizm Congara, de Lubaca, Karla Rahnera, o. Chenu, także Karola Wojtyły, należą- cego do grona zwolenników wielkiego otwarcia Kościoła na współczesny świat, okazał się nieuzasadniony. Człowiek w tym świecie nie okazał się „lepszy”. „Dialog ze światem” okazał się monolo- giem, w którym mówi tylko jedna strona. Wizja posoborowej „wiosny Kościoła” i zwycięstwa „cywilizacji miłości”, którą głosił polski papież, okazała się utopią.

Być może polscy politycy, w których rękach spoczywa los ustawy zakazującej aborcji eugenicznej, zdają sobie z tego sprawę. Wiedzą, że między postawą katolików sprzed jeszcze 50 lat a posta- wą dzisiejszych istnieje różnica. „Posza- nowanie praw człowieka” nie zastąpi „bojaźni Bożej”, którą dziś wyśmiewa się jako niezgodną z „wiarą dojrzałą”. Ludzie, którzy zwykli sobie ułatwiać życie, zy- skali nowe usprawiedliwienie dla swoje- go wygodnictwa. A sprzeczności między współczesnymi „wartościami” i dogma- tami wiary oraz zasadami moralności katolickiej nie da się pokonać.

O niedobrym klimacie wokół obrony życia przesądza nie to, że obecnie w Papieskiej Akademii Życia „doszło do głębokich zmian” i znaleźli się tam „ludzie, którzy reprezentują cywiliza- cję śmierci” – jak podkreśla bohater wywiadu w „Do Rzeczy”. W Kościele nie dzieje się nic z dnia na dzień. Kiedyś był on rzeczywiście sumieniem narodu w Polsce i w krajach takich jak Irlandia, Włochy, państwa Ameryki Południo- wej. Katolicy podporządkowywali się mu jako autorytetowi wewnętrznemu. Dzisiaj mamy do czynienia z gwałtowną reakcją na posoborową rewolucję. Także Polacy odrzucają „autorytet zewnętrz- ny”, zdanie polskiego papieża na temat nienarodzonych nie jest dla nich wią- żące; chcą myśleć na własny rachunek, odpowiadać za swoje czyny wyłącznie przed swoim sumieniem. Stąd biorą się coraz głębsze antagonizmy w spo- łeczeństwie, niedawno jeszcze jedno- litym, mało różnicowanym, spójnym. Czy więc pretensje do polityków, że to „przez nich giną w Polsce dzieci niena- rodzone”, są uzasadnione? Czy nie są myleniem skutków z przyczyną?



Krzysztof Masłoń

21 maja papież Franciszek podpisał dekret o heroicznosci cnót kard. Augusta Hlonda. Tym samym na ostatniej prostej znalazł się proces beatyfikacyjny Wielkiego Prymasa II Rzeczypospolitej, jak nazywał go Jan Paweł II

Nie dane nam było cieszyć się tą wiadomością, tak ważną dla polskiego Kościoła, dla każdego katolika. Oto beatyfikacji polskiego hierarchy kategorycznie sprzeciwił się Komitet Żydów Amerykańskich (AJC), zarzucając księdzu prymasowi „niezwykle negatywne podejście do społeczności żydowskiej”. Do kard. Kurta Kocha, przewodniczącego papieskiej Komisji ds. Kontaktów Religijnych z Judaizmem, specjalny list w tej sprawie wysłał rabin David Rosen, szef AJC, ostrzegając, że beatyfikacja księdza prymasa Hlonda postrzegana będzie przez społeczność żydowską (i poza nią!) jako wyraz aprobaty stanowiska wobec Żydów, jakie zajmował on przed wojną, po wojnie i w trakcie wojny, gdy przed mikrofonami Radia Watykańskiego mówił o prześladowaniach Kościoła katolickiego w Polsce przez nazistów (czytaj: Niemców), a nie o losie, jaki zgotowali najeźdźcy Żydom. Zaczniemy może od pytania: Co na ten temat mógł wiedzieć August Hlond w 1939 r.?

Kłęska Polski we wrześniu 1939 r. nie była dla będącego papieżem od 2 lutego tegoż roku Piusa XII szczególnym zaskoczeniem. Już 30 sierpnia w Castel Gandolfo powiedział francuskiemu praelatowi: „Polska będzie zgnieciona w ciągu kilku dni. Czy dobrze znacie siłę Niemiec? Jest to siła miazdząca”.

Po niemieckiej agresji opuścił Polskę nuncjusz papieski Filippo Cortesi wraz z radcą nuncjatury Alfredo Pacinim, a w ślad za nimi ksiądz prymas Hlond. Z tym że Cortesi został w Rumunii, gdzie z ramienia Stolicy Apostolskiej organizował pomoc charytatywną dla znajdujących się tam Polaków, a Hlond – zgodnie z wytycznymi otrzymanymi od najwyższych władz Rzeczypospolitej – udał się do Rzymu, gdzie miał za



Uczyń z nami cud...

FOT. MUSEUM NIEPODLEGŁOŚCI I SIŁY NEWS



zadanie reprezentować sprawę polską w Watykanie. Jeszcze w Rumunii zdążył odrzucić przedstawioną mu przez Ignacego Mościckiego ofertę prezydentury. Zrezygnował również z urzędu premiera, który chciał mu powierzyć Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

GESTAPOWSKIE NAMOWY

Przez papieża przyjęty został najprawdopodobniej 21 września. Na ten temat istnieją różne, sprzeczne zresztą przekazy. Wiadomo, że prymas był faworytem poprzedniego papieża Piusa XI. W kontekście tego rażąco brzmi następujące francuskie świadectwo: „Papież zwlekał trzy dni z udzieleniem Hlondowi audiencji i przyjął go lodowato, dając mu do zrozumienia, że winien się znajdować wśród swojego ludu”. Jeśli nawet tak było, to lody szybko zostały przełamane, zarówno na skutek działalności księdza prymasa w Rzymie (m.in. opublikował dwa memoriały o sytuacji religijnej w Polsce, opracowane na podstawie relacji otrzymanych z kraju), jak i wiadomości, których dostarczył papieżowi przybyły z Rumunii monsignore Cortesi.

Watykan początkowo naciskał na powrót księdza prymasa do Polski, a chęć taką deklarował i sam zainteresowany, z tym że potrzebna była zgoda Berlina, a tej hitlerowcy konsekwentnie odmawiali. W końcu Hlond wyjechał, ale do Francji, i to wtedy, gdy polski rząd emigracyjny opuścił Angers i udał się do Anglii. W czerwcu 1940 r. prymas zamieszkał w Lourdes w domu bp. Georges’a Choqueta. Starania w celu powrotu do Polski, jakie tu z kolei podjął, również spełzyły na niczym; rząd Vichy pod niemiecką presją odmawiał mu wizy wyjazdowej.

W listopadzie 1942 r., gdy Niemcy zajęli południową Francję, kard. Hlond schronił się w opactwie benedyktyńskim w Hautecombe w Sabaudii, gdzie został aresztowany przez Niemców 3 lutego 1944 r. i przewieziony do więzienia w Paryżu. Przebywał tam dwa miesiące, bezskutecznie namawiany przez gestapo do udziału w propagandowej kampanii antykomunistycznej za cenę umożliwienia powrotu do Polski. Prymas zdecydowanie odmówił, co spowodowało – jak twierdził w swoim raporcie francuski podprefekt – że niemiecki oficer wyraził ubolewanie, iż nie może księdza prymasa zlikwidować, jak się to robi z innymi. A gdy usiłowano Hlonda zastraszyć, od-

powiedzieć miał – co potwierdzają słowa zatrzymanego razem z nim jego sekretarza, ks. Filipiaka – „Prawie siedemnaście lat jestem kardynałem i niczego więcej już na tej ziemi nie oczekuję oprócz, być może, zostania Papieżem. Tak więc mówię wam, że nic już nie pragnę, z wyjątkiem jednej rzeczy i co też możecie zrobić, spowodować, żebym umarł za moją Ojczyznę”.

Na to, oczywiście, Niemcy się nie zdecydowali i 5 kwietnia 1944 r. przewieźli księdza prymasa do Bar-le-Duc, gdzie internowano go w miejscowym klasztorze. Wywieziony stamtąd do Niemiec, do Wiedenbrück w Westfalii, uwolniony został w pierwszych dniach kwietnia 1945 r. przez wojska amerykańskie.

ANI Z BIERUTEM, ANI Z OSÓBKĄ

Po uwolnieniu kard. August Hlond pojechał do Rzymu, gdzie 30 kwietnia 1945 r. został przyjęty przez papieża. Wyposażony przez Piusa XII w nadzwyczajne pełnomocnictwa 20 lipca powraca do Polski, owacyjnie witany przez wiernych, i dekretem z 15 sierpnia tegoż roku, na mocy papieskich pełnomocnictw, ustanawia na ziemiach nad Odrą i Nysą pięciu administratorów apostolskich, mających bez sakry biskupiej tymczasowo sprawować funkcje biskupów. Nie uzna ich komunistyczny reżim i w końcu usunie ich w styczniu 1951 r. W następnym miesiącu prymas Stefan Wyszyński uda się z wizytą do Bieruta, czego nigdy nie uczynił Hlond, według którego – co zwykł podkreślać – „nie pertraktuje się z diabłem”. Z Edwardem Osóbką-Morawskim, premierem Rządu Tymczasowego, też nie chciał rozmawiać. Czy oznacza to, że prymas Hlond nie złożyłby swojego podpisu pod porozumieniem z 14 kwietnia 1950 r. między przedstawicielami rządu i episkopatu, w którym za pewną niezależność Kościoła biskupi zobowiązali się m.in. – cytuję – „potępiać wszelkie wystąpienia antypaństwowe”, „zwalczać zbrodniczą działalność band podziemia i karać konsekwencjami kanonicznymi duchownych, winnych udziału w jakiegokolwiek akcji podziemnej i antypaństwowej”, a nawet „nie przeciwstawiać się rozbudowie spółdzielczości na wsi”? Naturalnie, można tu jedynie „gdybać”, prymas August Hlond zmarł 22 października 1948 r. w warszawskim szpitalu elżbietanek, w wyniku nieoczekiwanych komplikacji po udanej (!) operacji wzrostka robaczkowego.

Na razie mamy jeszcze rok 1945, w którym już we wrześniu zapada decyzja określająca charakter przyszłych stosunków episkopatu i władz państwowych, a mianowicie zerwanie konkordatu przez reżim. Nieco wcześniej ówczesny ambasador rządu de Gaulle'a przy Watykanie raportuje do Paryża w związku z wyjazdem Hlonda do Polski: „Prawdopodobne jest, że Prałat ma złe zdanie sprawy z sytuacji życia religijnego w Polsce. Jeżeli dostateczne gwarancje w tej dziedzinie będą udzielone, to droga do uznania – w każdym razie, wydaje się, bliskiego – nowego rządu polskiego przez Stolicę Apostolską będzie otwarta. Zbyteczne byłoby podkreślanie znaczenia, jakie miałyby ta decyzja dla przyszłości katolicyzmu w Europie Środkowej i jakie mogłyby mieć konsekwencje dla stosunków między Kościołem i ZSRS. Jeśli weźmie się pod uwagę uczucia kardynała dla Rosji podczas jego pobytu w Rzymie, to nie można zresztą być pewnym, czy informacje, które dostarczy Stolicy Apostolskiej, będą wolne od wszelkich uprzedzeń”.

Nadawcą tego raportu był Jacques Maritain, sławny francuski filozof i teolog, guru przedwojennego „Verbum” i „Odrodzenia”, idol Jerzego Turowicza i Stefana Świeżawskiego, przyjaciel Józefa Czapskiego, przez ostatnie trzy lata życia (zmarł w roku 1973) zakonnik, ale konwertyta, wychowany w duchu protestanckim.

„Maritain pisał ten raport – komentował sprawę w »Zeszytach Historycznych« w 1987 r. Tadeusz Wyrwa – w okresie, gdy polityka generała de Gaulle'a nastawiona była na ścisłą współpracę z Moskwą, zapoczątkowaną już podczas wojny i umiejętnie wykorzystaną przez francuską partię komunistyczną, która dzięki de Gaulle'owi została zrehabilitowana za swoją działalność od czerwca 1941 i Maurice Thorez, sekretarz generalny tej partii, który po dezercji w 1939 schronił się do Moskwy, został przez de Gaulle'a ułaskawiony i mianowany ministrem w jego rządzie. Maritain, filozof i pisarz katolicki, wyznawca tzw. katolicyzmu otwartego, okazał się również »otwarty« dla symbiozy katolicyzmu z komunizmem”.

TU NIE CHODZI O ANTYSEMITYZM

Podobną symbiozę ksiądz prymas Hlond absolutnie wykluczał. Co nie znaczy, że sprawował swą kościelną władzę autorytarnie. Przeciwnie, ten od 1946 r.

metropolita gnieźnieńsko-warszawski dzielił się nią – najpierw z arcybiskupem (od 1946 r. kardynałem) Adamem Sapiehą, następnie poszerzając ją do triumwiratu z sekretarzem episkopatu Zygmuntem Choromańskim. I choć rozbieżności między Hlondem a Sapiehą, nazywanym Księciem Niezłomnym, nie były dla nikogo tajemnicą, to obaj nie dopuścili do zasadniczych pęknięć w polskim Kościele.

Arcytrudny powojenny okres zapisał się w pamięci narodu m.in. ingresem księdza kardynała na osieroconą stolicę arcybiskupią w Warszawie, odbudową stołecznych kościołów, którą kierował, oraz uroczystym aktem zawierzenia Polski Niepokalanemu Sercu Maryi, co stało się w Częstochowie 8 września 1946 r. w obecności całego episkopatu i ponad miliona wiernych.

Charakterystyczne jest tutaj zdanie, które kard. Sapieha powiedział po śmierci prymasa: „Hlond popełnił w swoim życiu dwa błędy: był nieobecny w Polsce podczas wojny i zbyt wcześnie umarł”. Na szczęście dla polskiego Kościoła zdążył prymas Hlond wyznaczyć swego następcę w osobie uważanego wtedy przez wielu za zbyt młodego, co znaczy również – za mało doświadczonego, biskupa lubelskiego ks. Stefana Wyszyńskiego.

Z zarzutów AJC przeciwko księdzu prymasowi (a w gruncie rzeczy także jego następcy, bo pretensje są tu takie same) najpoważniej brzmią te dotyczące pogromu w Kielcach, w którym 4 lipca 1946 r. zginęło 40 osób, w tym 37 Żydów, a drugie tyle zostało rannych. Prymas Hlond miesiąc przed tymi tragicznymi wypadkami odmówić miał prezesowi Światowej Federacji Żydów Polskich Józefowi Tenenbaumowi i Olgierdowi Górcce, szefowi Wydziału Żydowskiego w polskim MSZ, którzy wobec wzrostu w kraju incydentów antysemickich domagali się wydania przez niego oświadczenia potępiającego te zbrodnie o charakterze rasowym. Zdaniem Hlonda morderstwa te miały raczej charakter polityczny, nie rasowy. Po tym, co stało się w Kielcach, reakcja księdza prymasa była podobna. Czy zresztą mogłaby być inna, skoro propaganda o zbrodnię oskarżała andersowców, NSZ i WiN? Czy przyznać się miał do jednogłośnie brzmiącego chóru? Czy miał zamknąć oczy na rzeczywistość i nie widzieć Żydów na najwyższych stanowiskach w systemie narzuconym Polakom

i przez nich nieakceptowanym, a przede wszystkim w znienawidzonym Urzędzie Bezpieczeństwa? Po latach tacy znawcy stosunków polsko-żydowskich jak Gross oraz Michnik orzekli, że bezpośrednią winę ponosi polski motłoch, a pośrednią, jakżeby inaczej, Kościół katolicki i jego biskupi, dający społeczne przyzwolenie na mordowanie Żydów. Ciekawe, że nawet Marek Edelman w 2008 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” mówił: „[...] tu nie chodzi o antysemityzm. I tak jak nie można utożsamiać antysemityzmu z Holocaustem, tak samo nie można tego robić w odniesieniu do akcji wagonowej czy pogromu. Mordowanie Żydów to był czysty bandytyzm i ja bym tego antysemityzmem nie tłumaczył”.

WATYKAŃSKIE WPŁYWY

August Hlond urodził się 5 lipca 1881 r. w Bręczkowicach, dzisiejszej dzielnicy Mysłowic, w wielodzietnej, biednej, ale bardzo pobożnej rodzinie dróżnika kolejowego Jana Hlonda i Marii z domu Imiela. Miał aż 11 rodzeństwa. Wraz z braćmi uczył się w szkole salezjańskiej, skąd wysłany został na dalszą naukę do Turynu. Włoskie studia filozoficzno-teologiczne zakończył w roku 1900. Po powrocie do kraju prowadził domy salezjańskie, m.in. w Przemyślu, studiował również literaturę polską na uniwersytetach we Lwowie i w Krakowie. W tym ostatnim w roku 1905 otrzymał święcenia kapłańskie.

Przez 10 lat kierował domem salezjańskim w Wiedniu, został prowincjałem salezjańskiej prowincji obejmującej południowe Niemcy, Węgry i Austrię. W 1919 r. w Wiedniu poznał Achille Rattiego, późniejszego papieża Piusa XI, co wpłynęło na jego dalsze losy. I tak w 1922 r. mianowany został administratorem apostolskim w Katowicach, a po utworzeniu diecezji katowickiej konsekrowany na tamtejszego biskupa. 24 czerwca 1926 r. papież mianował go arcybiskupem gnieźnieńskim i poznańskim oraz prymasem Polski. Po roku otrzymał kapelusze kardynalski.

Okazał się świetnym organizatorem, m.in. Akcji Katolickiej z siedzibą w Poznaniu i Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej. Na dystans trzymał polityków, i to zarówno bliższej mu opcji narodowej, jak i – po zamachu majowym – sanacji. Sprzeciwiał się świeckim małżeństwom cywilnym i rozwodom, piętnował działalność wolnomyślicielską i masonską, wymierzona – jego zdaniem

– nie tylko w Kościół, lecz także w ideę silnej Polski. Jego wpływy watykańskie powodowały, że zaczęto wymieniać go jako kandydata na nowego sekretarza Stolicy Apostolskiej, a nawet przyszłego papieża (o ile kardynałowie dopuściliby do siebie tak w owym czasie rewolucyjną myśl, że urząd papieski nie jest zarezerwowany dla Włochów).

BĄDŹMY SPRAWIEDLIWI

29 lutego 1936 r. w obliczu nasilających się ekscesów o charakterze antysemitycznym Hlond wystosował list pasterski do wiernych. „Problem żydowski istnieje i istnieć będzie – pisał w nim – dopóki żydzi będą żydami. W poszczególnych krajach to zagadnienie ma różne natężenie i różną aktualność. U nas jest ono specjalnie trudne i powinno być przedmiotem specjalnych rozważań.

Faktem jest, że Żydzi walczą z kościołem katolickim, tkwią w wolnomyślicielstwie, stanowią awangardę bezbożnictwa, ruchu bolszewickiego i akcji wywrotowej. Faktem jest, że wpływ żydowski na obyczajność jest zgubny, a ich zakłady wydawnicze propagują pornografię. Prawdą jest, że Żydzi dopuszczają się oszustw, lichwy i prowadzą handel żywym towarem, prawdą jest, że w szkołach wpływ młodzieży żydowskiej na katolicką jest na ogół pod względem religijnym i etycznym ujemny.

Ale – bądźmy sprawiedliwi. Nie wszyscy Żydzi są tacy. Bardzo wielu Żydów to ludzie wierzący, uczciwi, sprawiedliwi, miłośni, dobroczyjni. W bardzo wielu rodzinach żydowskich zmysł rodzinny jest zdrowy, budujący. Znamy w świecie żydowskim ludzi także pod względem etycznym wybitnych, szlachetnych, czcigodnych”.

W tym samym liście ksiądz prymas akcentuje: „Przestrzegam przed importowaną z zagranicy postawą etyczną, zasadniczo i bezwzględnie antyżydowską. Jest ona niezgodna z etyką katolicką. Wolno swój naród więcej kochać; nie wolno nikogo nienawidzić. Ani żydów.

W stosunkach kupieckich dobrze jest swoich uwzględniać przed innymi, omijać sklepy żydowskie i żydowskie stragany na jarmarku, ale nie wolno pustoszyć sklepu żydowskiego, niszczyć Żydom towarów, wybijać szyby, obrzucać petardami ich domów.

Należy zamykać się przed szkodliwymi wpływami moralnymi ze strony żydostwa, oddzielać się od jego anty-

chrześcijańskiej kultury, a zwłaszcza bojkotować żydowską prasę i żydowskie demoralizujące wydawnictwa, ale nie wolno na żydów napadać, bić ich, kaleczyć, oczerniać. [...]

Mieście się na baczności przed tymi, którzy do gwałtów antyżydowskich judzą. Służą oni złej sprawie”.

Nie tylko amerykańskich Żydów oburza dziś list księdza prymasa Hlonda. Znany holenderski syjonista Jan Rogier dopatrywał się w nim np. „skrajnego antysemityzmu”. I to jest bzdura, nie tylko ze względu na rozróżnianie przez prymasa „złych” i „dobrych” Żydów. W 1990 r. podczas sympozjum teologicznego „Kościół a Żydzi i judaizm” wypowiedział się odnośnie do słów Hlonda z 1936 r. bp Henryk Muszyński, diagnozując: „Głęboki kryzys gospodarczy lat 1929–1935 przyczynił się jeszcze do ostrej rywalizacji i walki ekonomicznej, która przybrała nieraz formę bojkotu Żydów. Nie poprawiał ogólnej sytuacji syjonistyczny ruch Żydów, dystansujący się w sposób świadomy od tak niedawno odrodzonego

nym w „Gazecie Wyborczej” w dwóch częściach w roku 2006 tekście „Pogrom kielecki. Dwa rachunki sumienia”), tak utrzymują też amerykańscy Żydzi, których zasługi w kwestii zaniechania bądź choćby ograniczenia ludobójstwa swoich współbraci na terenie okupowanej Polski są – jak powszechnie wiadomo – nieocenione. Po prostu nie kiwnęli wtedy palcem, a wrogiem komitetu był wówczas nie hitleryzm, ale – niezależnie od tego, jak to dziwnie brzmi – syjonizm. Pokładali też nadzieję w jakże miłym ich sercu Franklinie Delano Rooseveltcie, który – istotnie – nie zawiódł ich i w końcu przystąpił do wojny, ale nie ze względu na eksterminowanych Żydów, tylko z uwagi na to, co Japończycy zrobili z amerykańskimi okrętami w Pearl Harbor.

W dyskusji internautów wywołanej pytaniem, dlaczego Komitet Żydów Amerykańskich nie wpłynął na United States Air Force, by zbombardowały linie kolejowe wiodące do Auschwitz i choćby w ten sposób uratowały wiele istnień ludzkich, półżartem ktoś stwierdził, że

Prymasa Hlonda, po podpisaniu przez papieża Franciszka dekretu o heroiczności jego cnót, od beatyfikacji dzieli już jedynie potwierdzenie cudu za jego wstawiennictwem

polskiego państwa. Nie da się zatem zaprzeczyć, że w latach, o których mówimy, »problem żydowski« istniał, nawet jeśli występująca tu niechęć czy wrogość do Żydów nie miała nigdy podłoża rasowego, lecz najczęściej ekonomiczne, a także religijne i narodowe”.

ZUPEŁNIE INNA NARRACJA

Niby to oczywiste, Komitet Żydów Amerykańskich przyjmuje jednak zupełnie inną narrację, w myśl której polski Kościół katolicki jest – jak nazywa go „znamienity i wypróbowany” adwokat sprawy polskiej w świecie, Jan Tomasz Gross – wielkim nieobecny Zagłady polskich Żydów. A już hierarchowie polskiego Kościoła to istna tragedia. Z Hlondem i Wyszyńskim na czele, bo nie wystąpili oni przeciw pogromowi kieleckiemu w 1946 r. Jeden jedyny był sprawiedliwy w tej Sodomie – biskup częstochowski Teodor Kubina, no to go episkopat potępił. Tako rzekł Zaratustra, przepraszam – Michnik (w wydrukowa-

lotnictwo Stanów Zjednoczonych nie podlegało AJC. To na pewno, ale na inne pytanie: „Czy to Komitet Żydów Amerykańskich decyduje o tym, kto w Kościele katolickim może zostać, a kto nie, Błogosławionym Sługą Bożym?”, odpowiem: „Jeszcze nie, ale uzurpuje sobie do tego prawo”. Prymasa Hlonda, któremu po podpisaniu przez papieża Franciszka dekretu o heroiczności jego cnót przysługuje tytuł Czciwego Sługi Bożego, od beatyfikacji dzieli już jedynie potwierdzenie cudu za jego wstawiennictwem. A zatem: „Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud. Słuchaj, słuchaj, uczynź z nami cud”. Wprawdzie ten lud wysłał antysemityzm z mlekiem matczynym, ale coś mu się od życia należy, a nie tylko ciosanie kołków na głowach, w czym wyspecjalizowali się ludzie nazywani, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, naszymi starszymi braćmi w wierze.

Jeśli już koniecznie musimy mieć rodzeństwo, to poszukajmy go sobie gdzie indziej.

Światowy Związek Żołnierzy... PRL?



Sławomir Cenckiewicz

To chichot historii: w ścisłym kierownictwie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej są ludzie z komunistyczną przeszłością

Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej jest największą organizacją kombatancką w Polsce. Powstał w 1990 r. z połączenia Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej, Związku Żołnierzy Armii Krajowej i organizacji kombatanckich polskiego wychodźstwa. Swojego poparcia Związkowi udzieliła Federacja Światowa Stowarzyszenia Polskich Kombatantów – weterański gigant polskiego uchodźstwa skupiający żołnierzy PSZ, AK i NSZ. Związek miał być zatem po odzyskaniu niepodległości symbolem odrodzonego ruchu kombatanckiego w kraju. I pomimo przeniknięcia do Związku wielu ludzi niegodnych, o ZBOWiD-owskiej i agenturalno-esbeckiej przeszłości, organizacja pozostawała przez lata niepodległościowa i antykomunistyczna.

Jednak od dłuższego czasu niektórzy wypowiedzi prominentnych przedstawicieli Związku szokują. Krytyka państwowej „głoryfikacji Żołnierzy Wyklętych”, domaganie się awansów oficerskich dla ludzi o mało jednoznacznej postawie w PRL, a nawet o wątpliwej przeszłości kombatanckiej czy ataki na byłego ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza w związku z „apelem smoleńskim” wprowadzają w zdumienie. Jakby tego było mało, coraz częściej pojawiają się informacje, że część członków Prezydium Zarządu Głównego ŚZZAK – oczywiście „dla dobra” Związku

– chciałaby „za grube miliony” spieniężyć historyczną siedzibę PAST-y przy ul. Zielnej 39 w Warszawie.

I tutaj zasadne wydaje się postawienie pytania: Czy te niepokojące symptomy są związane z rolą, jaką w ŚZZAK odgrywają ludzie komunistycznego reżimu, którzy jeśli nawet nie przeszli do reszty Związku, to bez wątpienia próbują to uczynić.

AKTORZY DRUGIEGO PLANU

Prezesem Zarządu Głównego ŚZZAK jest formalnie prof. Leszek Żukowski – rocznik 1929, powstaniec warszawski i więzień niemieckiego obozu w Flossenbürgu. Nie był członkiem PZPR, nie uwikłał się we współpracę z bezpieką, starał się „normalnie żyć” w PRL, koncentrując się na pracy naukowej i akademickiej w Instytucie Badawczym Leśnictwa i Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Nie angażując się w antykomunistyczną działalność, zszedł z radaru bezpieki, która dawała mu paszport i umożliwiały wyjazdy zagraniczne, tym bardziej że na ogół delegowało go Ministerstwo Handlu Zagranicznego (był m.in. dyrektorem w Polsko-Kubańskim Biurze Projektów w Hawanie) i SGGW. Jego obecne wypowiedzi i polityczne preferencje mogą budzić niesmak, nie mają jednak związku z jakimkolwiek uwikłaniem.

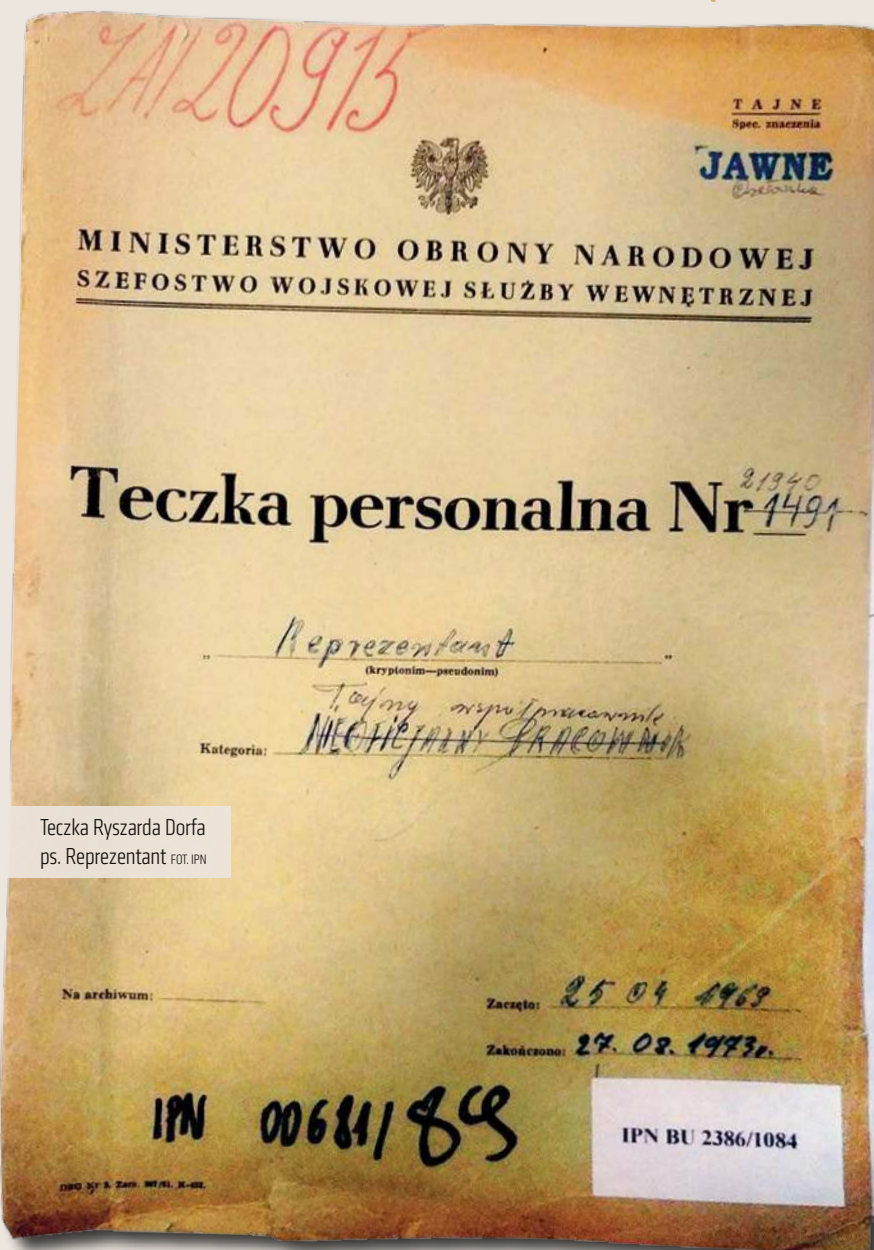
Wokół prezesa skupiło się jednak grono kilku osób, które w środowiskach kombatanckich zyskały opinię „szarych eminencji” kręcących Żukowskim i całą polityką Związku. Wśród nich wymienia się Mieczysława Szostka (rocznik 1933), Jerzego Żelaśkiewicza (ur. 1926), Ryszarda Dorfa (ur. 1941) i Marka Cieciorę (ur. 1945). W zasadzie wszystkich – chociaż w różnym stopniu – łączy niejasna przeszłość (czasem wprost komunistyczna) niezwiązana z AK i ruchem kombatanckim. Wszyscy zasiadają w Prezydium Zarządu Głównego

ŚZZAK, chociaż Szostek jest jedynie zastępcą członka prezydium i nie wiemy, co ten był poseł na Sejm PRL (1985–1989), przewodniczący Rady Narodowej miasta stołecznego Warszawy (1981–1990), „Zasłużony Lekarz PRL”, obieżyświat i członek Ogólnopolskiego Komitetu Grunwaldzkiego robi w organizacji kombatanckiej AK! Wprawdzie jedynym żołnierzem AK w tym gronie jest Żelaśkiewicz, ale jego akces i członkostwo w PZPR, praca w Najwyższej Izbie Kontroli (1950–1992), liczne odznaczenia państwowe (z lat 1956–1980) i wyjazdy zagraniczne w PRL nie pozwalają uznać go za wzór cnót kombatanckich w PRL.

PARTYJNIAK Z LWP

Pokretna przeszłość to jednak nie to samo co służba w komunistycznej armii i partyjniackie oddanie. Wiceprezesem związku ds. organizacyjnych jest Marek Cieciora (rocznik 1945). Jego oficjalny biogram, zamieszczony na stronie ŚZZAK, jest elegancki i wygładzony. Jego cały związek z AK to bycie synem Włodzimierza Janusza Wagińskiego, który zginął w powstaniu warszawskim. Poza tym raczy nas informacjami o kursach, specjalizacjach, cenzusie naukowym, pracy na kierowniczych stanowiskach w spółkach (m.in. w Prokomie), przygotowanych książkach poświęconych AK i działalności w Fundacji Polskiego Państwa Podziemnego oraz ŚZZAK...

W rzeczywistości Cieciora to również podpułkownik LWP i pułkownik WP (w służbie czynnej w latach 1963–1995) oraz informatyk (docent dr hab.) przydzielony do służby w Wojskowej Akademii Technicznej (1964–1995). Od młodości był zaangażowany politycznie – aktywista Komitetu Szkolnego ZMS, Zarządu Pułkowego Koła Młodzieży Wojskowej i członek PZPR od 1968 r. W prośbie o przyjęcie do



Teczka Ryszarda Dorfa
ps. Reprezentant FOT. IPN

Akta Dorfa są ogólnie dostępne w archiwum Wojskowego Biura Historycznego i nie potwierdzają tych rewelacji. Dorf od najmłodszych lat angażował się w działalność komunistyczną (w ZMP, ZMW i PZPR), a w 1961 r. zaciągnął się do LWP. Służąc we flagowej dla LWP Kompanii Reprezentacyjnej (1965–1974 i 1980–1983) z przerwą na studia w Akademii Sztabu Generalnego i służbę w 1. Praskim Pułku Zmechanizowanym (m.in. pomocnik szefa sztabu ds. operacyjnych), doszedł aż do stopnia podpułkownika LWP! „Jest szczerze oddany sprawie budownictwa socjalistycznego w Polsce. Aktywny członek partii, chętnie uczestniczy we wszelkich akcjach politycznych i w działalności społecznej” – czytamy w opinii z 1972 r. „Jako członek PZPR zajmuje właściwą postawę w zasadniczych kwestiach politycznych i pozytywnie oddziałuje na otoczenie”. „W pełni akceptuje i wciela w życie ideologię socjalistyczną. Umiejętnie łączy obowiązki dowódcze z pracą partyjno-polityczną” – pisano o nim w 1977 r. Podobnie oceniano Dorfa w stanie wojennym: „postawa ideowo-polityczna i etyczna ukształtowana właściwie” i „nie budzi zastrzeżeń”.

BAJKOPI SARZ Z LWP

Rzekome odejście Ryszarda Dorfa z LWP „na znak protestu wobec stanu wojennego” jest mistyfikacją. W rzeczywistości służył w wojsku praktycznie przez cały stan wojenny. W czerwcu 1983 r., czyli na miesiąc przed formalnym odwołaniem stanu wojennego (już wówczas zawieszonego od 31 grudnia 1982 r.), wojskowa komisja lekarska stwierdziła, że „wskutek forsownej musztry, jaką wykonywał w Kampanii Reprezentacyjnej WP” Dorf ma problemy ruchowe, które uniemożliwiają dalszą służbę. Od września 1983 r. Dorf był poza wojskiem.

Mijały lata i upadł komunizm, a Dorf nagle przypomniał sobie, że odejście z wojska w 1983 r. naraziło go na straty moralne i finansowe. Ligitymował się aktywnością w pozornie antykomunistycznej organizacji Viritim (kontrolowanej w dużej mierze przez WSI) i licznymi znajomościami. W listopadzie 1997 r. napisał do MON pismo, w którym twierdził, że „był w złotym Funduszu, a następnie Funduszu Przyspieszonego Rozwoju” i „wyróżniającym się oficerem pod każdym względem”, ale na początku 1983 r. popadł w niełaskę, gdyż „domagał się intensywnego szkolenia kadry

służby wojskowej w 1963 r. napisał, że jest „pozytywnie ustosunkowany do obecnego ustroju”. Zaufany. Kierowano go służbowo do Związku Sowieckiego. Ideowiec. Kiedy w sierpniu 1978 r. do sąsiada przyjechał Amerykanin i przy okazji poprosił żonę Cieciry o pomoc, ten złożył stosowny meldunek do komendanta WAT. W opiniach służbowych akcentowano zawsze jego partyjniackie oddanie i zaangażowanie w PZPR. Podczas „kryzysów” stawał na wysokości zadania: „W okresie poprzedzającym wprowadzenie stanu wojennego oraz po 13 grudnia 1981 r. jego postawa ideowo-polityczna była bez zarzutu” (opinia z 1981 r.). I dalej: „W bieżącym roku [1982] mianowany do stopnia podpułkownika. Aktualnie jest sekretarzem POP komórek naukowych, realizuje

prawidłowo obecną linię Partii, stanowczy i zdecydowany o wysokiej kulturze i etyce” (1982 r.). Można by tak bez końca...

„ODDANY SPRAWIE BUDOWNICTWA SOCJALISTYCZNEGO”

Jednak najwięcej emocji wywołuje w tym gronie Ryszard Dorf, który jest sekretarzem Prezydium Zarządu Głównego ŚZZAK. Zyskał opinię faktycznego szefa AK-owców, chociaż nigdy nie powinien znaleźć się w tym gronie. Jego życiorys zamieszczony na stronie internetowej Związku jest wielką manipulacją. Powołując się na tradycję sybiracką („jako dziecko został wyrwany z konwoju do wywózki na Syberię”), tłumaczy swoją służbę w LWP, którą miał rzekomo porzucić w 1983 r. „na znak protestu wobec stanu wojennego”.



Ryszard Dorf zasiada w Prezydium Zarządu Głównego SZŻAK

zawodowej i żołnierzy służby zasadniczej". Twierdząc, że komisja lekarska fałszowała „na niekorzystnych warunkach”.

W zasadzie nie pisał wówczas jeszcze o swojej rzekomej niechęci do stanu wojennego, ale domagał się „zrekompensowania poniesionych strat” i wypłaty za lata 1983–1997 „15-procentowego przysługującego dodatku za nieuzasadnienie mojego inwalidztwa w związku ze służbą wojskową, awans do stopnia pułkownika, gdyż cały czas pracy po odejściu z wojska byłem związany z obronnością kraju”. Tej hucpy nie był w stanie zaakceptować nawet minister Bronisław Komorowski i jego ludzie w MON. W 1998 r. Dorf otrzymał miazdzącą odpowiedź: „Analiza dokumentów opiniotwórczych znajdujących się w teczce akt personalnych Pana Pułkownika nie pozwala uznać, że powodem przedwczesnego zwolnienia z zawodowej służby wojskowej były, poza wcześniej podanym, sugerowane zastrzeżenia natury politycznej. Za przyjęciem takiego wniosku przemawiają Pańskie argumenty o pogarszającym się stanie zdrowia, podnoszone kilkakrotnie w prośbach o przeniesienie poza jednostki liniowe”.

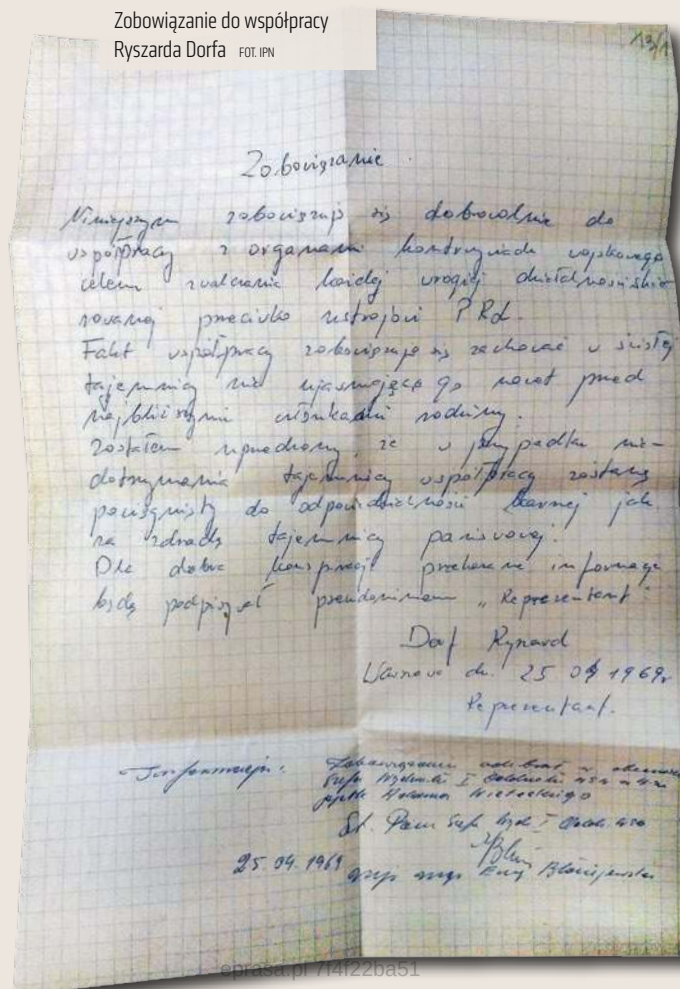
Dopiero w 2002 r. SLD-owski minister obrony narodowej Jerzy Szmajdziński awansował Dorfa do stopnia pułkownika w stanie spoczynku, chociaż z jego akt personalnych nie wynika, by MON

kiedykolwiek uznało za zasadną jego skargę z 1997 r.

„REPREZENTANT” WSW

Jakby tego wszystkiego było mało, sekretarz Prezydium Zarządu Głównego SZŻAK był w przeszłości „Nieoficjalnym Pracownikiem”, a następnie tajnym współpracownikiem WSW. Teczki pracy agenturalnej Dorfa z lat 1969–1973

Zobowiązanie do współpracy
Ryszarda Dorfa FOT. IPN



przechowywane są w archiwum IPN w Warszawie. 25 kwietnia 1969 r. pozyskał go mjr Eugeniusz Błazejewski z Wydziału I Oddziału WSW Warszawa. Celem werbunku było dokładniejsze zabezpieczenie Kompanii Reprezentacyjnej WP, uaktywnienie pracy sieci agenturalnej i rozpoznanie kadry oficerskiej Komendy Garnizonu m.st. Warszawy. Dorf chętnie zareagował na propozycję WSW i sporządził pisemne zobowiązanie o współpracy, w którym dał słowo „zwalczać każdą wrogą działalność przeciwko ustrojowi PRL” i przyjął pseudonim Reprezentant. Początkowo „zrywał spotkania” i „nie wykonywał zadań stawianych mu przez oficera KW WSW”, ale później sytuacja uległa poprawie. Był „szczerym” i lojalnym agentem WSW wymagającym jednak szkolenia. Stąd dla lepszej konspiracji, szkolenia i swobody przekazywania informacji ustalono system wywoływania spotkań i wprowadzono go do lokalu kontaktowego „Ustronie”, a potem „Krystyna”. W październiku 1973 r., w związku z przyjęciem Dorfa na kurs w Akademii Sztabu Generalnego,

rozwiązano z nim współpracę z „uwagi na brak możliwości dalszego wykorzystania” w Komendzie Garnizonu.

Powierzenie opisanym powyżej ludziom sterów w Światowym Związku Żołnierzy Armii Krajowej to chichot historii. Sygnalizując zaledwie problem infiltracji niepodległościowego ruchu kombatanckiego przez komunistów i postkomunistów, przypomnieli mi się słowa ich zdradzieckiego patrona – gen. Zygmunta Berlinga, który w 1944 r. tak pisał o żołnierzach AK: „Elementy faszystowskie wszelkiego autoramentu będą zgniecione. [...] Wielkopańscy działacze Armii Krajowej muszą ustąpić. Uważajcie na nich. Ich krecia robota na żołądźcie hitlerowców skończyła się. Śmierć faszystom!”. Przykro jest patrzeć jak ktoś – z legitymacją PZPR, WSW i LWP – próbuje nie tylko skrócić nam pamięć, lecz także zrealizować ów testament zdrajcy i zaprzęcia.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Balon nad Bolszewią

Cóż to za niesamowita historia! Dwaj polscy lotnicy Antoni Janusz i Stanisław Brenk w sierpniu 1936 r. postanowili wziąć udział w prestiżowych zawodach balonowych o Puchar Gordona Bennetta. W roku owym gospodarzem konkursu była Polska, ale silne wiatry zniosły balon nad teren Związku Sowieckiego. W gęstych, szarych mgłach wiszących nad „ojczyzną światowego proletariatu” Polacy stracili orientację. I wtedy zdarzyło się nieszczęście.

„Gwałtowny wstrząs rzuca nas na burzę, która nagle znika gdzieś pod nami – wspominał por. Brenk. – Trzymamy się kurczowo olinowania, podczas gdy kosz ślizga się bokiem po wierzchołkach trzeszczących drzew, obalając całe pnie, obłamując grube konary. Uderzenie wiatru przygniata powłokę balonu i rzuca nią przed nami na drzewa. Koniec. Powłokę balonu przebijają jakiś ostry konar i rozrywa ją na całej długości. Odczuwamy niemal ból fizyczny, słysząc przeciągły chrzęst rwącej się tkaniny i syk ulatniającego się gazu. Rozdarta na trzy części powłoka opada, zwisając bezwładnie aż ku ziemi. Kosz walący się w dół zatrzymuje się nagle, po czym w miarę opadania powłoki obsuwa się, aż wreszcie zwisa na

wysokości dwóch metrów nad ziemią. Zapanowała cisza”.

Dopiero wtedy rozpoczęła się niebywała przygoda. Dwaj lotnicy znaleźli się w samym środku nieprzebytej, bezludnej tajgi na dalekiej północy Związku Sowieckiego. Przez wiele dni przedzierał się przez rzeki, mokradła i równiny. Mieli sporo szczęścia, bo udało im się dotrzeć do jakiejś osady. A potem, po wielu perypetiach, dostać do Polski, gdzie czekały na nich rozentuzjarmowane tłumy. Niewiele jednak zabrało, aby kości Janusza i Brenka pozostały na sowieckim pustkowiu na zawsze.

Historia ta została przedstawiona w nowym numerze „Karty”. Znajdujemy w nim obszernie fragmenty relacji obu lotników oraz fotografie zniszczonego balonu. Najciekawsze są jednak fragmenty wspomnień dotyczące sowieckiej rzeczywistości. Pisząc krótko – obaj Polacy, gdy zobaczyli na własne oczy, czym naprawdę jest Związek Sowiecki, byli w szoku.

Poza tym w nowej „Karcie” ciekawy zestaw materiałów

o polskich emigrantach rozrzuconych po świecie i wybór źródeł dotyczących tragedii Sahrynia – ukraińskiej wsi spacyfikowanej w marcu 1944 r. przez polskie podziemie.

„Karta” jak zwykle bardzo ciekawa i prowokująca do dyskusji. ©©



★★★★★
„KARTA”
95/2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Lwowskie Ossolineum

Każdy Polak powinien obejrzeć we Lwowie gmach, w którym mieścił się Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Klasykistyczny pałac wzniesiono w pierwszej połowie XIX stulecia na bazie dawnych zabudowań kościoła i klasztoru Karmelitanek Trzewickowych. Budową kierowało kilku architektów, a jednym z nich

miętał również o finansowym zabezpieczeniu instytucji, przekazując majątki ziemskie mające służyć jej utrzymaniu. Statut fundacji został zatwierdzony przez władze austriackie 4 czerwca 1817 r.

Ossolineum szybko stało się prężnym ośrodkiem nauki i kultury. W jego murach odbywały się doroczne spotkania naukowe, urządzano wieczory literackie i koncerty. Podjęto prace edytorsko-wydawnicze, które zaowocowały m.in. reedycją „Słownika języka polskiego” Samuela Bogumiła Lindego oraz wydawaniem czasopisma naukowego.

W oficynie wydawniczej publikowano rozprawy z historii piśmiennictwa polskiego i prace krytyczne. Ogromną rolę odegrał druk podręczników – zakład posiadał przez pewien czas wyłączność na terenie Galicji.

W czasie wojny zbiory nie ucierpiały, część z nich ewakuowana przez Niemców trafiła ostatecznie do Wrocławia, gdzie w 1947 r. reaktywowano instytucję. Kolejne zasoby Ossolineum przekazano bezpośrednio z Lwowa, jako „dar narodu ukraińskiego”.

Niestety, praktycznie przez cały okres PRL nie istniała współpraca pomiędzy Zakładem im. Ossolińskich we Wrocławiu a jego lwowskim odpowiednikiem (Biblioteką im. Stefanyka). Zmiana sytuacji nastąpiła dopiero wraz z przemianami politycznymi i ustrojowymi, ale – jak to zwykle bywa – wszystko zależy od dobrej woli zarządów obu instytucji oraz władz samorządowych i państwowych. ©©

Statut fundacji został zatwierdzony przez władze austriackie 4 czerwca 1817 r.

był późniejszy bohater Polski i Węgier – Józef Bem. Wprawdzie po II wojnie światowej miejscowe władze starały się nadać instytucji ukraiński charakter, jednak do dzisiaj najcenniejszymi zbiorami pozostają eksponaty związane z kulturą polską. Ocenia się bowiem, że ponad 70 proc. najważniejszych zasobów pozostało nad Pełtwią.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich został utworzony w 1817 r. przez Józefa Maksymiliana hrabiego Ossolińskiego (1748–1826). Uczony, bibliofil i kolekcjoner zaplanował powstanie instytucji, która miała pomóc narodowi polskiemu w zachowaniu tożsamości i przypominałaby Polakom ich wielką przeszłość.

Zgodnie z wolą założyciela fundacja miała się składać z kolekcji ofiarowanych książek, rękopisów i numizmatów oraz drukarni. Arystokrata pa-



Olivier Bault

**Włosi dobrze pamiętają
wymuszone obalenie rządu
Berlusconiego i tak łatwo
nie poddadzą się dyktatowi UE**

Populiści będą rządzić w dużym kraju Unii po raz pierwszy, „Strach przed ksenofobiczną polityką” (Deutsche Welle), „Mamma Mia!” („Frankfurter Allgemeine Woche”), „Czy ten sojusz zagraża Unii?” („Le Figaro”), „Walka o inną Europę teraz naprawdę się zaczęła” („Libération”), „Koalicja anty-systemowa we Włoszech nowym ciosem dla Macrona” („Le Monde”), „Dlaczego Włochy mogą jeszcze rozsądzić euro i Unię Europejską” („The Telegraph”) – to tylko kilka tytułów tekstów, które ukazały się w prasie europejskiej po ujawnieniu przez włoskich „populistów” z Ruchu 5 Gwiazd (M5S) i Ligi wspólnego programu i kandydata na premiera. Taki sojusz wydawał się do niedawna mało prawdopodobny, ale gdyby nie weto prezydenta, to przecież właśnie taki rząd miał w końcu wyłonić się z wyborów parlamentarnych po 4 marca.

Po powierzeniu misji utworzenia rządu wspólnemu kandydatowi M5S i Ligi centrolewicowy prezydent Mattarella nie chciał jednak zaakceptować wytypowanego na ministra gospodarki i finansów ekonomisty Paolo Savony. Ten, choć jest wysoko cenionym specjalistą i zwolennikiem dyscypliny budżetowej (choćaby w celu odzyskania większej suwerenności), od lat krytykuje negatywny wpływ wspólnej waluty europejskiej na gospodarkę włoską i zachęcał włoski rząd, aby przygotował plan wyjścia ze strefy euro.

STRASZENIE ITALII

Jeszcze zanim 27 maja Giuseppe Conte zrezygnował z misji utworzenia rządu, od liderów politycznych Starego Kontynentu wysyłano sygnały ostrzeżenia dla Włoch. Na dzień przed ogłoszeniem jego nazwiska – 21 maja – francuski minister finansów i gospodarki Bruno Le Maire żądał, aby przyszły włoski rząd przestrzegał swoich zobowiązań dotyczących zadłużenia, deficytów i konsolidacji banków, ponieważ gra idzie o stabilność całej strefy euro. Nazajutrz przewodniczący frakcji ludowców w Parlamencie Europejskim, Niemiec



Włoski koszmar

Manfred Weber, stwierdził, że Włochy igrają z ogniem, gdyż są mocno zadłużone. Wyraził też nadzieję, że w końcu ludzie uświadomią sobie, iż populizm propaguje kłamstwa i nie przynosi konstruktywnych rozwiązań.

Obu politykom lider Ligi Matteo Salvini poradził, aby zajęli się swoimi sprawami, a dokładniej sprawami Francuzów i Niemców.

Niemiecki minister spraw zagranicznych Michael Roth nawoływał z kolei Włochów, aby widzieli swoje miejsce w sercu Europy i nie ulegali nacjonalizmowi. Rada gospodarcza niemieckiej CDU martwiła się, że plany nowej koalicji rządowej w Rzymie mogą położyć kres walucie euro.

Jednocześnie Komisja Europejska upominała się o potrzebę zmniejszenia włoskiego deficytu budżetowego o dodatkowe 10 mld euro. – Nie będzie żadnej taryfy ulgowej, jeśli chodzi o redukcję deficytu – ostrzegł wiceprzewodniczący KE ds. Stabilności Finansowej, Usług Finansowych i Unii Rynków Kapitałowych, Łotysz Valdis Dombrovskis.

Komisja upominała się także o potrzebę utrzymywania dotychczasowej polityki imigracyjnej. Jej przewodniczący Jean-Claude Juncker zapowiedział na krótko

przed powierzeniem Contemu misji utworzenia rządu przez prezydenta Mattarellę, że Komisja będzie się przyglądała uważnie, czy przyszły rząd przestrzega praw Afrykanów, którzy znajdują się we Włoszech. Grek Dimitris Awramopulos, który pełni funkcję komisarza ds. wewnętrznych, wyraził nadzieję, iż granice Włoch pozostaną otwarte dla imigrantów. Awramopulos wiele razy mówił, że Europa potrzebuje milionów nowych imigrantów i że ci imigranci, którzy już przybyli – również nielegalni, powinni w niej pozostać.

W istocie widmo powstania we Włoszech koalicji dwóch partii określanych mianem populistycznych, nastawionych raczej eurosceptycznie, sprawia, iż nawet brexit staje się dla Unii drugorzędnym problemem. A w obu przypadkach przyczyną opowiedzenia się wyborców przeciwko Unii są podobne: masowa imigracja, ślepotą i arogancją elit oraz coraz bardziej nieznosne ingerencje Brukseli w sprawy wewnętrzne krajów członkowskich. Jeśli się weźmie pod uwagę głosy oddane nie tylko na Ligę Matteo Salvini, lecz także na cały obóz tzw. centroprawicy, który stanął do wyborów ze wspólnym programem i który skupia także centroprawicową partię Forza Italia Silvia Berlusconi



Giuseppe Conte zrezygnował z misji utworzenia rządu. Na zdjęciu wychodzi ze spotkania z prezydentem Włoch (27 maja)

FOT. ALESSANDRO BIANCHI/REUTERS/FORUM

salonu

oraz narodowców z Fratelli d'Italia, siły eurosceptyczne uzyskały 4 marca w wyborach parlamentarnych aż 70 proc. głosów: 37 proc. oddano na centroprawicową koalicję na czele z Ligą oraz 33 proc. na antysystemowy lewicowy Ruch 5 Gwiazd dowodzony przez Luigię Di Maio.

Dla Brukseli to prawdziwy szok, gdyż w odróżnieniu od Wielkiej Brytanii Włochy są nie tylko jednym z krajów założycieli Unii Europejskiej, lecz także do niedawna Włosi byli jednym z najbardziej pronijnych społeczeństw! Nie zapomnieli jednak, w jaki sposób w 2011 r. Bruksela, Berlin i Paryż doprowadzili z pomocą Europejskiego Banku Centralnego, Deutsche Banku i agencji ratingowych do dymisji rządu Silvia Berlusconi (w którym Liga miała też swoich ministrów) i do narzucenia rządu byłego komisarza europejskiego Maria Montiego. Był to również rok, w którym Francja, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone doprowadziły do obalenia i zabicia Kaddafiego w Libii, co pogrzyżyło ten kraj w wojnie domowej i otworzyło nielegalnym imigrantom tzw. środkową drogę śródziemnomorską wiodącą przez Libię i Włochy. To nie przypadek, że jedna z kluczowych obietnic centroprawicowej koalicji, która stała się potem ważnym

punktem programu koalicji rządowej Ligi z M5S, dotyczy wprowadzenia bardziej restrykcyjnej polityki migracyjnej i szybkiego wydalenia pół miliona nielegalnych imigrantów z Włoch.

IMIGRANCY – NIE, ROSJA – TAK

Program nowej koalicji rządowej M5S i Ligi przewidywał utworzenie we wszystkich regionach kraju ośrodków zamkniętych, zdolnych pomieścić wszystkich nielegalnych imigrantów. Tak zwany kontrakt na rzecz rządu zmian wspominał także o walce z radykalnym islamem i zapowiadał delegalizację organizacji promujących taką formę islamu oraz zamknięcie nielegalnych miejsc kultu.

W sferze spraw zagranicznych program „populistów” kładł nacisk na obronę interesów narodowych i na polepszenie stosunków z Rosją, która nie jest widziana jako zagrożenie, ale jako partner gospodarczy i handlowy (podobny stosunek do Rosji miał rząd Berlusconi). Stąd zapowiedź, że rząd „populistów” miał się starać o natychmiastowe zniesienie sankcji na ten kraj. Dla Włochów bowiem, co mówi jasno i wyraźnie program koalicyjny, prawdziwymi zagrożeniami są islamski ekstremizm i niekontrolowana imigracja. Niemniej jednak wspólny program Ligi i M5S podkreślał, że Włochy pozostaną w NATO, a sojusz ze Stanami Zjednoczonymi nie zostanie podważony.

Chociaż przychylny stosunek do Rosji może się w Polsce nie podobać, warto podkreślić inne aspekty programu koalicji, które mogą sprawić, iż na forum europejskim Grupa Wyszehradzka może uzyskać niebawem dużego sojusznika – co stanowi kolejny element, który zapewne spędza sen z powiek członkom europejskiego salonu. Włoscy „populiści” chcą bowiem renegotjować traktaty europejskie tak, aby zredukować obszary kompetencji Unii Europejskiej. Ich wspólny program rządowy nie jest jednak zbyt precyzyjny i punkty sporu z V4 mogłyby również się pojawić, np. w sferze tzw. dumpingu wewnątrz-unijnego. Kwestia walki z imigracją nie była też do końca rozstrzygnięta w opublikowanym programie. Do tej pory, o ile Liga była zwolenniczką zamknięcia portów przed statkami NGO i wydalenia wszystkich nielegalnych imigrantów, M5S opowiadał się bardziej za przyjmowaniem imigrantów i ich relokacją w całej Unii zgodnie z postulatami Komisji Europejskiej.

W dziedzinie gospodarczej unijnych partnerów Włoch najbardziej zmartwiła

zapowiedź obniżenia podatków (postulat Ligi) i cofnięcia reformy emerytalnej, a także wprowadzenia dwuletniego minimalnego zasiłku w wysokości 780 euro dla każdego bezrobotnego (postulat M5S). I to w sytuacji, w której dług finansów publicznych wynosi 132 proc. PKB. Program nic nie wspomina jednak o wyjściu ze strefy euro, ale w oczach prezydenta Mattarelli wybór Savony na szefa ministerstwa finansów wskazywał, iż koalicjanci chcą się przygotować na taką ewentualność.

Czy dojdzie do „populistycznego” eksperymentu we Włoszech? Z jednej strony nie ma różnic światopoglądowych między lewicowym M5S, będącym zwolennikiem postulatów środowisk LGBT, a względnie konserwatywną, prorodzinną Ligą mogłyby generować konflikty w sytuacji, gdy koalicja ta dysponuje niewielką większością głosów w Senacie. Jednak co do jednego Di Maio i Salvini są zgodni: to nie agencje ratingowe ani obce stolice powinny – za pośrednictwem prezydenta Republiki Włoskiej – decydować o składzie włoskiego rządu.

W momencie pisania tego tekstu wyglądało jednak na to, że widmo wzrostu oprocentowania włoskich papierów dłużnych posłużyło za pretekst do zablokowania rządu M5S i Ligi, podobnie jak w 2011 r. wzrost spreadu wymusił dymisję rządu Berlusconi i jego zastąpienie przez człowieka Brukseli.

Na premiera „technicznego” prezydent Mattarella zaproponował człowieka MFV, ale bez większości parlamentarnej dla przyszłego rządu będzie musiało dojść do przyspieszonych wyborów.

W parlamencie „populiści” mogą wcześniej zmienić prawo wyborcze, aby łatwiej było w przyszłości wyłonić rząd większościowy. Według sondaży z drugiej połowy maja ponad 60 proc. Włochów było za powstaniem rządu koalicji M5S i Ligi i w razie powtórki z wyborów 56 proc. wyborców zamierzało głosować na jedną z tych dwóch partii (32,5 proc. na M5S – bez zmian – i 24 proc. na Ligę, czyli 8 punktów procentowych więcej niż 4 marca). Prawie połowa badanych była zadowolona z uzgodnionego przez obie formacje programu rządowego.

Po przyspieszonych wyborach jest też duża szansa na większość parlamentarną dla tzw. centroprawicy na czele z Ligą, a wtedy to „populista” Matteo Salvini może zostać premierem. Włoski koszmar, który zafundował sobie europejski salon, jeszcze się nie skończył.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Czyżewski

W 1983 r. Irlandczycy dzięki referendum ochronili nienarodzone dzieci przed legalizacją aborcji. Dlaczego teraz całkowicie zmienili zdanie?

Zawarta w irlandzkiej konstytucji ósma poprawka stanowi wyrażenie, że nienarodzone dziecko jest istotą ludzką (również w bardzo wczesnym stadium swojego życia), należy do rodziny ludzkiej i ma takie samo prawo do życia jak każdy człowiek. Ten zapis znalazł się w ustawie zasadniczej po referendum w 1983 r., które przewagą 2:1 zapobiegło wprowadzeniu legalizacji aborcji. Warto przypomnieć, że polscy parlamentarzyści i obrońcy życia nienarodzonych wzorowali się na irlandzkich rozwiązaniach, konstruując ustawę antyaborcyjną w 1993 r.

Irlandzką ósmą poprawkę kilkakrotnie próbowano zmieniać, a pretekstem były głośne sprawy, takie jak np. zgwałcenie 14-latką w 1992 r., która w wyniku tego przestępstwa zaszła w ciążę. Wprowadzone wówczas poprawki 13. i 14. ustanowiły prawo Irlandek do aborcji w sytuacji zaistnienia ryzyka śmierci kobiety, możliwość zdobywania wiedzy na temat aborcji, a także prawo do swobodnej podróży celem wykonywania zabiegów poza granicami państwa.

Kolejną sprawą, która wywołała dyskusję, była śmierć w wyniku zakażenia w 2012 r. Savity Halappanavar. Będącej w 17. tygodniu ciąży, krwawiącej i skarżącej się na bóle kobiecie lekarze odmówili aborcji z przyczyn etycznych. Zmarło najpierw dziecko, a potem kobieta.

W 2013 r. aborcja w Irlandii została dopuszczona w sytuacji, kiedy kobieta grozi popełnieniem samobójstwa. W końcu w 2017 r. nowo wybrany premier Leo Varadkar, gej, katolik i lekarz z zawodu, który do tej pory był zwolennikiem ochrony życia, „ewoluował” i zapowiedział referendum w sprawie zniesienia ósmej poprawki. Miażdżąca przewaga zwolenników aborcji (70:30) otworzyła szeroką drogę do zmian



Irlandia to tylko początek

w prawie: na początek bezpłatną aborcję na życzenie do 12. tygodnia ciąży.

ARGUMENTY

W debacie o aborcji w Irlandii używano argumentów, które dobrze znamy z polskiego podwórka. Organizacje pro-choice budowały swoją narrację

z użyciem wyświechtanych sloganów typu: „prawo kobiet do wyboru”, „prawo kobiet do wolności” czy „moje ciało – moja decyzja”. Przytaczano historię zgwałconych nieletnich dziewcząt, które musiały rodzić dzieci swoich oprawców. Załamywano ręce, że oto w całej postępowej Europie można dokonać legalnej aborcji i tylko

zacofana Irlandia ciągle pozostaje w ogonie. Na łamach liberalno-lewicowej prasy zatroskani lekarze pro-choice opowiadali historii pacjentek, które nie mogły się pozbyć zdeformowanych płodów i jedyne, co mógł dla nich zrobić współczujący irlandzki lekarz, to udzielić informacji na temat klinik aborcyjnych w Wielkiej Brytanii. No a skoro mogą to zrobić za miedzą, to skończmy z hipokryzją i pozwólmy dokonywać zabiegów na miejscu – argumentowali postępowcy. Publikowane były sondaże, z których wynikało, że za liberalizacją prawa opowiadali się młodzi, wykształceni z dużych miast, a przeciw katolicka ciemnota, tzw. the country, czyli z prowincji. Na czarnych marszach w Dublinie „dziewuchy” i „gejowskie czarownice” spod szyldów LGBT domagały się prawa do zabijania dzieci w każdym czasie i bez jakichkolwiek ograniczeń.

Z kolei na organizowanych przez działaczy pro-life spotkaniach można usłyszeć w kontrze świadectwa kobiet, szczęśliwych matek, które wbrew wszelkim przeciwnościom postanowiły urodzić dzieci, choć pół świata namawiało je do aborcji. Rodzice, którzy wychowują dzieci z zespołem Downa, argumentowali, że aborcowanie nienarodzonych z tym syndromem jest niczym innym jak najbardziej ohydną dyskryminacją. Przeciwnicy liberalizacji prawa zachęcali także do skorzystania z doświadczeń Polaków, przypominając, że w naszej ojczyźnie dwukrotnie wymuszono legalizację aborcji: w czasie niemieckiej okupacji podczas II wojny światowej i w czasie totalitarnego ustroju PRL. Tylko czy te argumenty przekonały kogokolwiek w kraju, który nigdy nie doświadczył totalitaryzmu?

Sygnalem dającym nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone, był ogólnokrajowy marsz w obronie życia zorganizowany przez organizację pro-life 10 marca w Dublinie. Przyszło na niego ok. 100 tys. osób. Jeśli się weźmie pod uwagę całkowitą liczbę ludności Irlandii, manifestacja była spektakularnym sukcesem. Wyglądało na to, że kraj się budzi po latach bezrefleksyjnego akceptowania lewicowych pomysłów serwowanych przez speców od inżynierii społecznej oraz triumfalnego pochodu marksizmu-lesbianizmu (copy right prof. Chodakiewicz). Jak się okazało w dniu referendum, euforia była przedwczesna.

JAK KUPIĆ REFERENDUM

Jednak choć debata referendalna nosiła znamiona demokratycznego sporu, w rze-

czywistości takim nie była. Organizacje pro-choice otrzymywały milionowe wsparcie z zagranicy, głównie z USA. Choć prawo w tym zakresie jest jednoznaczne i zakazuje przyjmowania funduszy z zagranicy, które mają być wykorzystane na kampanie polityczne w Irlandii, pieniądze płynęły szerokim strumieniem. Wśród największych donatorów wymieniani byli: Atlantic Philanthropies, George Soros i jego Open Society Foundations, International Planned Parenthood Foundation oraz The Ford Foundation. W ujawnionej korespondencji pomiędzy jedną z organizacji Sorosa a irlandzkimi beneficjentami można było przeczytać: „Mając jedno z najbardziej restrykcyjnych praw aborcyjnych na świecie, wygrana tutaj może wpłynąć na inne mocno katolickie kraje w Europie, takie jak Polska, i dostarczyć bardzo potrzebnego dowodu, że zmiana jest możliwa, nawet w wysoce konserwatywnych miejscach”. To pokazuje, że Irlandia jest tylko pewnym etapem, poligonem przed starciem z o wiele groźniejszym dla postępowców przeciwnikiem – Polską.

KOŚCIÓŁ – WIELKI PRZEGRANY

Ksiądz Ray Kelly z Oldcastle w hrabstwie Meath zasłynął kilka lat temu, kiedy to podczas udzielania ślubu zaśpiewał „Hallelujah” Leonarda Cohena. Po emisji filmu na YouTube ksiądz stał się tak popularny, że wydał już dwie płyty. W ostatnich tygodniach wziął udział w popularnym telewizyjnym show „Britain’s Got Talent” i zaśpiewał piosenkę R.E.M. „Everybody Hurts”. Ku zaskoczeniu wszystkich Simon Cowell, zazwyczaj najbardziej surowy dla uczestników, wstał i zaczął bić brawo jako pierwszy, a w jego ślad poszła reszta jury. Przekaz jest jasny: jak nie będziesz nam truł o niebie, o grzechach, nauczał, co nam wolno, a czego nie, jak nie będziesz nas kłuł w oczy sutanną i krzyżem, a zaśpiewasz jakąś kłiwą pioseneczkę (oczywiście bez słów takich, jak Bóg, Jezus, Kościół etc.), to możesz sobie być księdzem katolickim i nawet nagrodę dostaniesz.

Casus księdza Kelly’ego jest doskonałą metaforą działania Kościoła katolickiego w Irlandii, który już nie naucza, nie napomina, nie prowadzi, ale stoi z boku i nieśmiało się uśmiecha jak ksiądz Kelly do jurorów.

Kościół w Irlandii oficjalnie nie angażował się w kampanię referendalną, ponieważ od czasów nadużywania władzy i afer

obyczajowych utracił on autorytet w społeczeństwie i hierarchowie zdawali sobie doskonale sprawę, że publicznymi wypowiedziami w obronie nienarodzonych mogą zrobić więcej złego niż dobrego. Powszechna niechęć do Kościoła jest tak oczywista, że jedna z organizacji pro-life postanowiła wykorzystać te negatywne emocje, budując przekaz w następujący sposób: aborcja jest takim samym gwałtem praw dzieci jak pedofilia, której dopuszczali się księża. Nienawidzisz księży? Brzydzisz się pedofilą? To powinienes być też przeciw aborcji. Za chwilę się okazało, że liderami tej organizacji „przypadkowo” byli protestanci.

Kiedy w Wielki Czwartek na katolickim Uniwersytecie w Maynooth klerycy z ostatniego czynnego seminarium rozpoczynali w pięknej kaplicy Triduum Paschalne mszą wieczery Pańskiej, 100 metrów dalej w jednym z budynków dydaktycznych tej katolickiej uczelni odbywało się spotkanie z lekarzami pro-choice i prawnikami pro-choice. Nikt nie dostrzegał niestosowności, niedorzeczności upiornej sytuacji. Kościół jest otwarty, demokratyczny i nowoczesny. Chcesz w jego murach nawoływać do mordowania dzieci? Proszę bardzo, nie ma sprawy.

I dlatego Kościół irlandzki jest jednym z wielkich przegranych w batalii o życie nienarodzonych. Od lat usprawiedliwiający wszystkich i wszystko, niepotrafiący zająć twardego, zdecydowanego stanowiska, kiedy rozstrzygały się najważniejsze kwestie (legalizacja rozwodów w 1995 r., małżeństw homoseksualnych – w 2018 r.), toczony aferami pedofilskimi, które próbował wyciszyć, zamiatając odpowiedzialność pod dywan. Liże dziś rany i nie ma pomysłu na przyszłość, która rysuje się w czarnych kolorach. Bo 90 proc. młodych ludzi, którzy przeszli przez katolicki system szkolnictwa, w referendum opowiedziało się za liberalizacją prawa aborcyjnego.

W moim kościele ksiądz nawet nie zająknął się w sprawie wyniku referendum podczas niedzielnej mszy. W pólupustym kościele proboszcz wygłaszał kazanie na zupełnie inny temat, okraszając je suto anegdotami. Wierni śmiali się klaskali. Nikt tu nie ma ochoty na smutne tematy. Ma być miło i wesoło. Kościół z jego zasadami jest już nikomu do niczego niepotrzebny. Unicestwił się sam.



WOLNOŚĆ SŁOWA WEDŁUG IZRAELA

W Holandii w satyrycznym telewizyjnym programie pokazano parodię występu zwyciężczyni ostatniej Eurowizji – izraelskiej piosenkarki Netty Barzilai (na zdjęciu). Słowa piosenki stanowiły krytykę współczesnej polityki Izraela. Było m.in. o tym, że ten kraj buduje mury, o których Donald Trump może tylko pomarzyć. Izraelska ambasada w Holandii złożyła oficjalną skargę. Uznała – a jakże – że satyra miała „antysemicki charakter”. Holenderski nadawca BNN Vara utrzymuje, że dyskusja na temat polityki Izraela nie jest podżeganiem do nienawiści przeciw Żydom. Ale co oni tam wiedzą...

FOT. ZHANG LIRUN/ANHUA EAST NEWS

NIEMIECKA SIŁA ARMII

Niemiecka Najwyższa Izba Kontroli w raporcie dla Komisji Budżetowej Bundestagu napisała, że wiele systemów broni w Bundeswehrze w ogóle nie działa. Niemiecka marynarka nie ma na przykład rakiet, których mogłaby użyć, a czołgiści mają wprawdzie czołgi, lecz mogą nimi co najwyżej szkolić się na poligonach. Krótko mówiąc, szefowa niemieckiego MON ma teraz równie poważne kłopoty co armia. Czy nas to właściwie powinno martwić?

WŁOSKIE CIĘCIE

W rubryce tej w poprzednim numerze wspominaliśmy o urzędnikach z Rzymu, których nie stać na koszenie trawy w miejskich parkach, więc wymyślili, że będą to robić owce i kozy. W tej sprawie podpisano już nawet porozumienie z tamtejszym związkiem rolników. Za to dla zwykłych Rzymian urzędnicy tak wyrozumieli jak dla siebie nie są. Co tam forsa na kosiarki i prąd (lub paliwo) – trawa ma być obojętnie koszona. Za zbyt wysoką trawę na prywatnych działkach ustanowiono kary sięgające nawet 679 euro.

ELON MUSK CHCE OCENIAĆ MEDIA

Bardzo bogaty człowiek znany jako „wizjoner” (bo na razie dobrze wychodzi mu mówienie o wizjach, a dość słabo wyprodukowanie samochodu na czas i bez wad), Elon Musk, dał do zrozumienia na Twitterze, że marzy mu się wykonanie internetowego narzędzia do oceny wiarygodności mediów. Po długodystansowych testach awaryjności samochodu Tesla 3 mamy nadzieję, że to jednak marzenie odległe jak Hyperloop.

MUSIELI EKSMITOWAĆ WŁASNEGO SYNA

Państwo Rotondo z Nowego Jorku na wszystkie sposoby próbowali namówić swojego syna Michaela do usamodzielnienia się i wyprowadzki. Ten jednak nie za bardzo kwapił się do znalezienia pracy i własnego lokalu. Zdesperowani rodzice poszli w końcu do sądu, żeby eksmitować 30-latkę. Sąd przychylił się do ich prośby. Ale syn jest uparty – i już zapowiedział, że złoży apelację od wyroku. ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Nie przesadzać z demokracją

Bywa, że naród w swych wyborach pobłądzi albo pobłądzą wybrańcy narodu. Wówczas trzeba te nierozważne decyzje korygować. Powołane są do tego jasnie oświecone elity, obdarzone przez Boga szczególną zdolnością rozeznawania. Przekonują się teraz o tym Włosi.

W marcowych wyborach naród postawił na dwie siły eurosceptyczne. Te, posiadając wspólnie większość w parlamencie, postanowiły stworzyć rząd. W dodatku wysunęły na stanowisko ministra gospodarki i finansów krytykującego Unię prof. Paolo Savonę. Savona nie jest szaleńcem. Był ministrem przemysłu, szefem związku

przemysłowców i prezesem kilku banków. Ma jednak wadę: nie wyznaje religii unijnej. Twierdzi, że UE trzeba zreformować tak, by była silniejsza, spójniejsza i bardziej solidarna. Co gorsza, napisał kiedyś, że euro stało się narzędziem, dzięki któremu Niemcy gospodarczo zdominowały Europę. Na Savonę i Italię ruszył więc zmasowany atak sił postępu z zagranicy. „Der Spiegel”, pokazując rasistowską gębę, napisał, że Włosi są pasożytami, oszustami i agresywnymi jebakami wymuszającymi jałmużnę. Swoje zrobiły oświadczenia inijnych dostojników i europejskich polityków. Prezydent Sergio Mattarella, tłumacząc, że kandydaturę Savony mogliby bardzo źle

przyjąć unijni partnerzy Italii i rynki finansowe, nie zgodził się na taki rząd i powołał własny. Wywołało to chaos polityczny, jakiego Włosi jeszcze za czasów republiki nie widzieli.

Jedno jest pewne: Włosi niebawem pójdą ponownie do urn. Z tej okazji niemiecki komisarz europejski Günther Oettinger wyraził nadzieję, że rynki finansowe, na których włoskim obligacjom dzieje się coraz gorzej, nauczą Italię, na kogo głosować. Gdy połączyć to z połajankami innych komisarzy pod adresem Włochów, którzy wybrali nie tych, których trzeba, staje się jasne, jak w Brukseli wyobrażają sobie proces demokratyczny. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia



SZEWACH WEISS

Bierna Europa w dynamicznym świecie

Bardzo szybkie tempo wydarzeń i nieprzewidywalność to codzienność polityki międzynarodowej. Dzisiaj ton tej polityce nadaje kilku światowych liderów. Mistrzem nieprzewidywalności jest bez wątpienia prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump. Świat przygląda mu się nieustannie, czasem cynicznie komentując jego poczynania, czasem wyśmiewając go. Donald Trump jest nie tylko przywódcą Stanów Zjednoczonych, lecz także liderem całego świata. Prowadzi inną politykę niż jego poprzednik Barack Obama, którego dyplomacja opierała się na amerykańskiej samoizolacji, co w historii Stanów Zjednoczonych nie było nowym zjawiskiem. Natomiast Donald Trump potrafi jednego dnia stać się bohaterem większej liczby medialnych newsów niż większość innych światowych polityków w ciągu całej dekady.

Kto tak naprawdę ma dziś największy wpływ na światową politykę? Stany Zjednoczone, Rosja, Iran, Korea Północna i w pewnym stopniu Turcja. Natomiast kraje europejskie pojedynczo, Europa jako Unia Europejska, a nawet Europa jako NATO (bez Stanów Zjednoczonych) nie mają dużego wpływu na najważniejsze wydarzenia na świecie. Nie jest to nowa sytuacja. Tak było już od I wojny światowej i później, w trakcie II wojny światowej i po niej, kiedy to Stany Zjednoczone są gwarantem bezpieczeństwa zachodniego świata i biorą w swoje ręce sprawy, z którymi Europa nie może sobie dać rady.

Tak jest dziś w przypadku Bliskiego Wschodu, który jest pod dużym wpływem amerykańskim, rosyjskim i irańskim. Swoje

bardzo ważne miejsce ma też Izrael. To region skonfliktowany. Prawdopodobnie narzędzie do uspokojenia sytuacji na Bliskim Wschodzie, do wprowadzenia tu „normalności” jest raczej w rękach Stanów Zjednoczonych, a nie Rosji. Mimo że Rosja dzięki swojej polityce bliskowschodniej powróciła do mocarstwowości. Nie takiej, jaką pamiętamy z czasów Związku Sowieckiego czy przed prezydenturą w USA Reagana, ale jednak zwiększyła swoje znaczenie.

Najciekawszą sceną światowej polityki jest dziś Korea Północna. To przykład państwa niedużego, słabego ekonomicznie, izolującego się, które związane totalitaryzmem i dzięki sile nuklearnej staje się potęgą światowej polityki. Jest to możliwe, ponieważ świat staje się coraz mniejszy za sprawą nie tylko rewolucji spowodowanej komunikacją elektroniczną, lecz także ze względu na rozwój balistyki. To jest moc, która małym krajom – totalitarnym, tak jak Korea Północna, a także demokratycznym, tak jak Izrael – umożliwia dołączenie do grona mocarstw.

Europa w tym wyścigu specjalnie nie bierze udziału. Prawdopodobnie dla przywódców państw Starego Kontynentu wygodna jest sytuacja, w której zajmują się oni swoimi sprawami (wewnętrznymi swoich krajów i na poziomie ogólnoeuropejskim), rozwijają gospodarkę, licząc na Stany Zjednoczone i na koszt budżetu amerykańskiego budując swoje poczucie bezpieczeństwa, krytykując agresywność Donalda Trumpa i Izraela, krytykując niemal wszystkich i robiąc dobre interesy nawet z Iranem.

To zjawisko związane jest z europejskim egocentryzmem,

wynikającym z tego, że Europa jest kolebką kultury zachodniej, źródłem zachodnich wartości, centrum chrześcijaństwa, nauki i sztuki.

Nie wiadomo, jak mogłoby wyglądać spotkanie prezydenta Stanów Zjednoczonych i przywódcy Korei Północnej. O ile do takiego szczytu dojdzie. Ostrożność spowodowana nieprzewidywalnością wynika nie tylko z obiektywnych faktów, lecz także z temperamentu obu liderów.

Trzeba przyznać, że dawno Stanami Zjednoczonymi nie rządził człowiek, który ma tak duży osobisty wpływ na dzieje świata. Jeśli do tej rozmowy dojdzie, to będzie to początek załagodzenia sytuacji, demilitaryzacji albo denuklearyzacji Korei Północnej. Istnieje wówczas szansa, że Donald Trump będzie drugim prezydentem USA, który w tej dekadzie otrzyma Nagrodę Nobla. ©©

oprac. raw

„Do Rzeczy” poleca:

- Najbardziej osobista książka **Szewacha Weissa**
- Za co najmocniej **kocha Polskę?**
- Jak toczyć bitwę o **prawdę historyczną**, by ją wygrać?
- Kulisy spotkań z najwybitniejszymi **politykami świata** w XX w.



Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl, tel. 22 529 12 10



Maciej Pieczyński

Były minister finansów w rządzie Donalda Tuska nie może się doczekać przesłuchania przez komisję śledczą ds. wyłudzeń VAT. Jak zawsze jest bardzo pewny siebie

Modłę się o powstanie komisji VAT-owskiej – zapewniał już wiele miesięcy temu Jacek Rostowski w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”. Od początku było oczywiste, że to właśnie były wicepremier i minister finansów w rządzie PO-PSL będzie jednym z najważniejszych świadków, wezwanych na przesłuchanie przez komisję. Uszczelnienie VAT uważane jest za wielki wymierny sukces rządów dobrej zmiany, być może największy. Prace komisji mogą dać odpowiedź na pytanie, na ile zaniechania poprzedniej ekipy rządzącej mogły przyczynić się do masowych wyłudzeń tego podatku. A jednak Rostowski jest bardzo pewny siebie.

Publicznie wyrażał nadzieję, że PiS „nie stchórzy” i komisja powstanie, „mimo że to jest zupełnie sprzeczne z interesem politycznym obecnej władzy. Jego zdaniem to właśnie partia Kaczyńskiego chciała „rozszczelnić system podatkowy, zgłaszając ustawę, która miała znieść 30-procentowe sankcje za zaniżenie płatności VAT w 2007 r.”. Kilka tygodni temu Rostowski już nie „modlił się” o powstanie komisji, a wręcz „żądał”, by go wezwano. Na łamach „Dziennika Gazety Prawnej” wygłosił kontrowersyjną tezę: „Mamy do czynienia z wielkim kłamstwem VAT-owskim, które PiS rozpowszechnia od zwycięstwa w wyborach. Jest szyte według tego samego wzoru co kłamstwo smoleńskie, co kłamstwo o „Polsce w ruinie”. Jednak ono runie szybciej niż kłamstwo smoleńskie, bo jest łatwo sprawdzalne” – grzmiał Rostowski.

PODATKOWE DISNEYLANDY

Na czym polega rzekome „kłamstwo VAT-owskie”? „Na tym, że utożsamia się wzrost dochodów z VAT z uszczelnieniem systemu podatkowego. Czyli z rzekomym wcześniejszym okradaniem budżetu państwa. Kiedy tak naprawdę za większość wzrostu dochodów z VAT odpowiadają dwa czynniki: lepsza koniunktura gospodarcza w Europie, a zwłaszcza w Niemczech, oraz bardziej vatodajna struktura wzrostu PKB, z większym

udziałem importu i mniejszym inwestycji niż pod koniec naszych rządów. Zresztą ani jedno, ani drugie zjawisko, choć dają więcej dochodów z VAT, nie jest objawem zdrowej gospodarki” – twierdzi Rostowski. Według jego subiektywnej oceny – były minister przyznaje, że dokładnych danych brak – tylko jedna czwarta poprawy wpływów z VAT jest skutkiem uszczelnienia. W trzech czwartych „jest to zasługa działań podjętych przez rząd PO-PSL”.

– To są kosmiczne brednie. Równie dobrze można powiedzieć, że woda na Marsie i Księżycu również jest zasługą wyłącznie pana Rostowskiego. Jeżeli rząd PO-PSL tak samo „uszczelniał” VAT, to

Pan

tak jak pan Bury „walczył” z korupcją. Czyli „trzeci rodzaj prawdy” według ks. Tischnera – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Janusz Szewczak, poseł PiS, ekonomista.

– Pan Rostowski upomina się, aby komisja ds. wyłudzeń VAT wezwiała go na przesłuchanie. Przypominam, że Stanisław Gawłowski również sam się oferował prokuraturze. Mam nadzieję, że sekwencja zdarzeń w sprawie Rostowskiego będzie podobna – dodaje poseł Szewczak. W jego ocenie odpowiedzialność Jacka Rostowskiego za problemy ze ściągalskością VAT jest niepodważalna. – Skala rabunku dochodów z podatków, do jakich dochodziło pod rządami tego podobno eksperta od finansów, jest porażająca – mówi Janusz Szewczak. – Nawet laik by zauważył, że Rostowskiemu ucieka-



FOT. MARUSZ GRZELAK/REPORTER

to rocznie 40 albo i 50 mld zł z budżetu. Za jego czasów mieliśmy do czynienia nawet nie tyle z karuzelami, ile z całymi lunaparkami, całymi disneylandami podatkowymi – dodaje poseł PiS. Według jego szacunków „łączna kwota pieniędzy ukradzionych Polakom podczas rządów PO-PSL”, włączając w to wyłudzenia VAT, aferę hazardową, aferę akcyzową, wyniosła ok. 400 mld zł. – Tych pieniędzy nie ukradły krasnoludki ani pani Marysia, księgowa. Zresztą gdyby księgowa trzy razy się pomyliła w rozliczeniach, to by mogła odpowiadać karnie. Pamiętajmy, że skuteczne ściąganie należnych Polakom pieniędzy jest obowiązkiem ministra finansów – mówi Szewczak.

Profesor Witold Orłowski, ekonomista, podkreśla, że w warunkach spowolnionego wzrostu gospodarczego ściągalność VAT zawsze spada. Rostowski jako minister finansów powinien mieć tego świadomość. –

Z pewnością otrzymywał sprawozdania na ten temat. Pogorszenie ściągalności powinno

Najwyższa Izba Kontroli w swoim niedawnym wystąpieniu pokontrolnym pozytywnie oceniła wykonanie budżetu przez rząd Zjednoczonej Prawicy. Przy okazji jednak częściowo przyznała rację Rostowskiemu, że nie tylko uszczelniające działania Morawieckiego przyczyniły się do dobrych wyników. „Osiągnięty wyraźny wzrost dochodów podatkowych był efektem dobrej sytuacji w gospodarce, poprawy skuteczności poboru podatków oraz przesunięcia zwrotów podatku VAT między grudniem 2016 r. a styczniem 2017 r.” – czytamy w dokumencie NIK. Przy czym, według instytucji, „na obecnym etapie trudno jest stwierdzić, w jakim stopniu wzrost dochodów był wynikiem poprawy kolejny rok z rzędu parametrów makroekonomicznych, a w jakim działań uszczelniających”. – Faktem jednak jest, że wyłudzeniom należało przywrócić się już wcześniej – komentuje prof. Orłowski. – Nowy rząd bardzo ostro postawił kwestię ściągalności, a zawsze jest tak, że jeśli jakaś rzecz znajduje się wysoko na liście priorytetów rządu, to urzędnicy bardziej przykładają się do jej załatwienia. Presja

– Jest oczywiście, że kwota rzędu 20 mld zł, a tyle PiS zaplanował wydać na program „500+”, to nie jest suma, której nie da się znaleźć w budżecie – mówi prof. Witold Orłowski. Jego zdaniem nie oznacza to jednak, że Rostowski pomylił się w swoich obliczeniach. – Była to wypowiedź czysto polityczna. Jacek Rostowski stwierdził, że PiS nie znajdzie pieniędzy na swoje obietnice, ponieważ chciał zdeprecjonować swojego przeciwnika politycznego.

Odmienne intencje byłego ministra finansów interpretuje Adam Sadowski, prezydent Centrum im. Adama Smitha. – Wydatki budżetowe nie są motywowane merytorycznie, tylko politycznie – mówi. – Dlatego z perspektywy jednej ekipy pieniędzy na dany cel może nie być, ale już inna ekipa stwierdzi, że to jest priorytet, i te pieniądze się znajdują. Trzeba pamiętać, że polski minister finansów, w odróżnieniu od ministrów finansów innych krajów, nie może po prostu kliknąć przycisku na swoim komputerze i zobaczyć, gdzie w budżecie są jakie środki finansowe. System finansów publicznych jest w Polsce bardzo nieczy-

od rachunków

zwrócić jego uwagę. Co więcej: jestem pewien, że minister poprosił swoich urzędników o przyjrzenie się sprawie. Czy ta reakcja przyniosła skutek, to już kwestia oceny – mówi prof. Orłowski. – Skoro jednak już pod rządami PiS nastąpiła poprawa ściągalności VAT, to znaczy, że można było jednak więcej zrobić. Komisja śledcza zapewne będzie argumentować, że minister Rostowski powinien od razu reagować, zawiadomić prokuraturę o możliwości popełnienia przestępstwa.

z góry niewątpliwie odniosła pozytywny skutek – dodaje.

Prawdopodobne zaniedbania w walce z wyłudzeniami podatku VAT to nie jest jedyna plama na reputacji Rostowskiego jako specjalisty od finansów. „Na te obietnice, które składa Prawo i Sprawiedliwość, pieniędzy nie ma i w ciągu czterech najbliższych lat nie będzie. Mówię to jako były minister finansów i wicepremier. Propozycje PiS są zupełnie bez pokrycia finansowego, a gdyby PiS je wprowadził, to doprowadziłyby bez żadnej wątpliwości do totalnej katastrofy finansów publicznych” – mówił Rostowski w studiu TVN tuż przed wyborczym zwycięstwem Zjednoczonej Prawicy. Okazało się, że jego katastroficzna wizja była mocno przesadzona. Zwolennicy PiS mają więc powody do triumfalnego sarkazmu. Jacek „Nie Ma Pieniędzy” Rostowski nie docenił sprawności Mateusza Morawieckiego.

telny – dodaje Andrzej Sadowski. Dobitnie o tym świadczy, zdaniem ekonomisty, fakt, że obecny rząd podał niedawno wyniki ściągalności podatku CIT dopiero za 2016 r. – Dlatego też minister, który mówi, że „tych pieniędzy nie ma”, niekoniecznie kłamie – może tych pieniędzy zwyczajnie nie widzieć w systemie.

Andrzej Sadowski uważa, że Rostowski nie był ani wybitnym, ani fatalnym ministrem finansów. – Każdy szef tego resortu staje przed historyczną szansą, by zmienić nieefektywny system podatkowy, który szkodzi Polsce w równym stopniu, co źle działający wymiar sprawiedliwości. Rostowski, mając tak dużo czasu, z tej szansy nie skorzystał. Pod tym względem niezbyt się wyróżnia na tle pozostałych – ocenia Sadowski. Warto przy tym pamiętać, że Jan Vincent Rostowski był najdłużej urzędującym ministrem finansów III RP.

Janusz Szewczak nie ma jednak wątpliwości: – Dla mnie ewidentne jest, że Jacek Rostowski albo nie znał się na finansach publicznych wystarczająco dobrze, albo nie chciał się na nich znać – mówi. – Bardzo nisko oceniam jego kompetencje. Do dziś jest dla mnie zagadką, dlaczego PO musiała szukać ministra finansów aż w Londynie?! Czy to oznacza, że Platforma nie miała w kraju żadnych kompetentnych, wykształconych osób?! – pyta Szewczak, nawiązując do pochodzenia byłego szefa resortu finansów.

SOROS, JELCYN, BALCEROWICZ

Jan Vincent Rostowski ma podwójne – polskie i brytyjskie – obywatelstwo. Pochodzi z dobrze sytuowanej rodziny polskich emigrantów. Jego dziadek, Jakub Rothfeld, był neurologiem, profesorem uniwersytetów we Lwowie, a następnie w Edynburgu, dokąd trafił po klęsce wrześniowej 1939 r. (brał udział w wojnie obronnej). Już na Wyspach zmienił nazwisko na Rostowski. Ojciec przyszłego ministra finansów był sekretarzem i tłumaczem Tomasza Arciszewskiego, premiera RP na emigracji. Jan Vincent Rostowski studiował stosunki międzynarodowe, ekonomię i historię na londyńskich uczelniach. Wykładał m.in. na University College London. W 1995 r. został kierownikiem Katedry Ekonomii na Central European University w Budapeszcie. To uczelnia współfinansowana przez George’a Sorosa.

Także z ramienia amerykańskiego finansisty Rostowski doradzał rządowi Federacji Rosyjskiej epoki Jelcyna w sprawach polityki makroekonomicznej. Janusz Szewczak ironizuje, że właśnie związki z Sorosem były najważniejszą rekomendacją na stanowisku ministra finansów w rządzie PO. Pożywki dla zwolenników teorii spiskowych i przeciwników międzynarodowej finansjery dostarczył Rostowski, uczestnicząc w 2013 r. w corocznym spotkaniu Klubu Bilderberg. Był już wówczas wicepremierem i ministrem finansów. To międzynarodowa grupa, zrzeszająca najbardziej wpływowych ludzi ze świata polityki i gospodarki. To politycy, bankierzy, członkowie rodzin królewskich, właściciele wielkich koncernów. Uczestnicy spotkań zobowiązani są do zachowania dyskrecji, co jeszcze mocniej przyczynia się do mnożenia domysłów.

Z Polską Rostowski związał się w okresie przemian ustrojowych. W latach 1989–1991 był doradcą ekonomicznym wicepremiera i ministra finansów Leszka Balcerowicza. Za rządów AWS-US kierował Radą Makroekonomiczną w Ministerstwie Finansów. W międzyczasie doradzał też prezesowi NBP, zarządowi Banku Pekao, a także... rządowi Federacji Rosyjskiej. Jako obywatel brytyjski był członkiem Partii Konserwatywnej. Jako obywatel polski w 2009 r. wstąpił do PO. Dwukrotnie – w latach 2009 i 2012 – został przez portal Emerging Markets uznany za najlepszego ministra finansów w Europie. Za „skok na OFE” był krytykowany nawet przez Leszka Balcerowicza. – Jego konto niewątpliwie obciąża ściegłość VAT, ale na plus można mu zapisać, że Polska suchą nogą przeszła przez kryzys finansowy – mówi prof. Witold Orłowski. – Oczywiście pytanie, na ile to zasługa ministra, a na ile kwestia dobrej

Rostowski obecnie urzędującego premiera nazwał „przestępcą”, a „Piątkę Morawieckiego” – „olbrzymią michą »zupy nic«”

koniunktury. Jednak to samo przeciw pytanie można postawić w przypadku sukcesów Mateusza Morawieckiego.

LICZY, JAK TRZEBA

Rostowski był też jednym z pierwszych entuzjastów wejścia Polski do strefy euro. Propagował tę ideę, jeszcze zanim Polska w ogóle weszła do Unii Europejskiej. To kolejny dowód na to, że w dziedzinie ekonomii ekonomista Rostowski nie jest obdarzony wybitnymi zdolnościami profetycznymi. W 2001 r. wspólnie z Andrzejem Bratkowskim zaprezentował referat pt. „Dlaczego jednostronna euroizacja ma sens w przypadku Polski i (niektórych) innych krajów kandydujących”. Autorzy postulowali wówczas, że powinniśmy przyjąć europejską walutę „tak szybko, jak to jest praktycznie możliwe”. Gdyby Rostowski wprowadził w życie swój ówczesny pomysł, złotówka w gotówce i na kontach bankowych zostałaby w całości zastąpiona banknotami i monetami

euro. Wszystkie lokaty złotówkowe, umowy prywatne, płace, zobowiązania podatkowe zostałyby przewalutowane na euro po kursie wybranym przez rząd. Pieniądze w nowej walucie kupiłby NBP za część swoich rezerw.

Koncepcja Rostowskiego i Bratkowskiego zakładała, że tak ekspresowe tempo przejścia na euro wymusiłoby szybsze dopasowanie polskiej gospodarki do gospodarki eurolandu. Przyszły wicepremier i minister finansów w rządzie PO-PSL był wówczas przekonany, że Polska powinna za wszelką cenę i jak najszybciej wejść do strefy euro. Argumentował, że to zapewni nam kursowe bezpieczeństwo. Krytykował PiS za to, że podczas swoich pierwszych rządów jakoby „zmarnował najlepszą szansę” na przystąpienie do eurolandu. Kilka lat później, gdy sam został ministrem finansów, zaczął jednak stopniowo zmieniać zdanie. Najpierw twierdził, że jeszcze za wcześnie, następnie bez ogródek przyznał, że strefa euro działa źle i jest „zasadniczo źle skonstruowana”.

Rzeczywiście, jako świetnie wykształcony Polak z Zachodu, który w kraju zasłynął bardziej arogancją i niekompetencją niż wybitnymi osiągnięciami zawodowymi, przypomina swojego partyjnego kolegę Radosława Sikorskiego. Aktywność polityczna obu byłych ministrów w rządzie Donalda Tuska dziś ogranicza się do ostrych komentarzy na Twitterze oraz w zaprzysiężonych z antypisem mediach. Obecnie urzędującego premiera nazwał „przestępcą” za niepublikowanie wyroku TK. „Piątkę Morawieckiego” nazwał „olbrzymią michą »zupy nic«”.

Jednak już na temat „500+” zmienił zdanie, widząc najwyraźniej, jak bardzo chybił w swoich obliczeniach. „Wszyscy wiedzieli, że w dłuższym horyzoncie czasowym można sobie pozwolić na »500+«” – mówił w rozmowie z Konradem Piaseckim na antenie Radia Zet. W tym samym wywiadzie ten sam Rostowski, który twierdził, że na flagową obietnicę PiS „nie ma i nie będzie pieniędzy”, stwierdził, że w dalszej perspektywie – zgodnie z zapowiedzią Grzegorza Schetyny, który postanowił dobrą zmianę przelicytować – znajdą się pieniądze nawet na 500 zł za pierwsze dziecko. Podobnie jak w przypadku euro były minister finansów dostosowuje swoje ekonomiczne poglądy do aktualnej sytuacji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



„Można zrobić ładną skorupę auta, które nadaje się do miasta,
ale już nie do lasu. To nas wyróżnia od konkurencji”

Nowy program o biznesie, samochodach i rynku kapitałowym
#BIZNESwDRODZE

Na program zapraszają:

BAH
BRITISH AUTOMOTIVE HOLDING
Generalny Importer i Dystrybutor Jaguar Land Rover w Polsce

 **AFORTI**

Oglądaj wyłącznie na
www.inwestorzy.tv

Wciąż trudno nam się porównywać do potęg gospodarczych krajów „starej Unii”. Tym bardziej że dzięki wielu zabiegom od lat świetnie zabezpieczały one swoje interesy, tak by „nowi” w UE nie mogli zagrozić im na wielu polach. Ostatnia bitwa toczy się właśnie o transport. Ta dotyczy głównie Polski, która stała się przewozową potęgą. Niestety Europa Środkowo-Wschodnia przegrała bitwę o pracowników delegowanych – polskie firmy będą musiały na terenie innych państw płacić pracownikom tyle, ile wynoszą tam stawki minimalne. To sprawiedliwość pozorna, bo np. zagraniczne supermarkety nadal będą płacić pracownikom nad Wisłą mniej niż zatrudnianym w Niemczech, we Francji lub w Holandii.

Mali i średni przedsiębiorcy z naszego regionu znaleźli miejsce, w którym start mieli taki sam jak ich rywale z Zachodu. I tam nie dają się pokonać. Wykorzystują tańszą pracę jako atut, szybko wkraczają w nowe technologie i mocno okopali się w sprzedaży internetowej, która buduje ich eksport na międzynarodowe rynki.

Zmiana gospodarki z „analogowej” na cyfrową sprawia, że 13 krajów UE ma – według ekspertów – świetne perspektywy rozwoju. To m.in. dlatego ich PKB rośnie szybciej od PKB innych krajów Europy.

INTERNETOWY BOOM SPRZEDAŻOWY

Gigant internetowych płatności – PayPal – i Deloitte przyjrzały się szczegółowo dynamicznie rozwijającym się w naszym regionie krajom. Badacze sprawdzili, jak – mimo historycznych i ekonomicznych różnic – akurat w tych państwach następuje cyfrowa rewolucja gospodarcza. Przyjrzano się Polsce oraz Bułgarii, Chorwacji, Czechom, Estonii, Finlandii, Grecji, Litwie, Łotwie, Rumunii, Słowacji, Słowenii i Węgrom.

To w tych krajach mali i średni przedsiębiorcy rozwijają się najbardziej dynamicznie. Już co czwarta mała lub średnia firma zarejestrowana w UE pochodzi z tego obszaru (5,2 mln firm na 22 mln firm w Unii).

Jak wynika z raportu PayPal i Deloitte, w ciągu niewiele ponad dekady odsetek przedsiębiorstw przyjmujących zamówienia on-line wzrósł w tych 13 krajach o 81 proc. (w porównaniu ze średnim wzrostem w reszcie Europy sięgającym 15 proc.). Dynamicznie wzrasta też liczba klientów kupujących on-line. Wprawdzie w krajach Europy Zachodniej wciąż więcej ludzi za-



Łukasz Zboralski

Kraje na wschodzie Europy wykorzystały cyfrową rewolucję i ich gospodarki dzięki e-handlowi mają świetne perspektywy rozwoju. Polska jest wśród nowych liderów



E-tygrysy Europy

łatwia sprawunki przez Internet (w ciągu ostatnich 12 miesięcy średnio 68 proc. internautów kupowało coś w sieci, a w krajach naszego regionu – 52 proc.), ale kupujących w sieci szybciej przybywa w naszym regionie. Od 2008 r. ich liczba wzrosła tu dwukrotnie, podczas gdy w reszcie Europy zwiększyła się o 40 proc.

A perspektywy wciąż są obiecujące. Także w Polsce. Przedstawiciel PayPal

ki, którym są mali i średni przedsiębiorcy, a z drugiej – szybkiemu przyswajaniu przez nich nowych technologii. W raporcie wskazują, że wiele z tych firm od razu zaczyna działalność on-line, dzięki czemu szybko jest w stanie dopasować swój biznes do potrzeb klientów. A wówczas zaczynają ekspansję eksportową. – Dzięki Internetowi ograniczenia geograficzne już nie są problemem dla lokalnych przed-

rozmaite typy otwieranych działalności, w tym różnego rodzaju spółki) czekać na rozpoczęcie własnego biznesu trzeba średnio blisko 40 dni. Nawet w drugiej od końca na tej liście Bułgarii jest to czas o połowę krótszy.

Drugim hamulcem, z którym muszą zmagać się przedsiębiorcy w regionie, są podatki. Te – jak podkreślono w raporcie – są średnio niższe niż w pozostałych krajach Europy. Jednak znów Polska znajduje się w gronie państw najbardziej obciążających przedsiębiorczych obywateli. Najwyższe obciążenia mają Grecy, a zaraz po nich działający nad Wisłą.

Spośród przyczyn gospodarczego rozwoju w raporcie PayPal i Deloitte wymienia się też jedną dość dyskusyjną sferę – edukację. Ekspert wskazuje bowiem, że więcej młodych ludzi (w wieku 20–24 lat) studiuje w regionie obejmującym Polskę niż w reszcie krajów Europy – stosunek średnio 35 proc. do 19 proc. Tymczasem jakość kształcenia na naszych uczelniach wciąż mocno odbiega od tego, co oferują uczelnie zachodnie. No i z badań prowadzonych m.in. przez Instytut Badań Edukacyjnych wiadomo, że młodzi Polacy kompetencje cyfrowe – czyli te kluczowe w kwestii funkcjonowania w nowoczesnym świecie, a także później w e-biznesie – nabywają głównie poza szkołami. Polski system edukacji jest pod tym względem mocno niewydolny i nie zmienia tego kupowanie dla szkół elektronicznych tablic.

W raporcie wspomina się też ze zbyt wielkim optymizmem o stopniu znajomości języka obcego wśród mieszkańców naszego regionu. Choć prawdziwe są dane, że średnio uczniowie w Europie Środkowo-Wschodniej uczą się więcej obcych języków niż uczniowie w innych krajach Europy, to prawdą jest także to, że uczą się ich bardzo słabo. Z badań kompetencji językowych IBE wynika, że polscy gimnazjaliści kończyli naukę z bardzo mierną znajomością języka angielskiego. Powodem jest m.in. nie najlepszy system nauczania, w którym większość nauczycieli na lekcjach języka mówi do dzieci głównie po polsku.

Optymistyczne jest jednak to, że mimo tych wszystkich barier – językowych i cyfrowych – Polacy potrafią odnaleźć się w biznesie i zdobywać przez Internet rynki zbytu dla swoich towarów. Sieć i przyszłość należą do nas.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Kraje, w których PKB rośnie szybciej od reszty Europy, głównie dzięki małym i średnim przedsiębiorcom wykorzystującym nowoczesne technologie i Internet



podczas prezentacji raportu nie chciał nam ujawnić szczegółowych danych dotyczących tego, o ile więcej płatności internetowych rejestruje się w Polsce – a to jest wyznacznikiem rozwoju e-handlu. – Mogę za to powiedzieć, że ten przyrost rok do roku jest dwucyfrowy – mówi Marcin Glogowski, dyrektor generalny PayPal w Europie Środkowej i Europie Wschodniej. – I można zakładać, że nadal będzie to wskaźnik dwucyfrowy.

JAK TO SIĘ ROBI?

Ekspert wskazuje, że kraje zaliczone do e-tygrysów Europy osiągają sukces z jednej strony dzięki motorowi gospodar-

siębiorstw. W naszym raporcie dokładnie przeanalizowaliśmy wiele firm z Europy Środkowo-Wschodniej i każda z nich miała podobny cel: globalną ekspansję – podkreśla Julia Patorska, lider zespołu ds. analiz ekonomicznych w Deloitte.

A przy tym należy zauważyć, że otwarcie nowej firmy w naszym regionie jest wciąż trudniejsze niż w Europie Zachodniej. Średnio jest już jednak nieźle i swój biznes można tu założyć w 12 dni. Tutaj niechlubnym wyjątkiem spośród 13 badanych krajów jest niestety Polska. O ile otwarcie nowej firmy w większości krajów trwa ok. 10 dni lub krócej, o tyle nad Wisłą (uwzględniając

Bezpiecznie nad wodą

Piękne słońce i upalne temperatury sprzyjają częstym wypadkom nad wodę. Jak bezpiecznie zażywać kąpeli? I co robić w trudnych sytuacjach?

Każdego roku w wakacje media pełne są dramatycznych doniesień o utonięciach. W 2017 r. odnotowano w Polsce 471 wypadków tonięcia. Z policyjnych statystyk wynika, że utonęło w sumie 449 osób, w tym 62 kobiety. Najwięcej ofiar, bo aż 112, pochłonęły rzeki. Wiele osób nie zdaje sobie bowiem sprawy, jak niebezpieczne mogą to być akweny. Wartki nurt łatwo może porwać nawet dobrych pływaków. W jeziorach w zeszłym roku utopiło się 101 osób, w stawach – 80, w zalewach – 41, a w morzu – 14.

BIAŁA FLAGA

Wielu Polaków nie pływa najlepiej. Wybierając kąpieliska, warto więc postawić na plaże z ratownikami WOPR, którzy są odpowiednio przeszkoleni,

aby w razie niebezpieczeństwa szybko przyjąć z pomocą. To bardzo ważne. Z policyjnych statystyk wynika bowiem, że kąpiel w miejscu niezabronionym, ale nie strzeżonym była najczęstszą okolicznością wypadków utonięcia (55 przypadków). Nieostrożność podczas przebywania nad wodą była przyczyną 34 utonięć, a kąpiel w miejscu zabronionym pochłonęła 28 ofiar. Warto wiedzieć, że podejmując decyzję o kąpeli w miejscu niestrzeżonym, dorosły ponosi odpowiedzialność za bezpieczeństwo kąpiącego się z nim dziecka.

Niebezpieczne mogą być zwłaszcza miejsca, w których jest dużo wodorostów lub w których występują niebezpieczne zawirowania wody. Pozornie czysta, płytka woda może kryć wiele zagrożeń, np. zdradliwych prądów wodnych. Może się

też okazać, że rzeka z jednej strony ma niski brzeg, ale z drugiej wysoki.

Jednocześnie trzeba pamiętać o podstawowej zasadzie i nie zbliżać się do wody po spożyciu wysokoprocentowych trunków. W 2017 r. alkohol – który prowadzi m.in. do zaburzeń równowagi i orientacji, a także znacznie szybszej utraty ciepłoty ciała – był bowiem przyczyną utonięć aż 97 osób. Osobom, które spożywały alkohol, nawet po wyciągnięciu z wody przez ratownika dużo trudniej jest przywrócić czynności życiowe.

Nie powinniśmy też pozwalać pływać dzieciom, które choć mają ogromną ochotę na kąpiel z rówieśnikami, to są przeziębione lub skarżą się np. na ból głowy. Samodzielnie do wody nie powinny też wchodzić osoby cierpiące np. na padaczkę. Warto też zwracać uwagę na tempe-



Brak flagi na maszcie oznacza z kolei, że w danym momencie ratownicy nie sprawują nadzoru nad kąpieliskiem.

Odpoczywając nad wodą, warto też pamiętać o ochronie przeciwsłonecznej. Do plecaka lub koszyka zabierzmy więc kapelusz lub czapkę, odpowiednie kremy z filtrem, a także wodę mineralną, aby zapobiec odwodnieniu i przegrzaniu organizmu.

Gdy nasze ciała są już mocno rozgrzane promieniami słońca, aby uniknąć wstrząsu termicznego, przed zanurzeniem się warto ochłapać wodą kłatkę piersiową, nogi oraz szyję. Uratować życie może także zachowanie umiaru w ocenie swoich sił oraz umiejętności pływackich. Brawura należy bowiem do najczęstszych przyczyn utonięć.

Należy raczej unikać skoków do wody, zwłaszcza na główkę. Pod wodą mogą bowiem kryć się zatopione przedmioty, drewniane kołki po zdemontowanym pomoście, filary zburzonego mostu lub np. pnie drzew. Nawet na sprawdzonym wcześniej akwenie skok na główkę może się skończyć urazem kręgosłupa i kalectwem na całe życie. Niestety, mimo apeli mediów co roku młodzi, aktywni ludzie wciąż ignorują rady lekarzy i zostają jeżdżącymi na wózkach inwalidami.

Jeszcze tragiczniejszy finał mogą mieć zawody o to, kto wypłynie dalej od brzegu. Często chcąc zaimponować znajomym, zwłaszcza młode osoby oddają się bardzo daleko, a następnie zaczyna brakować im sił na powrót, wpadają w panikę i toną. Tymczasem w niektórych przypadkach wystarczyłoby się spokojnie położyć na wodzie i pozwolić się jej unosić.

Nie wolno też „dla żartu” wrzucać nikogo do wody. Zwłaszcza dotyczy to osób, które panicznie boją się wody i nie potrafią pływać – taki wygłup nawet blisko brzegu może zakończyć się tragicznie. Podobnie skończyć się może zanurzanie siłą osób pływających, spychanie do wody z materacy etc.

Uważać nad wodą powinni jednak nie tylko ludzie młodzi, lecz także osoby starsze. W zeszłym roku najwięcej utonięć (aż 233) było wśród osób mających ponad 50 lat. 121 ofiar było w wieku 31–50 lat, 59 w grupie 19–30 lat, a 20 w grupie 15–18 lat. Tylko dziewięć ofiar miało poniżej 15. roku życia.

KAMIZELKI RATUJĄ ŻYCIE

Osoby, które korzystają np. z popularnych nad morzem i nad jeziorami wypoży-

czalni kajaków, łódek, skuterów i rowerów wodnych, powinny pamiętać o kamizelkach ratunkowych. Polski WOPR, wzorem kampanii społecznej prowadzonej w Stanach Zjednoczonych, Australii, Japonii czy we Włoszech, wprowadził akcję „Wear It! Poland”, zachęającą do używania kamizelek ratunkowych i asekuracyjnych. Hasło przewodnie akcji to: „Kamizelka nienoszona nie uratuje Ci życia”.

Przed wypłynięciem gdzieś dalej kajakiem lub łódką warto też sprawdzić prognozę pogody, aby uniknąć niebezpiecznych niespodzianek związanych z nagłym pogorszeniem warunków atmosferycznych.

Płynąc kajakiem lub rowerem wodnym, zachowajmy szczególną ostrożność w pobliżu statków i motorówek, a także w pobliżu słuz i zapór wodnych. Niebezpieczną wywrotką może się zakończyć próba wstawania w kajaku, a także siadanie na rufie kajaka lub na burcie łodzi. Pamiętajmy też, że dmuchane materace lub dmuchane koła nie są przeznaczone do tego, aby wypływać nimi daleko od brzegu. W razie wywrotki może się bowiem okazać, że gdy rozgrzani na słońcu nagle wpadniemy do wody, dostaniemy wstrząsu termicznego.

ŻYCIE TO NIE „SŁONECZNY PATROL”

Gdy widzimy tonącego, trzeba jak najszybciej zawołać ratownika, a jeśli nie ma go w pobliżu, to zadzwonić na numer alarmowy. Samodzielnie podjęcie akcji ratunkowej może być niebezpieczne, bo tonący łatwo może nas wciągnąć pod wodę i wtedy sami też możemy się utopić. Najlepiej rozejrzeć się dookoła i sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jakiejś łódki lub koła ratunkowego.

Można też próbować podać tonącemu wiosło, kij, plastikowe butelki lub cokolwiek, co unosi się na wodzie.

Jeśli uda nam się uratować topielca, to należy go uspokoić i położyć w pozycji bocznej, bezpiecznej. Pamiętajmy, aby osłonić poszkodowanego od ostrego słońca czy silnego wiatru.

Jeżeli topielec jest nieprzytomny, to należy udrożnić drogi oddechowe, aby usunąć z nich wodę, przeprowadzić reanimację – warto zapytać plażowiczów, czy nie ma wśród nich kogoś, kto przeszedł kurs pierwszej pomocy – i oczywiście wezwać pogotowie.

TEST „DO RZECZY”: SMARTFON XIAOMI MI MIX 2

Elegancki design, duży jasny wyświetlacz, wysoka szybkość działania oraz dobra bateria – to największe zalety popularnego modelu chińskiego producenta, który coraz bardziej się stara, aby wejść do grona największych światowych graczy na smartfonowym rynku.

Dobre wrażenie robi smukła obudowa będąca połączeniem szkła (Gorilla Glass 4), aluminium oraz odpornej na zarysowania ceramiki (która raczej nie przeżyje jednak upadku z dużej wysokości). Smartfon waży 185 g, czyli istotnie mniej niż pierwsza edycja modelu Mi Mix.

Ramki wokół wyświetlacza są bardzo wąskie. Istotnymi zaletami 6-calowego wyświetlacza IPS w proporcji 18:9 są wysoka jasność maksymalna oraz bardzo dobre kąty widzenia. Rozdzielczość ekranu wynosi 2160 x 1080 pikseli. Dla porównania: iPhone X może pochwalić się rozdzielczością na poziomie 2436 x 1125, LG V30 – 2880 x 1440, a Samsung Galaxy S9 – 2960 x 1440 pikseli – obaj konkurenci są jednak sporo drożsi.

W środku urządzenia małe chińskie rączki zamontowały wydajny procesor Qualcomm Snapdragon 835 oraz 6 GB pamięci RAM, dzięki którym Mi Mix 2 działa wyjątkowo szybko. Jest to więc model, który bez zastanowienia mogą kupować miłośnicy smartfonowych gier.



Zadowolone z tego smartfona powinny być też osoby, które używają jednocześnie numeru służbowego i prywatnego. Mi Mix 2 daje bowiem możliwość używania jednocześnie dwóch kart nano SIM. Niestety, nie można używać jednej karty SIM i karty microSD. Na szczęście chiński smartfon w podstawowej wersji ma 64 GB pamięci.

Na pochwałę zasługują również umieszczony z tyłu obudowy czytnik linii papilarnych oraz dobra bateria o pojemności 3400 mAh, która spokojnie wystarcza na cały dzień intensywnej pracy.

Niestety, w przeciwieństwie do większości flagowców innych firm Mi Mix 2 nie jest odporny na wodę i kurz. Po stronie minusów można również wpisać gorszy niż we flagowcach konkurencji aparat fotograficzny (o rozdzielczości 12 Mpix, jasności f/2.0, ze stabilizacją optyczną i funkcją nagrywania 4K UHD) oraz przeciętną jakość głośników – dźwięk wydaje się być dużo bardziej płaski niż ten wydobywający się z głośników konkurentów z USA czy Korei Południowej.

Niektórym użytkownikom może również przeszkadzać brak klasycznego wyjścia słuchawkowego – to jednak wada, do której każe nam się przyzwyczaić coraz więcej producentów. Na szczęście do zestawu dołączona jest przejściówka z wyjścia USB Typu-C na 3,5 mm.

Cena: 1999 zł. ©© **Jacek Przybylski**

PRAWIE JAK „EXTERMINATOR”



Oglądaliście komedię „Gotowi na wszystko. Exterminator” z Pawłem Domagałą w roli głównej? Jeżeli nie, nie macie czego żałować. Rzecz w tym, że to opowieść o przyjacielach z młodości, którzy po latach chcą reaktywować deathmetalowy zespół, ale dawcy grantów każą im grać przeboje Kombii i Papa Dance, a w dodatku muzycy mają problem

z perkusistą... No właśnie, dobry perkusista to ponoć problem dla wielu grup. Teraz japońscy konstruktorzy z firmy Utsuwa przekonują, że znaleźli rozwiązanie. Ma nim być Cabot, czyli inteligentny robot perkusista. Trzeba podłączyć go do głośnika i wybrać w aplikacji piosenkę, którą będziemy grali (jeśli to nasza własna kompozycja, trzeba ustawić styl). Muzyk ciśnie solówki na gitarze niczym Gary Moore, a Cabot produkuje akustyczne fale dźwiękowe imitujące perkusję. Cabot bębniarza w grupach typu Behemot nie zastąpi, ale może być fajnym uzupełnieniem np. dla ulicznych grajków. Cena na Kickstarterze to ok. 3,5 tys. zł. Dostawa w czerwcu 2019 r.



KOŁA BIUROWE

Gdyby wziąć pod uwagę tylko design, sprawiają, że fotel wygląda jak nowoczesny wózek ułatwiający poruszanie się osobom niepełnosprawnym. W praktyce jednak Magic Office Chair Caster Wheels to całkiem sprytnie skonstruowane koła doczepiane do fotela lub krzesła, dzięki którym można – nie wstając z miejsca – zasować po korporacyjnych pomieszczeniach. Niby nic wielkiego, wszak wiele z foteli biurowych w standardzie wyposażonych jest w koła, jednak w tym przypadku producent chwali się dodatkowymi rozwiązaniami. Jakimi? Na przykład – tu dobra wiadomość dla zostających w pracy do późna w nocy albo tych księgowych, które tak nie wyrabiają się z wykonywaniem przelewów pracownikom, że jednak

powinny zostawać po godzinach – dokręcone do fotela koła poliuretanowe dzięki dodaniu do nich luminoforu w trakcie przemieszczania się dają oświetlenie usprawniające pracę i poruszanie się po biurze także wtedy, gdy zapada zmrok. Ponadto kółka zostały zaprojektowane tak, by nie zostawiać śladów na parkiecie, linoleum, wykładzinie i wreszcie nie zbierać kurzu. Zestaw kół do zamontowania w jednym tylko fotelu to cena ok. 150 zł, zamówienia można składać na Kickstarterze, a dostawa ma mieć miejsce w lipcu. ©©

Wojciech Wybranowski



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Rząd w kolejce do lekarza

Gdyby najważniejsi polscy politycy – ci, którzy mają realny wpływ na to, co się w Polsce dzieje, którzy mają siłę sprawczą, by zmieniać kraj – żyli tak samo jak reszta obywateli, może wszystkim nam wiodłoby się lepiej.

Weźmy służbę zdrowia. Wprost nie chce mi się wierzyć, że byłoby możliwe utrzymywanie jej na tak żałosnym, upokarzającym dla pacjentów poziomie, gdyby prezydent, szef rządzącej partii, premier, ministrowie – zwłaszcza minister zdrowia, marszałkowie Sejmu i Senatu, posłowie i senatorowie itd., a także ich bliscy – podobnie jak pozostali Polacy – na każdą wizytę u lekarza, na każde pilnie potrzebne badanie, na każdy niezbędny zabieg (oka, ręki czy nogi) albo operację czekali w niekończących się, czasami wieloletnich, a często wielomiesięcznych kolejkach. Albo za szybkie dostanie się do lekarza, przeprowadzenie badań czy zabiegu musieliby płacić (ponad opłacaną składkę na NFZ) kolejne ciężkie pieniądze – i to z własnej kieszeni, a nie z kasy państwa.

W takim przypadku, myślę, politycy zdołaliby podpatrzyć dobre pomysły na działanie służby zdrowia, których nie brakuje choćby w sąsiednich krajach, ba, byłoby nawet w stanie oprzeć się swym populistycznym skłonnościom, które ułatwiają im trwanie przy władzy, a zarazem utrudniają naprawę państwa, w tym służby zdrowia. Innymi słowy: potrafiliby wykrzesać z siebie dość siły, by ją

usprawnić. W końcu czymże jest nawet utrata władzy wobec utraty zdrowia albo i – w skrajnym przypadku – życia swojego czy bliskich?

Zapewne podobnie zbawienny wpływ na inne dziedziny naszego życia miałoby, gdyby najważniejsi politycy nie nadużywali swej uprzywilejowanej pozycji również w ich przypadku. Gdyby zamiast jeździć „na kogutach”, przeciskali się przez miasta, tkwiąc w korkach razem z nami, bardziej by się starali, żeby można się było po nich łatwiej przemieszczać nie tylko rowerem czy pieszo, lecz także autem. Gdyby zamiast latać po Polsce śmigłowcami, podróżowali pociągami, wiecznie się spóźniającymi, włokącymi się po bez końca remontowanych torach, z pewnością poważniej potraktowałoby zadanie naprawy i tej – do dziś jakby niereformowalnej – części Polski. Gdyby sami załatwiali w urzędach swe sprawy i poznali związaną z tym mitręgę, wreszcie by się przyłożyli do stworzenia możliwości robienia tego przez Internet – wzorem firm prywatnych, które dawno temu rozwiązały ten problem z pożytkiem dla swych klientów – od banków do sklepików z czymkolwiek. I tylko rząd nie umie sobie poradzić z cyfryzacją Polski.

Jednak – na nasze nieszczęście – jakoś się nie zanosi na to, by rządzący nami politycy kiedykolwiek chcieli dołączyć do „zwykłych Polaków”, na których tak chętnie powołują się w swych wzniosłych mowach. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Roboty i SI dają pracę?

Nic nie jest tak, jak miało być. A miało być tak: komputery i roboty napędzane sztuczną inteligencją miały zastępować ludzi, efektem tego miało być wysokie bezrobocie, szczególnie wśród „niebieskich kółnierzyków”, i napięcia społeczne. W związku z tym rozpoczęto debatę nad minimalnym gwarantowanym świadczeniem dla wszystkich, nad opodatkowaniem robotów i nawet nad nadaniem robotom statusu podatkowego podobnego do ludzi. A jak jest? W USA indeks Richmond Fed pokazał wzrost płac najwyższy od

Warto się nad tym zastanowić. Czy jest to krótkotrwała aberracja, czy wręcz przeciwnie – jesteśmy u progu nowego trendu, który doprowadzi do potężnych napięć na rynku pracy związanych z brakiem rąk do pracy, a nie z rosnącym bezrobociem. I czy w dłuższym okresie nie skłoni to wielu firm do przeniesienia zakładów z Polski (czy szerzej – z Europy Środkowo-Wschodniej) do innych, tańszych części świata.

Rozważmy przykład autonomicznych współdzielonych samochodów. Przeciętny samochód stoi 90 proc. czasu. Gdyby zamiast prywatnych samochodów w miastach były autonomiczne, współdzielone, które jeżdżą cały czas, liczba samochodów mogłaby radykalnie spaść, np. o połowę. Produkcja samochodów by się załamała, więc miałyby to negatywny wpływ na PKB w krajach produkujących samochody. Jednocześnie miliardy ludzi na całym świecie mogłyby się poruszać bez samochodu znacznie efektywniej i taniej, a zaoszczędzone pieniądze mogłyby zostać wydane na inne towary lub usługi, a tam powstałyby nowe miejsca pracy. Być może rewolucja w samochodowym transporcie miejskim oznacza katastrofę dla przemysłu samochodowego, ale jednocześnie hośse w wielu innych – być może zupełnie nowych – obszarach oraz generalny wzrost efektywności.

Stoimy u progu kolejnej rewolucji napędzanej sztuczną inteligencją i robotyzacją. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

Jesteśmy u progu nowego trendu, który doprowadzi do potężnych napięć na rynku pracy

21 lat. W Polsce szybko rośnie zatrudnienie i wzrost płac powoli zbliża się do 10 proc., to najwyższy od wielu lat. Przedsiębiorcy skarżą się na brak rąk do pracy.

Jednocześnie mamy wysokie tempo wzrostu gospodarczego, ok. 5 proc., przy historycznie bardzo niskiej stopie inwestycji. Zatem prawdopodobnie obserwujemy istotny wpływ rosnącej innowacyjności polskich firm na wzrost ich sprzedaży i wzrost PKB. Potwierdza to raport o innowacyjności polskich firm publikowany przez GUS, co cieszy, bo mamy odwrócenie trendu po dekadzie spadków.

Tak jak co roku robimy przegląd samochodu, tak samo raz w roku powinniśmy sprawdzić swoje zdrowie, nawet jeśli nie mamy żadnych dolegliwości. Taki „przegląd” jest zalecany już od dziecka – warto iść z nim do lekarza (gdy jest zdrowe) i sprawdzić, czy nie dzieje się nic złego. Dorosłemu też taka wizyta raz w roku by się przydała. – Każdy dorosły powinien też przynajmniej raz w roku wykonać morfologię krwi wraz z OB (odczyn Biernackiego). Krew jest zwierciadłem tego, co się dzieje w organizmie. Zaburzenia morfologii mogą być spowodowane przez choroby układu krwiotwórczego, w tym choroby nowotworowe, np. białaczki – mówi prof. Wiesław Jędrzejczak, krajowy konsultant ds. hematologii.

Białaczkę – lub inny nowotwór krwi – można podejrzewać, jeśli zauważymy u siebie takie objawy, jak przewlekłe zmęczenie, częste i długo trwające infekcje, krwawienia z nosa. Te objawy są niespecyficzne, mogą być spowodowane wieloma czynnikami, jednak warto na wszelki wypadek zrobić badanie krwi. Niestety, nie zawsze o zleceniu morfologii pamiętają nawet lekarze. Profesor dr hab. n. med. Tomasz Sacha, przewodniczący Sekcji Hematologii Molekularnej Polskiego Towarzystwa Genetyki Człowieka, opowiada o 50-letniej pacjentce, która z powodu coraz gorszego samopoczucia chodziła od lekarza do lekarza. Żaden z czterech, z którymi się konsultowała, także na szpitalnym oddziale ratunkowym, nie stwierdził, że dzieje się coś niepokojącego – ot, zwykłe przemęczenie. Ponieważ czuła się coraz gorzej, zdecydowała się prywatnie wykonać morfologię. – Okazało się, że poziom leukocytów wynosił u niej aż 700 tys.! Miała ostrą białaczkę. Gdyby została zdiagnozowana wcześniej, dałoby to jej większe szanse na podjęcie leczenia. W hematologii funkcjonuje złota zasada: wczoraj objawy, dziś rozpoznanie i tego samego dnia, a najpóźniej następnego leczenia, jeśli jest to konieczne – mówi prof. Sacha.

Dawniej 20 proc. przypadków przewlekłej białaczki limfocytowej (to najczęstszy typ białaczki u dorosłych) wykrywano dzięki morfologii wykonywanej w ramach okresowych badań medycyny pracy. Jednak morfologia już ponad 20 lat temu przestała być badaniem obowiązkowym dla wszystkich pracowników. – A szkoda, ponieważ dzięki niej u wielu osób można byłoby wcześniej



Katarzyna Pinkosz

Choroby serca, cukrzyce, nowotwory można dziś wykryć na wczesnym etapie, kiedy jest szansa na skuteczne leczenie. Dlaczego w takim razie się nie badamy? I jak do tego zachęcić?

Dlaczego się nie badamy?

wykryć poważne schorzenia – podkreśla prof. Jędrzejczak.

O morfologii trzeba też pamiętać w przypadku dzieci. Profesor Wojciech Młynarski, hematolog i onkolog dziecięcy z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, zwraca uwagę na to, że białaczki występują również u dzieci, ale ich objawy są zupełnie inne niż u dorosłego. – Dzieci często mają infekcje, ponieważ ich układ odpornościowy dopiero dojrzewa, dlatego częste infekcje nie nasuwają podejrzenia nowotworu krwi. Jeśli jednak dziecko robi się białe, na skórze pojawiają się siniaki, chociaż nie było żadnego urazu, lub są one nieadekwatne do doznanych kontuzji, to warto wykonać morfologię – przekonuje prof. Młynarski. Jego zdaniem to badanie należy wykonać też u każdego dziecka w pierwszych miesiącach życia, a u wcześniaków jest ono wręcz obowiązkowe – choć wcale nie z powodu ryzyka białaczki. – W trzecim-czwartym miesiącu życia u dziecka fizjologicznie spada poziom żelaza. Czasem ten spadek jest zbyt duży i może pojawić się niedokrwistość, której jednym z objawów jest pogorszenie możliwości intelektualnych dziecka – mówi prof. Młynarski.

TRZY RAZY PLAGA

Morfologia to nie wszystko. Już nastolatek powinien mieć mierzone ciśnienie krwi (nawet co czwarty ma zbyt wysokie), a u dorosłego to wręcz konieczne. Dzięki temu możliwe jest wczesne wykrycie podwyższonego ciśnienia, kiedy zwykle da się je obniżyć bez konieczności stosowania leków: tylko dzięki większej aktywności fizycznej i zmianie diety. Nadciśnienie w Polsce jest plagą: cierpi na nie ok. 9 mln osób, a drugie tyle jest nim zagrożonych. Około 30 proc. osób nie wie, że je ma, podobnie jak świadomości, że każdego dnia dokonuje ono spustoszeń w naczyniach krwionośnych, co prowadzi do miażdżycy, zawałów i udarów.

Drugą plagą w Polsce jest cukrzyca, na którą choruje ok. 3,5 mln osób, z czego jedna trzecia – czyli ponad milion – o tym nie wie, bo nigdy nie sprawdziła poziomu cukru we krwi. Pytanie dlatego: Czy tym osobom nie powiedział o tym lekarz rodzinny, czy zlekceważył skierowanie? Tymczasem według założeń Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego badanie poziomu glukozy we krwi powinny wykonywać co trzy lata osoby po 45. roku życia bez żadnych czynników ryzyka, a osoby z grup ryzyka – co roku. Pewnie

jednak niewiele osób wie, że w grupach ryzyka cukrzycy znajdują się m.in. osoby mało aktywne fizycznie (mimo prawidłowej wagi), kobiety z obwodem w talii 80 cm (i więcej), a mężczyźni z obwodem brzucha 94 cm (i więcej), a także osoby z cukrzycą występującą w rodzinie oraz te, które mają nadciśnienie.

Trzecia plaga w Polsce to wysoki poziom cholesterolu, zwłaszcza złego (LDL). Gromadzi się on w naczyniach krwionośnych i powoduje powstawanie blaszki miażdżycowej. Grozi to udarem, zawałem, chorobą niedokrwienną serca. Z badania NATPOL z 2011 r. wynika, że zbyt wysoki poziom cholesterolu ma w Polsce ok. 18 mln osób, z czego 60 proc. o tym nie wie, bo cholesterolu nie sprawdza. – Mogłoby zmienić tę sytuację wprowadzenie badania do pakietu badań okresowych w ramach medycyny pracy. Najlepiej byłoby wykonywać cały lipidogram, czyli nie tylko badanie całkowitego cholesterolu, ale również z podziałem na frakcje, czyli tzw. dobrego cholesterolu (HDL) i złego cholesterolu (LDL), oraz trójglicerydów – przekonuje prof. Piotr Jankowski, kardiolog z Collegium Medicum UJ.

Blaszki miażdżycowe mogą tworzyć się już u dziecka. Dlatego pierwsze badanie cholesterolu powinno się wykonać już w wieku 5–10 lat. Pozwala ono wykryć nie tylko dzieci, które z powodu nieprawidłowej diety już mają za wysoki poziom cholesterolu, ale również te, które mają tzw. hipercholesterolemię rodzinną. Od kilku lat o wprowadzenie tego badania do tzw. bilansów walczy prof. Bożena Werner, kardiolog dziecięcy z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Jak na razie bez skutku.

PRZESIEWY W ONKOLOGII

Są nowotwory, które można wcześniej wykryć dzięki badaniom profilaktycznym, a ich wykonywanie opłaca się w całej populacji w określonym wieku. To rak piersi, szyjki macicy i jelita grubego. Chociaż badania są bezpłatne, wciąż za mało osób się na nie zgłasza. – Powinno się zgłaszać ok. 80 proc. osób, tymczasem w Polsce kolonoskopię wykonuje 17 proc. tych, którzy powinni, mammografię 45 proc., cytologię 22 proc. (z tym, że drugie tyle kobiet to ostatnie badanie wykonuje w gabinetach prywatnych) – mówi prof. Jacek Fijuth, przewodniczący Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Onkologicznego.

Z powodu niskiej zgłaszalności Ministerstwo Zdrowia zdecydowało nie-

dawno o zaprzestaniu wysyłaniu pocztą zaproszeń na badania, uznając, że to za dużo kosztuje. Eksperci uważają jednak, że taka decyzja była pochopna. – Badania międzynarodowe pokazały, że tylko zaproszenia imienne, z ewentualnym później zaproszeniem telefonicznym przez lekarza daje efekt – mówi dr Joanna Didkowska z Krajowego Rejestru Nowotworów.

Przed kilkoma laty był pomysł, propagowany m.in. przez Polską Unię Onkologii, by badania mammograficzne i cytologiczne znalazły się w pakiecie badanie dla kobiet z zakresu medycyny pracy. – Zaprosztowały jednak wówczas organizacje feministyczne, uważając, że to dyskryminuje kobiety – opowiada dr Janusz Meder z Polskiej Unii Onkologii. Argumentacja mocno go dziwi, choć uważa, że równie dobre efekty mogłoby przynieść zachęcanie do badań profilaktycznych przez lekarza rodzinnego lub pielęgniarkę i od razu umawianie na wizyty. W małych społecznościach ogromne znaczenie mają też inicjatywy lokalne: burmistrza, wójta, proboszcza, którzy organizują bezpłatne badania i do nich zachęcają. – Efektywne byłoby też premiowanie pracodawców, którzy rozszerzają swoim pracownikom pakiet badań profilaktycznych w ramach medycyny pracy, a przy tym motywują do działań prozdrowotnych, np. rzucenia palenia – uważa prof. Maciej Krzakowski, krajowy konsultant ds. onkologii klinicznej. – O profilaktyce trzeba mówić już w szkołach i często powtarzać, żeby weszło to do podświadomości jak reklama proszku do prania – podsumowuje dr Janusz Meder.

Pomysłów na zachęty jest sporo. Niezależnie od tego, czy badania profilaktyczne weszłyby do pakietu medycyny pracy, która dziś jest mało efektywna, czy namawialiby do niej w większym stopniu lekarze rodzinni, pielęgniarki lub asystentki medyczne, jest o co walczyć. Wczesne wykrycie cukrzycy może zapobiec jej powikłaniom, szybkie leczenie wysokiego poziomu cholesterolu i nadciśnienia zapobiega chorobom serca. W krajach zachodnich 70–80 proc. przypadków nowotworów wykrywa się we wczesnych stadiach rozwoju, kiedy leczenie jest tańsze i znacznie bardziej efektywne. W Polsce – choć widać niewielką poprawę – wciąż 70 proc. pacjentów ma postawioną diagnozę w stadium zaawansowanym, kiedy leczenie jest trudne, drogie i często walczy się już tylko o przedłużenie życia.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Ostatni artylerzysta I RP

Marcin Kątski herbu Brochwicz był jednym z ostatnich wielkich dowódców epoki Jana III Sobieskiego. Urodzony w 1636 r. w Kątach, odbył studia w Krakowie, następnie wysłany został przez króla Jana Kazimierza na naukę do Padwy. Służył prawdopodobnie w armii Kondeusza Wielkiego, a po powrocie do Rzeczypospolitej wziął udział w końcowej fazie walki ze Szwedami, w czasie której został ranny.

Pierwszą jego wielką kampanią była wyprawa na Moskwę w 1663 r., kiedy dowodził regimenterem dragonów Jana Henryka Bokuma, bił się pod Głuchowem, gdzie kolejny raz odniósł ranę, a w marcu, w czasie odwrotu, bronił przeprawy przez Desnę pod Nowogrodem Siewierskim. W uznaniu zasług król mianował go stolnikiem przemyskim, a w maju 1667 r. generałem artylerii koronnej odpowiedzialnym za nadzór i dowództwo nad armatami w całej Koronie.

Od tej pory Kątski związał się z hetmanem Janem Sobieskim, przyszłym królem polskim, uczestniczył we wszystkich jego kampaniach – w 1671 r. walczył pod Braclawiem i Kalnikiem, rok później pod Ładyżynem i Batohem. Poparł hetmana przeciwko królowi, wspierając profrancuskie stronnictwo malkontentów. Wydał im też arsenał warszawski, kiedy Sobieski przygotowywał zamach stanu, za co otrzymał naganę na sejmie. Przez zaniedbania jego i hetmana nie doszło do wzmocnienia twierdzy w Kamieńcu Podolskim, która wpadła w ręce Turków w 1672 r.

Kątski bił się aż do samej śmierci, biorąc udział w kolejnych starciach z Turkami i Tatarami. W 1673 r. przyprowadził pod Chocim 50 dział, biorąc udział w ataku na obóz turecki. Za zasługi



FOT. WIKIPEDIA

otrzymał na sejmie wójtostwo i wieś Drozdowice w ziemi przemyskiej, a posłowie uchwalili też konstytucję: „Zawdzięczenie zasług urodzonego generała artylerii koronnej”. Trzy lata później bronił obozu pod Żórawnem, po której to obronie zawarto rozejm z Turcją.

W 1683 r. wziął udział w wyprawie wiedeńskiej; to właśnie pod jego przewodnictwem żołnierze polscy dosłownie przenieśli na własnych rękach 28 dział przez przepaście i skały Lasu Wiedeńskiego, aby następnie rozbić ogniem Turków kontratakujących na pozycje hetmana Mikołaja Sieniawskiego. Odznaczył się także w bitwie pod Parkanami i marszu przez Węgry. Wyprawę opisał w diariuszu, który przetłumaczył również na język francuski.

Kątski wyruszał na kolejne wyprawy Sobieskiego na Mołdawię w latach 1685 i 1686, gdzie na Bukowinie ocalił armię od klęski w czasie odwrotu. Rok później brał udział w blokadzie Kamieńca i w kolejnych walkach z Turkami – w latach 1688 i 1691. To właśnie on zbudował nad Dniestrem twierdzę znaną jako Okopy Świętej Trójcy. Jego zasługi były tak wielkie, że po śmierci Jana III wymieniano go jako jednego z kandydatów do korony.

Chociaż na elekcji popierał francuskiego kandydata Franciszka

Contiego, to pogodził się z królem Augustem II Sasem i już rok później odbierał z rąk tureckich Kamieniec Podolski. W czasie wojny ze Szwecją stał wniwie po stronie króla, któremu przyprowadził kilka chorągwi husarskich i pancernych oraz regiment piechoty. Sterany wojną, jako jeden z ostatnich towarzyszy Jana III Sobieskiego wziął jeszcze udział w przegranej bitwie pod Kliszowem w 1702 r., podczas której dowodził artylerią. Na szczęście zdołał ją wyprowadzić z pola walki, by nie dostała się w ręce Szwedów. W 1706 r. został nagrodzony kasztelaną krakowską, jednym z najwyższych urzędów w Rzeczypospolitej. Zmarł sześć lat później, pozostawiając sławę niezwyciężonego żołnierza i artylerzysty. Niestety, następcy doprowadzili artylerię koronną do ruiny, z której podźwignął ją dopiero Alojzy Brühl w 1763 r.

Marcin Kątski, choć wykształcony inżynier, jak prawie każdy przedstawiciel epoki nie stronił od szabli i kielicha. Za życia znany był z kilku awantur, z których największa o mało nie kosztowała go kariery. W 1669 r. w niejasnych okolicznościach zabił w Warszawie starostę krośnieńskiego Karola Fredrę. Według jednej z wersji stało się to w domu Adama Kotowskiego w trakcie awantury o kwatere, którą miał zająć Kątski. Inna mówiła, że Fredro został zabity w czasie zwady w zamtuzie, z kolei jego rodzina oskarżała bohatera o skrytobójcze morderstwo. Sprawa okazała się gardłowa do tego stopnia, że Kątski musiał schronić się w klasztorze Kamedułów.

Trybunał na szczęście okazał się miłosierny i skazał go na sześć miesięcy więzi w Warszawie oraz na zapłacenie rodzinie nieboszczyka grzywny za zbrodnię w rezydencji króla. ©©

SCHAB W „MARYNACIE BORKOWSKIEGO”

Lubię gotować, bo przypomina mi to moją drugą pasję – pisanie. Obie te czynności mają ze sobą wiele wspólnego – tworzy się nową jakość z istniejących już składników. W obu bardzo przydają się wyobraźnia, wyczuwanie i pewien rodzaj twórczego zmysłu. Moje danie popisowe – takie, które przyrządzam, gdy przychodzą do mnie goście – to schab pieczony. Nie w mięsie, tu jednak rzecz, a w marynacie. Sam ją wymyśliłem, więc możecie śmiało ją nazywać „marynatą Borkowskiego”.

Składniki:

- schab bez kości – ok. 1,5 kg
- 6 kiełbas białych surowych
- pół główki czosnku
- olej
- sos teriyaki
- sos worcestershire
- sos sojowy
- papryka słodka wędzona w proszku
- majeranek
- sól i pieprz

Przygotowanie:

Czosnek wyciskamy do szklanki i zostawiamy na 15 min, by się przegryzł. Zalewany go do połowy szklanki olejem, mieszamy i zostawiamy na co najmniej godzinę. Po tym czasie czosnek odcędzamy i wykorzystujemy do innych celów. Do oleju dodajemy zaś sos teriyaki (mniej więcej jedną czwartą szklanki), sos worcestershire i sos sojowy oraz tyle wędzonej papryki, by całość była w miarę gęsta. Mięso myjemy i osuszamy. Zalewamy je dokładnie i ze wszystkich stron

marynatą (razem z kiełbaskami) i odstawiamy na noc do lodówki. Następnego dnia odlewamy marynatę i obsmażamy mięso oraz kiełbaski krótko z każdej strony, żeby zamknąć im pory. Potem nacieramy je solą i pieprzem, posypujemy majerankiem i wkładamy razem z kiełbaskami do naczynia żaroodpornego z przykrywką do pieca rozgrzanego do temperatury 80 st. C. Pieczemy ok. 5 godz. Mięso tak upieczone jest soczyste, miękkie i kruche. Można w ten sam sposób przyrządzić również kurczaka – wtedy nie trzeba go jednak obsmażać. Wkłada się go na dwie godziny do piekarnika o temperaturze 100 st. C, potem zwiększa temperaturę do 200 i natychmiast, gdy osiągnie ten poziom, wyłącza. ©©

*oprac. raw
Przemysław Borkowski jest
pisarzem, aktorem, współtworzy
Kabaret Moralnego Niepokoju.
Niedawno do
księgarń trafił
kryminał jego
autorstwa „Nie-
dobry pasterz”.*



FOT. JACEK DOMINIŚKI/REPORTER



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

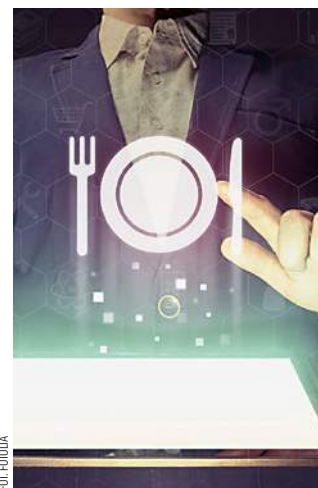
Ciasteczko kryptonim AI

Najmodniejszy obecnie temat – sztuczna inteligencja. Mało kto dokładnie wie, co to oznacza, ale na wszelki wypadek już się tego boimy i oczywiście narzekamy, bo takie rzeczy – wiadomo – mogą stanowić realne zagrożenie dla rzeczywistości, którą znamy. W każdym razie sztucznej inteligencji – tworzą z gatunku science fiction – nikt nie wiąże z jedzeniem. A tu niespodzianka. Okazuje się, że sztuczny byt może zaatakować także od tej strony.

Inżynier z Google Brain, Daniel Golovin, poinformował na swoim blogu, że w ramach testowania praktycznych zastosowań sztucznej inteligencji została ona zaprzęgnięta także do pieczenia ciasteczek. „Najlepszych na świecie, z kawałkami czekolady” – zapewnia pan inżynier. Grupa naukowców z biura firmy w Pittsburghu ustaliła najpierw podstawową listę składników potrzebnych do zrobienia takiego ciastka. Znalazły się na niej m.in.: mąka, cukier i wanilia.

Potem skupiono się na proporcjach i dodatkach. Każdy nowy wypiek był degustowany przez inżynierów, którzy dokonywali jego oceny i przesyłali informacje na ten temat do centrali Artificial Intelligence. Jej zadaniami były analiza otrzymanych opinii i opracowanie algorytmu, mającego ulepszyć kolejny przepis na ciasteczka.

Jakoś trudno mi uwierzyć, że amerykańskie ciasteczka



FOT. FOTOLIA

mogą być dobre, ale nie próbowałam, więc się nie upiełam. Tymczasem okazało się, że my postanowiliśmy nie być gorsi od panów z Ameryki i od ich algorytmów. Wiadomo, Polak potrafi.

Na Festiwalu Designu w Łodzi autorka tych słów spróbowała, jak smakuje ciasto przygotowane przez boty. Upiekła je Joanna Banad. Na swoim profilu na Facebooku zamieściła zdjęcia ciasta (burak + mak + twaróg) i wygląda ono bardzo efektownie. Jednak to, co ja jadłam, to był po prostu biszkopt z kolorową posypką, jak na urodzinach dziecka. Twórcą ciastka jest bot o nazwie Chef Watson i jak podaje IBM, do tej pory zasilił już wielu szefów kuchni swoimi pomysłami na przepisy. 23 grudnia nowa aplikacja zostanie udostępniona kucharzom na całym świecie.

No cóż, doceniamy, ale chwilowo nie skorzystamy. Na razie poprzestaniemy na przepisach babci i ciastkach z Lukullusa. ©©

NASZ TEST: MERCEDES GLE 500E 4MATIC

Samochody, które można podłączyć do gniazdka elektrycznego, stają się coraz bardziej modne. Na szczęście hybrydy to nie tylko lekkie auta z wykończeniem z recyklingu, lecz także potężne, szybkie i luksusowe pojazdy, przy których projektowaniu twórcy nie skupiają się tylko na losie przechodzących na wegetarianizm niedźwiedzi polarnych.

W KABINIE

W luksusowo wykończonym wnętrzu jest mnóstwo miejsca. Nic dziwnego. Auto mierzy 4,82 m długości i 2,14 m szerokości. W komfortową podróż tym modelem spokojnie może więc wyruszyć nawet pięć dorosłych osób. Niestety, konieczność umieszczenia gdzieś akumulatorów sprawiła, że bagażnik hybrydowej wersji sportowego SUV-a Mercedesa jest mały i ma tylko 480 l pojemności (o 210 l mniej niż w tradycyjnym Mercedesie GLE).

Wentylowane i podgrzewane fotele (opcjonalnie z funkcją masażu) są bardzo wygodne, a otwierany dach panoramiczny zapewnia świetne wrażenia z jazdy. Użyte do wykończenia materiały są bardzo wysokiej jakości. Projekt kokpitu wydaje się jednak nieco przestarzały. Również prędkościomierz i obrotomierz występują tylko w tradycyjnym wydaniu, a nie – tak jak u konkurencji – w formie ogromnego ciekłokrystalicznego wyświetlacza, na którym poza informacjami o prędkości czy obrotach można zobaczyć np. średnie spalanie, mapę nawigacji etc.

JAZDA

Dzięki połączeniu sześciocyndrowego, trzylitrowego silnika benzynowego o mocy 328 KM z silnikiem elektrycznym o mocy 114 KM, model GLE 500e oferuje świetne osiągi. Ważący 2,5 t hybrydowa terenówka z gwiazdą na masce przyspiesza od 0 do pierwszej setki w zaledwie 5,3 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 245 km/godz. Siedząc na kółkiem rodzinnego SUV-a, na długich prostych można się więc poczuć niczym kierowca wyścigowy.

Siedmioobiegowa skrzynia pracuje bez zarzutu. Podczas jazdy po mieście hybrydowy



mercedes porusza się niemal bezgłośnie. Przy wysokich prędkościach autostradowych można docenić znakomite wyciszenie auta.

Zawieszenie w trybie Comfort świetnie radzi sobie z niwelowaniem wszelkich nierówności. W trybie Sport auto jest nieco bardziej usztywnione, ale i tak na zakrętach nadwozie przechyla się na tyle mocno, że akurat ten model raczej nie nadaje się do dynamicznego pokonywania serpentyn. Jak na luksusowego SUV-a przystało, auto najlepiej czuje się na asfalcie. Jeśli droga do pałacu wiedzie po nieutwardzonym szlaku, to też oczywiście da radę przejechać. Nie ryzykowałbym nim jednak prawdziwej zabawy w terenie.

Na oszczędności wynikające z hybrydowego napędu liczyć mogą tylko ci, którzy mieszkają w centrach miast i pokonują dziennie nie więcej niż 30 km (to maksymalna odległość, którą można przejechać tylko na napędzie elektrycznym). Jeżeli ktoś często podróżuje autostra-

dami, to wówczas średnie spalanie wyniesie ok. 10–12 l/100 km. W takim przypadku dużo ekonomiczniejszy od hybrydy okaże się więc silnik Diesla.

BEZPIECZEŃSTWO

Wersja GLE nie została jeszcze oficjalnie sprawdzona w testach zderzeniowych przeprowadzanych przez instytut Euro NCAP. Na podstawie wyników mercedesa ML można się jednak spodziewać, że wersja GLE również zdobędzie komplet pięciu gwiazdek.

Auto oferuje wiele systemów wspomagających kierowcę. Na przykład opcjonalny asystent jazdy Distronic pozwala na autostradzie nie tylko odebrać na chwilę wzrok od drogi, lecz także nawet ręce od kierownicy (dzięki wykorzystaniu radaru auto samodzielnie utrzymuje odstęp od poprzedzającego pojazdu i trzyma się środka pasa ruchu, choć po kilkunastu sekundach wzywa kierowcę, aby znów chociaż położył ręce na kierownicy). Również w miejskich korkach mercedes świetnie radzi sobie samodzielnie, co pozwala na szybkie sprawdzenie e-maili lub przejrzanie najnowszych tygodników (takie zachowania są jednak zakazane i grożą mandatem). Mercedes oferuje również asystenta układu hamulcowego, który potrafi automatycznie zahamować, jeżeli w mieście przed maską nagle pojawi się pieszy lub rowerzysta. Do tego mercedes ostrzega np. przed samochodami w martwym polu lusterek.

CENA

Za najtańszego Mercedesa GLE z silnikiem Diesla trzeba zapłacić 259 tys. zł. Cena wersji hybrydowej zaczyna się od 354 tys. zł.

KONKURENCJI

Audi Q5, BMW X5, Porsche Cayenne, Volvo XC90

Jacek Przybylski



CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

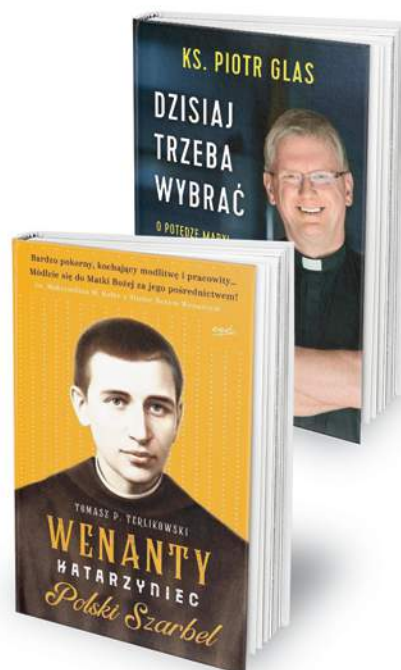
TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI
„DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ”
„WENANTY KATARZYNIEC”

Cena: 145 zł
Oszczędność: 94 zł

+



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9305
E-WYDANIE

Cena: 349 zł
Oszczędność: 359 zł



MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmppg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 7f4f22ba51



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Cenzura na Wyspach

MARCIN MAKOWSKI: Tommy Robinson, działacz społeczny, dziennikarz, a dla niektórych „alt-prawicowiec i faszysta”, trafił w Wielkiej Brytanii za kratki...

MATTHEW TYRMAND: Ewentualnie możesz dodać: „radikalny prawicowiec”, bo chyba tak najczęściej określały go media. A w rzeczywistości dla naszych czytelników i milczącej większości po prostu facet, który miał wyraziste poglądy, ale mieszczące się całkowicie w obrębie wolności słowa. To brytyjski aktywista zajmujący się relacjonowaniem problemu radykalnego islamu w jego kraju oraz nagłaśnianiem działalności gangów złożonych z nieasymilujących się uchodźców, które wykorzystywały seksualnie białe dziewczyny. Przez lata był solą w oku lewicowych mediów na Wyspach, które zrobiły z niego wroga tolerancji, rasistę, piewę brexitu i wszystkiego, co tam jeszcze sobie wymyślisz.

I tak zupełnie bez podstaw, a Robinson mówił jak dyplomata?

To jasne, że nie przebierał w słowach, tylko dziwnym trafem, gdy chodzi o radykałów lewicowych, ostry język mainstreamowi nie przeszkadza. On uderzał w podstawy ich

światopoglądu: politykę migracyjną, otwarte granice, euroentuzjazm. I to wystarczyło, aby uznać jego materiały za „mowę nienawiści” i wydać wyrok w zawieszeniu.

Jak widać, sąd uznał, że znalazły się podstawy do jego aresztowania, gdy akurat prowadził relację na żywo z innego procesu. Dalej rzeczy potoczyły się lawinowo. Proces był błyskawiczny, a wyrok zakłada 13 miesięcy bezwzględnego więzienia, z restrykcjami informowania o przebiegu i dalszych losów Robinsona, uzasadnionymi „interese społecznym”. Trudno pomyśleć, jak daleko społeczeństwo brytyjskie oddaliło się od idei wolności wypisanych w Wielkiej karcie swobód.

Czy to sprawa podobna do odmowy wjazdu do Wielkiej Brytanii dla Rafała Ziemkiewicza?

Nie do końca. Idea niechęci tamtejszego establishmentu do poglądów, które podważają ich święty spokój, jest analogiczna, ale w przypadku Robinsona mamy do czynienia z Anglikiem. Czyli z sytuacją wewnętrznej cenzury, która do tej pory widoczna była w Rosji i Turcji. Gdzie w tym wszystkim

jest Unia, tak chętna do wytykania Polsce naruszeń idei państwa prawa i wolności słowa? Gdzie są te wszystkie Komisje Europejskie w tej sytuacji? Z tego, co wiem, niektórzy brytyjcy parlamentarzyści nie dadzą się uciszyć, Daniel Kawczynski ma poruszyć temat w Izbie Gmin, na ulicach odbywają się ogromne protesty.

Widziałem informacje o tym na brytyjskich portalach. Czy to się nie kłóci z tym, co mówiłeś o embargo dla mediów?

Nie, ponieważ w sprawie procesu i decyzji sądu ono nadal formalnie istnieje i nikt go nie odwołał. Skala zjawiska zrobiła się jednak na tyle duża, że dłużej nie można było udawać, iż nic się nie dzieje, gdy na Downing Street przychodzą tłumy.

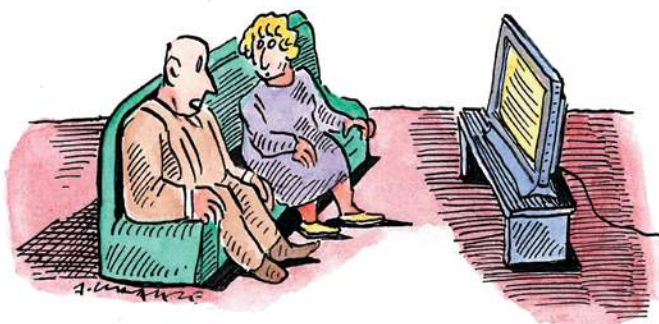
Pojawiają się głosy, że życie Tommy'ego Robinsona może być zagrożone. Na ile sprawa jest poważna?

Moim zdaniem bardzo. Jeśli zostanie wtrącony do więzienia otwartego, w którym będą znajdowali się muzułmanie, to nie trzeba mieć zdolności profetycznych, żeby założyć, że będą się chcieli na nim odegrać. Jak to się robi w więzieniach, nie muszę tłumaczyć. Z przerażeniem obserwuję ten proces, który od początku pachnie farsą, sowiecką mentalnością w egzekwowaniu prawa i dyktaturą poprawności politycznej.

Nie wiem, jakiego jeszcze dowodu potrzebują niektórzy ludzie, żeby stwierdzić, że z zachodnimi demokracjami jest coś głęboko nie tak. Można się z Robinsonem nie zgadzać, nie przyjmować jego argumentów, stylu ani języka. Nie nawoływał on jednak do agresji ani odwetu, ukazywał jedynie hipokryzję bezrefleksyjnego multikulturalizmu. Jeśli za takie rzeczy idzie się za kratki, to strach pomyśleć, co będzie jutro. ©©

rozmawiał Marcin Makowski

Pracownicy agencji towarzyskich oskarżają klientów o molestowanie, to się porobiło!





LAT TELEWIZJI
REPUBLIKA

Gala 5-lecia Telewizji Republika 5 czerwca 2018, godz. 19:00

Transmisja NA ŻYWO w Telewizji Republika

Podczas gali zostaną wręczone nagrody w sześciu kategoriach: POLITYKA, BIZNES, KULTURA, PRZYJACIEL POLSKI, nagroda specjalna widzów : OSOBOWOŚĆ ROKU oraz nagroda specjalna OSOBOWOŚĆ 5-LECIA TELEWIZJI REPUBLIKA

Wystąpią :
PIOTR BARON QUINTET oraz
Piotr Rodowicz i przyjaciele





KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Janusze kontrwywiadu

KRYSTYNA PAWŁOWICZ: *Właśnie pojawiła się jakaś nowa Anastazja Potocka gustująca w politykach prawicowych... Sprawa niepełnosprawnych medialnie skończyła się, na medialną scenę totalni wtaczają „Anastazję”. Polacy już chyba przejeździ te intryki. Tym też rządowi nie obalacie...*

Pośłowi Pięcie musi być bardzo przykro, gdy nawet jego partyjne koleżeństwo nie wierzy, że powabna pani Izabela mogła się w nim po prostu zadurzyć, i jedyny powód jej intensywnego zainteresowania nim, jaki są w stanie sobie wyobrazić, to realizacja – jak rozumiem za pie-

jeśli sama w to nie wierzy, to bardzo chce, żebyśmy my uwierzyli. Także ona kombinację operacyjną służb uważa za bardziej prawdopodobną niż to, że pani Izabela posłem Piętą mogła się zafascynować całkiem bezinteresownie.

Nie wykluczałabym tego, my, kobiety, bywamy dziwne. Za dużo bardziej prawdopodobne przyjęłabym więc wyjaśnienie najprostsze – dość, hmm, specyficzna kobieta poleciała na przedstawiciela władzy, a on ochoczo to wykorzystał. Dorabianie teraz do tego drugiego dna jest na tym etapie tak samo sensowne jak wałkowanie przez Wojciecha Czuchnowskiego rzekomego zamachu na posła Brejzę, choć podpalacz toi toia sam się już przyznał do nieumyślnego zaproszenia ognia.

Takiego banalnego wyjaśnienia dziennikarz nie umie jednak przyjąć, bo jest mało atrakcyjne i politycznie niewygodne. Tak samo jak mało atrakcyjne i politycznie niewygodne jest przyznanie przez drugą stronę, że niebędący przecież wzorem cnót poseł, który lubi się awanturować, że „dżender” rozbija polskie rodziny, swoją całkiem skutecznie rozbijał sam i żaden lewacki spisek nie był tu potrzebny, wystarczyła jedna chętna pani. Banalne, ale dużo

bardziej prawdopodobne niż to, że się służby zasadziły akurat na posła Piętę, od którego akurat chyba niewielu oczekuje wysokich standardów, a i partia nie takie rzeczy swoim wybaczwała. Znając życie i ogromną wyrozumiałość partyjnych kolegów posła Piętę, krzywda mu się nie stanie, choć już w dniu, w którym „Fakt” opublikował pierwszy tekst, powinien zostać zawieszony do czasu wyjaśnienia doniesień o obiecywaniu kochance fuchy w Orlenie, oczywistością powinno być też zawieszenie mu certyfikatów dostępu do informacji niejawnych, bo okazał się podatny na szantaż.

Jeśli jednak ktoś chce serio forsować hipotezę o prowokacji wobec posła Piętę, powinien konsekwentnie zażądać dymisji na wysokich szczeblach służb specjalnych, które od trzech lat pozwalają pani Izabeli kręcić się wokół PiS-owskiej wierchuszki i posłów, którzy choćby z racji funkcji powinni być objęci osłoną kontrwywiadowczą. Zastanowiłabym się dobrze, czy jest sens wyciągania Piętę za uszy z afery obyczajowej, gdy będzie to wymagało przyznania, że polskie służby specjalne istnieją tylko teoretycznie i pozwoliły na wielomiesięczną prowokację wobec Piętę, a kto wie, czy tylko wobec niego. ©©

Znając życie i ogromną wyrozumiałość partyjnych kolegów posła Piętę, krzywda mu się nie stanie

niądze – czyjeś zlecenia. Opozycji albo i służb specjalnych, co zdaje się insynuować przywołanie przykładu Anastazji Potockiej. Doradczynie prezesa TVP Marzena Paczuszka sugeruje nawet, jaki miałby być cel rzekomej prowokacji – skompromitowanie komisji ds. Amber Gold. „Jakiś młotek uznał, że posługując się Izabelą Pęk, ośmieszysz komisję ds. Amber Gold?” – pisze na Twitterze pani Marzena i nawet

zostać przed głównym wejściem do Sejmu. Ale się wpakowałem, mówię ci.

Bez jaj. To ty ją sam nosisz?

No, wyjścia nie mam. Najpierw mi ją ludzie nosili, to się pismaki zaczęły czepiać, że niby taki jest delikatny, że sobie rączek nie chce ubrudzić. Zacząłem więc sam dźwigać. A ten szajs z 50 kg waży.

Nie możesz jej gdzie zostawić i potem zabrać?

Tak zrobiłem wczoraj. Rano wracam, a tam napis namazany

na oparciu: „Czaskowski, idź pod Supersam”. I jeszcze musiałem na szybko zamalowywać.

Mogila. Kto ci to doradził w ogóle?

Eee, szkoda gadać. Rysio.

Porębało cię?

A bo mnie wziął z zaskoczenia. Że niby ma już gotowy świetny plan na kampanię, sam go nie wykorzystał. I że jak potrzebuję ławki, to on ma akurat do sprzedania.

Ty tę ławkę od niego kupiłeś?! Za ile?!

Tanio. Pięć patyków dałem. ©©

Łukasz Warzecha

PODSŁUCHANE

Ławeczka

Rafał, a coś ty taki zdyszany?

Ech... Czekaj chwilę, Grzegorz, daj mi odsapnąć...

Siadaj, wody się napij. Wyglądasz, jakbyś miał mi tu zejść.

A bo tę ławkę cholerną targałem. Jeszcze mnie straż marszałkowska dopadła i kazała ją przestawiać, że niby nie może

OD RZECZY

„Było mi strasznie przykro, jak znajomi powiedzieli, że jeżdżą rok rocznie na narty i że przedtem z dumą rozmawiali po polsku, a teraz się wstydzą”.

ANNA KOMOROWSKA,

była pierwsza dama w Onecie

fot. Jerzy Gumowski



Garść

francuskich studentów 1968 („Maj '68”), Daniel Cohn-Bendit, był Niemcem. Największy francuski monarcha był Korsykaninem. Największa rosyjska caryca była Niemką. Największy niemiecki ludobójca był Austriakiem. Największy rosyjski ludobójca był Gruzinem. Największy polski król wywodził się z Węgier, a największy polski przywódca — z Litwy. Pisowcy pragną, by nowy burmistrz Warszawy wywodził się z Pragi czeskiej, zaś co do wyboru kolejnego prezydenta RP opozycja podzieliła się na dwie części: jedna pragnie przybycia z UE, natomiast druga przybycia z LGBT. Gdyby wygrał ten pierwszy — miasto Pułtusk zostanie przemianowane na Ganztusk (rodzime mapy będą ukazywać z polską: Całytusk). A jeśli ten drugi — popularna sieć dyскетów zmieni nazwę na Biedrońska.

Pierwszy majowy numer francuskiego tygodnika „Valeurs Actuelles” miał za główny (okładkowy) temat działalność globalnego lewackiego megamanipulatora George’a Sorosa — o czym doniósł z Francji świętyni tamtejszy korespondent Bogdan Dobosz. Francuscy dziennikarze dali swoim tekstom tytuł: „Miliarder spiskujący przeciwko Francji”, a listę zarzutów otwierało finansowanie przez Sorosa napływu mułumańskich imigrantów, czyli forsowne islamizowanie francuskiego państwa. Dobosz spuentował swoją korespondencję ubolewaniem, że nawet Francja poczyniła się tu i tam budzić kontr Sorosowsko, tymczasem Polacy dalej zezwalały priwiślińskim sługom Sorosa szargać dobre imię króla Stefana Batorego nazwą i działalnością pewnej Fundacji. Święte słowa! Viktor Orbán miał u siebie dużo większą jacejkę Sorosa, lecz podjął trud deratyzacyjny i Węgrzy wymietli ją ze swego kraju. Co najmniej 40% Polaków tęskni do analogicznej „zełaznej miotły”...

Alianckie bombardowania niemieckich ośrodków produkujących rakiety V-2 zabiły więcej Francuzów i Holendrów niż rakiety V-2 zabiły Anglików. Ataki PO na PiS przyniosły Platformie więcej strat niż zysków. Argumentacja ludzi Platformy oskarżających PiS przypomina nie raz argumentację czekistów, których aresztowani pytali: „— Za co?! Co ja takiego zrobiłem?! Jakże macie przeciwko mnie dowody?!...”. Czekista odpowiadał: „— Waszą winę potwierdza fakt waszego aresztowania”. Winę realizatorów „dobrej zmiany” potwierdza ten prosty fakt, że platformersi tudzież akolici Platformy (celebryci, komediani) oskarżają ich o wszystko za wyjątkiem ukrzyżowania Jezusa Chrystusa. Konkluzja: głównym problemem antypisowskiej opozycji jest to, że ona się nie rozwija, nie mądrzeje, czyli nie ewoluuje. W ewolucji zdaje się chodzi o to, że najpierw pełzamy, potem chodzimy, potem biegamy i ska-

czemy, wreszcie fruujemy i nawet orbitujemy, tymczasem dzisiejsza priwiślińska opozycja ciągle pełza jak glista.

Rutynowo skupieni na własnym grajdołku — nie powinniśmy zapominać, że coraz silniejsze więzy łączą nas ze specyficzną odległych egzotycznych krain. Choćby szłyby barowe: „Kuchnia tajską domowa”, brzmiące jak: kangur płowy mazowiecki (bądź tatrzański). Lub afgańscy „talibowie w Klewkach”, co miało być humbgiem, jednak okazało się faktem. Albo lustrzana wręcz tożsamość historyczna Polski i Birmy (zwanej dziś: Mjanma). Rosja Birmy były od wieków Chiną imperialną. Wielokrotnie próbowały Birnę ujarzmić, jednak bez skutku, aż wreszcie Pekin zrozumiał, że nie da się trwale zniewolić narodu birmańskiego. Chińczycy tak długo próbowali, bo uważali Chinę za środek świata, lecz mieli tego pecha, że Birma uważała się za środek kosmosu. Zupełnie jak Polska.

Umiejętność dokopywania sobie samemu jest polską specjalnością narodową od dawna — od czasów niepamiętnych. Wśród świeżych tego dowodów można wskazać nie tylko finansowany przez władzę pisowską i całe dwa lata kontrujały władzę pisowską Polski Instytut Sztuki Filmowej (sowite dotacje dla szkalujących Polskę reżyserów), lecz również dwie stołeczne instytucje żydowskie o dużej (głównie międzynarodowej) sile rażenia: Muzeum Polin i Centrum Badań nad Zagładą Żydów (to drugie dla zwiększenia rangi wtopiono w Polską Akademię Nauk). Oba te czołgi bojowe zostały ufundowane Żydom przez polskie państwo, czyli dzięki pieniądзом polskich podatników, i szybko uznały, że ich głównym zadaniem jest sabotaż, znaczy: ostrzeliwanie Polaków, obrzucanie ich błotem kalumnijnym, psucie im opinii w każdym zakątku świata. „Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało!”

Istnieją komentatorzy polityczni, którzy wyznają „teorię skrzydła motyla” wobec wahadłowych fluktuacji elektoratu, wskazując, że partie znajdujące się u władzy i cieszące dużym poparciem społecznym (bliskim 50%) doznają straszliwego upadku w kolejnych wyborach nie na skutek ryzykownych reform czy ciężkich politycznych manewrów, lecz przez zupełne drobniactwo, konkretnie: przez haselka (słowa, pojęcia, zjawiska) stanowiące klucze do sfery mentalnej mas. SLD padł z powodu nagłośnionych „firanek” w samochodzie łódzkiego barona; PiS przegrało (2007) z powodu szlochów, bo kamery ukazały jak przychwycona łapownica zalewa się łzami i żebrze o litość; PO doznała klęski z powodu „ośmiorniczek” konsumowanych przez swych dygnitarzy, chociaż to potrawa z dyскетów. Firanki, łyzy i ośmiorniczki były wytrychami otwierającymi masom „kosy” w kieszeniach. Ciekawe jaka duperelka — rzecz pozornie bez znaczenia zrazu, drobniactwo — powali kiedyś imperium stworzone przez „Prezesa”. ©©

Waldemar Łysiak

Postanowiłem dać dzisiaj jako felieton wiązkę w rodzaju mozaiki lub „patchworka”: zszyć tkaninę z kilku mini-felietoników, ułożyć kompozycję z kamyków, z rzeczy drobnych, co jednak nie znaczy, że ich tematyka będzie drobną, obchodzą mnie bowiem poważniejsze problemy niż sensoryjne dla tabloidów fakt, iż Beata Tadla nie spędzi tegorocznych wakacji na Krecie. Oto więc garść tych bieżących refleksji, à la „silva rerum”:

Jeden z czołowych pretorianów „naczelnika”, Marek Suski, oznajmił Polakom, że „Jarosław Kaczyński ma większe dokonania niż Piłsudski”. To oczywista oczywistość, podobnie jak fakt, że Lech Kaczyński dokonał jeszcze więcej (więcej aniżeli wszyscy królowie oraz wodzowie Polski razem wzięci), stąd słusznie ma godne miejsce na Wawelu i pomnik w każdym polskim grodzie. A jeśli nie w każdym, co do jednego, to trzeba ten błąd naprawić w try miga. Najlepiej stawiać przy głównych alejach grodów, wcześniej obdarzając te trasy komunikacyjne właściwą nazwą: Braci Kaczyńskich. I przy autostradach tegoż samego imienia. Wtedy lecąc nad Polską będzie się miało imponujący lot nad kaczym gniazdem.

Ogarnia mnie złość gdy widzę gdzie jeżdżą się kompromitować dostojnicy III RP, bo to hańba i wstyd. Ostatnio (maj) prezydent Duda wybrał się do Jersey City, by ścisnąć i nadwartościowywać żydowski gnojka, który ziele nie nawisnął wobec Polski i Polaków, miota inwektywy kontrpolskie, łże jak najęty stuknięty. Zaś minister Czaputowicz (MSZ) pojechał do Albanii, gdzie kadził Albańczykom bez umiaru, kokietował, że „mamy podobną historię”, i ciągnął ich do UE („członkostwo Albanii zwiększyłoby bogactwo kulturowe Unii”, etc.), udając, że nie wie, iż Albania, którą rządzą najgorsi bandyci Staro Kontynentu (mafijni bossowie od handlu narkotykami, ludzkimi organami, „żywym towarem”) to koń trojański islamu w Europie, otwarta brama dla „nachodźców”, plus maszynaria finansowa „przestępczości zorganizowanej” (Arab-Albanian Islamic Bank). Tak jak Ryszard Petru winien był zadać sobie niegdyś pytanie: „Po cholere na Maderę?!” — tak i nasi dygnitarze winni czasem zastanowić się nad swoimi eskapadami ku estradzie Wstydu.

Każdy naród, każda grupa plemienna, każda kultura — zna przybyszów z zewnątrz (cudzoziemców), którzy odegrali w nawiedzonej przez nich społeczności rolę triumfalną. Przywódca rewolty

ZERRO TRUDNOŚCI MULTI MOZLIWOŚCI

Zmierz się w grze o nawet
25 000 000 zł!



**Multi
Multi
plus**

Graj w punktach

